

# Max Frisch Montauk

*przełożył  
Stanisław  
Kołodziejczyk*



*1978  
Warszawa  
Czytelnik*

OTOG, CZYTELNIKU, KSIĄŻKA PISANA  
W DOBREJ WIERZE. OSTRZEGA CIĘ  
OD POCZĄTKU, IZ NIE ZAMIERZYLEM  
W NIEJ SOBIE ŻADNEGO CELU PRÓCZ  
DOMOWEGO I PRYWATNEGO... PO-  
ŚWIĘCIŁEM JĄ SZCZEGÓLNEJ DOGOD-  
NOŚCI KREWNYCH I PRZYJACIÓŁ:  
IZBY, STRACIWSZY MNIE... MOGLI TU  
ODNALEŹĆ NIEJAKIE RYSY MOICH  
WŁAŚCIWOŚCI I HUMORÓW... SIEBIE  
BOWIEM MALUJĘ TUTAJ. WYCZYTA  
SIĘ TU ŻYWCEM MOJE BRAKI I MOJĄ  
SZCZERĄ POSTAĆ, O TYLE, O ILE  
PUBLICZNA OBYCZAJNOŚĆ POZWOLI-  
ŁA... TAK WIĘC, CZYTELNIKU, JA SAM  
JESTEM MATERIAŁ MEJ KSIĄŻKI; NIE  
MA RACJI, ABYŚ MIAŁ UŻYWAĆ SWE-  
GO WCZASU NA TAK LETKI I BLA-  
HY PRZEDMIOT. / ZATEM Z PANEM  
BOGIEM, W MONTAIGNE, PIERWSZE-  
GO MARCA R.P. 1580/

Tablica obiecująca widok na wyspę: OVERLOOK \*. To był jego pomysł, żeby się tu zatrzymać. Parking co najmniej na'sto wozów, na razie pusty; ich wóz stoi samotnie na kratkach wymalowanych na asfalcie. Jest słoneczne przedpołudnie. Wokół pustego placu parkingowego krzaki i gęste zarośla -, nic nie widać, ale między zaroślami jest ścieżka, więc długo się nie zastanawiali: ścieżka doprowadzi ich do rozległego widoku. Potemwróciła jeszcze do wozu. On czeka; mają czas. Cały weekend. Stoi i nie wie, o czym w ogóle w tej chwili myśli... W Berlinie jest już trzecia po południu... Zwykle nie lubi czekać. Przyszło jej do głowy, że właściwie nie potrzebuje torebki, żeby oglądać Atlantyki. Wszystko wydaje mu się trochę nieprawdopodobne, ale po chwili widzi w tym prostą rzeczywistość: szelest krzewów, potem jej spodnie (naturalnie, sprany,

\* tłumaczenie słów i zwrotów obcojęzycznych na końcu książki

bladoniebieski kolor) i jej stopy na ścieżce, za gęstwą liści i gałęzi jej rudawe włosy. Oplaciło się, że wróciła do auta: YOUR PIPE. I potem znowu idzie przodem; to tu, to tam schyla się pod splątanymi gałęziami i on pochyla się pod tymi samymi gałęziami, kiedy ona idzie już wyprostowana, ciągle jeszcze w gęstwinie. Jest to rodzaj ścieżki, nie zawsze wyraźnej, zapuszczonej. Najpierw on szedł przodem: jako mężczyzna, choć orientował się tu nie lepiej od niej. Raz był błotnisty rów i musiał jej pomagać, od tej chwili ona idzie pierwsza. Jemu to zresztą odpowiada, a jej sprawia przyjemność, wskazuje na to jej lekki, zgrabny krok. Atlantyk musi być niedaleko. Wysooko w górze samotna mewa. Idąc nabija fajkę i dziwi się, nie próbując dociec, czemu się dziwi. Chwilami dobiega zapach kwiatów; nie wiadomo, co kwitnie; nie zna tych roślin. Zaręczył jej, że każdej chwili trafi do auta, i ona mu chyba wierzy. Żeby zapalić fajkę, musi na moment przystanąć, jest wiatr, pięć razy zapala zapalną, ona nie przestaje iść, tak że chwilami znika mu z oczu; chwilami wydaje mu się, jakby to było jakieś urojenie czy odległe wspomnienie — ta droga z młodą kobietą. Właściwie jest tu wiele ścieżek albo coś, co wygląda na ścieżkę, dlatego się zatrzymała: którądy teraz? Mapa, którą wczoraj kupił, została w wozie. W tej okolicy niewiele by zresztą

pomogła. Kierują się według słońca. Na ścieżce nie można rozmawiać. Tam, gdzie gęstwina się przerzedza, widać okolice: wygląda swojsko, chociaż nigdy w życiu tu nie był. To nie Grecja; zupełnie inna roślinność. Mimo to myśli o Grecji, potem znowu o Sylcie. Przeszkadzają mu te ciągłe wspomnienia, Idą już pół godziny. Chcą zobaczyć Atlantyck. Nie mają nic innego do roboty; mają czas. Jest tu też inaczej niż w Bretanii, gdzie ostatni raz był nad morzem przed rokiem. To samo morskie powietrze. Możliwe, że ma na sobie tę samą koszulę, te same buty, wszystko o rok starsze. Wie, gdzie się znajdują:

#### MONTAUK

indiańska nazwa; północny cypel Long Island, sto dziesięć mil od Manhattanu, mógłby też podać datę;

M.V.1974

Gałęzie zwisają nad ścieżką, tak że trzeba się schylać, ale nie tylko; tu i ówdzie zeschnięta gałąź leży na ziemi, wtedy ją przeskakuje. Jest bardzo szczupła, nie koścista. Niebieskie dzinsy zawinęła do połowy łydek; mała pupka w obcisłych spodniach bez paska, w bocznej kieszeni tkwi grzebień. Jest jego wzrostu, ale lekka. Włosy, gdy je



przyjmuje telefon, bo siedzi właśnie obok, i znakomicie załatwia sprawę; ja dziękuję. WHAT ARE YOU GOING TO WRITE NEXT, PLAY OR NOVEL OR ANOTHER DIARY? Cieszę się, bo to jest zawsze ostatnie, no, może przedostatnie pytanie. Wyznaję amerykańskiej publiczności: Życie jest nudne, doświadczenia zbieram już tylko wtedy, kiedy piszę. W gruncie rzeczy mało dowcipne; on się mimo to śmieje. Ona nie. Kiedy podaję jej potem białawą kudłatą kurtkę, z grzeczności pytam ją jeszcze raz, jak się nazywa. LYNN, odpowiada, jakby mi chodziło tylko o imię. Jej długie rozpuszczone włosy: jest to trochę kłopotliwe, gdy wkłada kurtkę, a ja nie mogę jej pomóc, mój gest byłby nie na miejscu. Jeszcze jedno, ostatnie pytanie: DO YOU CONSIDER YOURSELF A DOOMED MAN? Później stwierdzam, że zapomniała swoich papierosów i zapalniczki. Przeleżała się dwa tygodnie pod lampą, ta tania zielona zapalniczka.

Co ja mam tu właściwie do roboty?

Można chodzić bez płaszcza; przyłot w burzy śnieżnej, wkrótce potem jednak zrobiła się znowu wiosna... Kobięcie więzienie na

rogu, wysoką bryłą z brunatnej cegły, zburzono; teraz jest to piaszczysty plac otoczony drucianą siatką, za ogrodzeniem gruchają gołębice, ale w każdej chwili mogą nad tym ogrodzeniem przelecieć. Zresztą niewiele się tu zmieniło przez dwa lata. Małe drzewka na Dziewiętej Ulicy, które tu w swoim czasie posadzono, dalej są wątłe i nędzne; ale zielone. (Cóż to za siła ten chlorofil!) W drugistorze, gdzie znowu jem śniadanie, ciągle jeszcze ta sama obsługa. Żółte taksówki, czarne błyszczące worki z odpadkami na chodnikach, syrena czerwonej straży pożarnej. W hotelu poznali starego klienta: DID YOU HAVE A GOOD TIME? Pokój inny niż przed dwoma laty, ale urządzone dokładnie tak samo: niski stół z marmurowym blatem, na którym można położyć nogi, żółte stojące lampy, żółte koce na łóżku, zielony mokiet, sofa w buraczkowym kolorze, dosyć wygodna, w tym samym kolorze dwa fotele, znajomy szum urządzenia klimatyzacyjnego, które można jednak wyłączyć; częściowo można też otworzyć oba okna podciągając zbutwiałe ramy — szyby są zawsze brudne. Niskie parapety przy tych oknach; trzeba uważać, jak się chce wyrzucić w dół na skrzyżowanie; latać o własnych siłach udaje nam się tylko we śnie.

## MAY I INTRODUCE YOU

potem puszczam nazwiska mimo uszu albo zaraz zapominam, stoję., odpowiadam i nie zawsze wiem, komu odpowiedziałem. Po co się to robi. To konieczne (twierdzą w wydawnictwie) dla książki —

## LYNN

mógłbym zadzwonić pod jakimś pretekstem w sprawach zawodowych. Zaproponować może kolację; gdy tylko kobieta mi się podoba, zaraz sam sobie wydaję się natrętem.

## HUDSON:

parę tłustych mew na molo, ponowne spotkanie z oleistym odbiciem w wodzie. Staromodny parowiec ciągle jeszcze stoi na kotwicy; łańcuchy z brodami wodorostów. Przelatuje helikopter. Jest wietrznie, czarna woda płaszcze o molo, którego pale już dwa lata temu były zbutwiałe. Wielki biały frachtowiec, który prawdopodobnie jutro odbije, stoi spokojnie i nieruchomo — ■ STATENDAM, z holenderską flagą na wieżrze. W tyle stary wiadukt, obecnie w remoncie. Mały ciemny bar, gdzie grają w bilard, też jeszcze jest; BLUE RIBBON, neon czerwony w mroku jak oranżada. Na zachodzie słońce chowa się właśnie w lep-



kich oparach; na pierwszym planie długi czarny frachtowiec. Parę osób na molo, próżnujących jak ja. Młody Murzyn na rowerze jedzie zygakiem. Na ostatnim wyścieple sylwetka siedzącej przytulonej pary. Stary człowiek z psem. Drugi pies bezpański. Długie, grube konopne liny. Puszka po piwie, która zaczyna się toczyć na wietrze.

AMERICAN ACADEMY OF ART AND LETTERS:

podnoszę się i dziękuję.

MUSEUM OF MODERN ART:

gwizdzę na sztukę i całe przedpołudnie siedzę na ogrodowym dziedzińcu. Być może, że kiedy jestem sam, sztuka przestaje mnie obchodzić. Z przyjemnością siedzę tu pod kępą drzew. Siedzę na tym dziedzińcu) (Moore, Picasso, Calder etc.) od dwudziestu lat albo dłużej:

1951

1956

1963

1970

1971

1972

W drodze z r.owu to uczucie, że moje ciało stało się lżejsze, tak lekkie, jakby siła cięż-

8: kości zmalala wskutek długiego marszu: wszystko, co biorę pod rozwagę, wydaje się j wykonalne, tylko zamiast o tym mówić, powinienem to zrobić.

CENTRAL PARK: że te słynne wie- i



dozorca powiedział mi, wiórki to nie żadne wiewiórki, tylko szczury drzewne. Dawniej były tu jeszcze wiewiórki. Szczury drzewne nie są rudawe jak 1 wiewiórki, ale są równie zgrabne i pełne wdzięku. Całymi minutami można się im z bliska przygląd ać, takie są ufne te zwierzątka. Główna różnica między nimi a wiewiórkami poleg i na tym, że tępią wiewiórki.

WHITE HORSE:

pisarz wzdraga się przed uczuciami, których 1 nie można publicznie wyrazić; czeka wtedy 1 na przyплыw swojej ironii; swoje spostrze- , [ żenią uzależnia od tego, czy będą one warte i w żadnym wypadku nie będzie mógł ująć w słowa. Ta zawodowa choroba pisarzy z niejednego robi pijaka.

SANITATION:

o wiele za wcześ- 1  
ciągle jeszcze budzę się  
nie. Zanim dzień zacznie się na dobre, wy- 1

prowadzają swoje psy i pieski na ulice, kurczowo trzymają smycze, podczas gdy zwierzęta sikają albo robią kupę. Psia godzina rano, psia godzina wieczorem. Trzeba dobrze uważać, gdzie się stąpa. Przywiązani są do swoich psów i piesków, to widać, potrzebują miłości ci ludzie tutaj, pozwalają się ciągnąć od zapaszku do zapaszku i czekają cierpliwie, nawet jeśli pada. Tylko przed czerwonym światłem nie pozwalają się ciągnąć i opierają się, dopóki światło nie zmieni się na zielone. Obesrana okolica. Niektórzy mają więcej niż jednego psa. Okolica złakniona miłości. Biały wóz z obrotową miotłą nigdy wszystkiego nie zgarnie; zawsze coś zostanie.

#### LONG DISTANCE:

kiedy kobieta płacze przez telefon, stają się bezradny, zupełnie bezradny; nie sposób ścisnąć jej za przegub ręki — co też by nic nie zmieniło.

#### FIFTH AVENUE HOTEL:

mokiet na podłodze za dnia (kiedy żółte lampy są zgaszone) wydaje się raczej niebieski, nie zielony. W tej chwili pada na niego słońce, skośny romb, ale po nogach ciągnie chłodem. Czytałem i myślałem o tym, co czytam: nagle ta pamięć skóry:

WIĘC JESTEŚ, WIOSNO! słońce na tym mokiecie, który znam; kiedyś go pocałowałem. CZUJĘ CIĘ!' Nagle żadna lektura (FICTION) nie pomaga na tą pamięć skóry: to przede wszystkim ten chłód wokół nóg, nad brzegiem skarpetek; nie śpiew ptaków przez otwarte okno, tylko szum wielkowiejskiego ruchu, zupełnie określony: kiedy autobusy ruszają przy zielonym świetle na rogu FIFTH AVENUE i 9TH STREET. Znowu kładę nogi z butami na niskim stoliku i ze stulonej dłoni zajadam orzeszki.

#### MY GREATEST FE AR: REPETITION

Amerykańska studentka z Yale nie stawia zwykłych pytań z „literatury przedmiotu”; pyta: Czy Stiller naprawdę chce wybawienia Juliki, czy w pierwszym rządzie chodzi mu o to, żeby być jej wybawcą?

#### WASHINGTON SQUARE

szachiści przy publicznych kamiennych stolikach z trwałym blatem w szachownicę, nad tym zieleń pełna ptasiego świegotu. Często długo tam stoję, ale zawsze tylko stoję; nie siadam. Dzisiaj zapytał mnie ktoś, jakiś czarny, czy nie mam ochoty na partyjkę. Nienadzwyczajny gracz, jak zdążyłem zauważyć, a mimo to nie mam w końcu odwagi. Nie mogą sobie pozwolić na porażki?

Ani na zwycięstwo? ponieważ ono do niczego nie prowadzi; przeciwnie, pozostaje potem ziejąca świadomość moich domowych niepowodzeń —

## COMMERCE STREET 15

w żadnym poprzednim miejscu nie chciałbym mieszkać ponownie, nawet w tym przyjemnym domu. Jeden pokój na każdym piętrze. W suterenie doskonale wyposażona kuchnia i kącik do jedzenia, gdzie człowiek czuje się jak w kajucie, a światło pali się także w ciągu dnia; przez małe okna nie widzi się morskiej piany, tylko śnieg na trotuarze, nogi przechodniów w śniegowej brei, szybciej przebierające łapy psów. Na najwyższym piętrze, gdzie próbowałem pracować, dom drży najbardziej; łoskot ogromnych ciężarówek z ciężkimi przyczepami zaczyna się na długo przed świtem, a kiedy ustaje, bo muszą minutę odczekać pod światłami, wdziera się łoskot kolei podziemnej. Mimo to wydaje mi się, że w domu jest cicho; cisza, jakbym był głuchy. Słabe brzęczenie lodówki, odgłos własnych kroków<sup>^</sup> szelest przeglądanej gazety. Słyszę, jak poczta wpada przez szparę w drzwiach, jak ktoś na dole wkłada i przekręca klucz w zamku. Czy byłem głuchy? Słyszę, co się do mnie mówi, i wierzę w to. Płyte z prawdziwym szumem morza (żeby nie słyszeć



hałasu z ulicy) słyszałem także; miły pre-  
zent —

Słyszeliśmy, jak czyta Neruda.

VIA MARGUTTA:

sprawia to ciepłe powietrze, światło: nagle  
jestem w Rzymie. Klóci się z tym tylko tło  
architektoniczne, widzę to. Pojęcia nie mam,  
co miałbym robić w Rzymie; jestem właśnie  
w Rzymie tylko na chwilę —

GOETHE HOUSE:

człowiek, który do czegoś doszedł, może  
wyglądać jak mors, kobiety nie tylko się  
do niego garna, ale nie proszone roztaczają  
przed nim swoje wdzięki niemal zupełnie  
się nie kępując. Dopiero na ulicy, bez-  
imienny w tłumie, czuję się znowu całkiem  
po prostu jak mors.

EIGHT STREET BOOKSTORE:

że o północy można jeszcze stać w księgarni...  
kupiłem małego złotego Langenscheid-  
ta, by potem, kartkując go, niemal za  
każdym razem kompromitować swoją pa-  
mięć; już się to bowiem kiedyś wiedziało:

## SENSIBLE /SENSITIVE/ SENSUAL

Wiadomość, że Konrad Farner zmarł w Zurychu, czytam w windzie, uważając przy tym, by nie przeoczyć swego piętra. Konradowi Farnerowi wiele zostało oszczędzone. Zmarli tworzą coraz liczniejszy krąg przyjaciół.

## OLIVETTI LETTERA

nie mogę tego poniechać, kupiłem małą maszynę do pisania nie mając żadnych planów literackich. (Opowiadanie rozgrywające się w Ticino nie wyszło mi po raz czwarty, - stanowisko narratora jest nieprzekonywujące). Ta obsesja, wystukiwać zdania —

## PRO MEMORIA

francuski arystokrata w drodze na gilotynę prosi o papier i pióro, żeby sobie coś zapisać, i pozwalają mu na to. Zawsze można będzie tę notatkę zniszczyć, gdyby się okazało, że jest dla kogoś przeznaczona. Ale tak nie jest. Zanotował to wyłącznie dla siebie: pro memoria.

To, co mam do załatwienia w Nowym Jorku, dałoby się jeszcze załatwić także w Zurychu albo w Berlinie. W Berzonie (Ticino)

jest to już, myślę, załatwione. A w Rzymie? Skazanie środowiska przez bezużyteczne uczucia — jakaś zgnilizna, ponieważ w ogóle tego nie wypowiedziałem albo nie dość rzetelnie, nie skończyłem z tym świadomie. Byłby już czas. Sen przedwczoraj: że w najbliższą środę mam być stracony, i nie rozumiem, dlaczego w najbliższą środę, jestem zdrowy — to samowolna decyzja władzy zupełnie nie zorientowanej, zresztą władzy anonimowej; nie ma mowy, żeby złożyć odwołanie.

Inny sen:

przebąkują — kto? — że trumna mojego ojca rozpadła się, nie wiedziałem o tym, ale rozumiem to. Można będzie oszaleć wskutek ciasnoty. Dają mi coś słodkiego, jak dziecku na pocieszenie. Przechodnie. Nagle nie rozumiem, dlaczego mam się kłaść do trumny. Oni wsiedli już do czegoś w rodzaju czółna, wszyscy na czarno, i stoją w tym czółnie z długimi włosami. Jezioro Zuryckie. Nikt mnie nie zatrzymuje, biegnę, przy balustradzie znajduję długą żerdź ratunkową, która od biedy może służyć za wiosło; tylko jest to męczące, bo żerdź nie ma pióra. Ale ja im już pokażę. Nie mogę sobie przypomnieć, na czym stoję; na czymś w rodzaju tratwy, na desce? Stoję i wiosłuję w ich stronę. Ktoś mi zdradził, dokąd płyną.

Kiedy się z nimi w końcu zrównałem, płynę teraz obok ich czółna, nie odzywają się do mnie; słucham, co mówią. Nie musicie szeptać! Ale oni wcale nie szeptać; teraz rozpadną mu się płuca, mówią. Nie mają żadnej, wątpliwości, że ze "mną koniec. Tego jeszcze brakowało, żebym wiosłował. Sądzi, że łatwiej to przyjmę, że nie będę się awanturował, że nie będę się bronił. Zostaje przy tym: płyniemy do grobu. Ale ja nie przyjmuję tego do wiadomości, bo jak widzą, mogę jeszcze wiosłować. Już więcej ze mną nie rozmawiają; trzeba się spieszyć.

#### TRATTORIA DA ALFREDO

przyznaję, że nie odkryłem tej trattorii przypadkiem; szukałem jej, jakby można tu było odebrać uczucie: A CAUSE D'UNE FEMME. Nie chciałem, żeby mnie tu poznali, i stałem tylko na chwilę, by zapalić fajkę; przechodzień, który nie ma, tu czego szukać. Uczucie wstydu, że stoję tu w dwa lata później; czekanie na zieleń. Obejrzałem zresztą tę małą trattorie tylko z zewnątrz; krzesła ustawione na stolikach. Jest to bowiem wczesne przedpołudnie. Żeby zobaczyć wewnątrz, trzeba by przytknąć do błyszczącej szyby twarz osłoniętą dłońmi jak końskimi okularami, by zaglądając zlikwidować odbłask. Nie zrobiłem tego. Przestraszyłem się, gdy zobaczyłem w szybie swoją postać.

Jak tylko znowu będzie zielono, to wiem: Normalna historia. Czyżbym był strzelec? Tak czy owak zapomniałem teraz, dokąd właściwie chciałem iść, mimo to idę. Bez płaszcza. Jest chłodno, wiosna jak wtedy, przejrzyste błękitne przedpołudnie z wiatrem od morza. Idąc, skrupulatnie odczytuję wszystkie napisy reklamowe, choć miałbym co innego do roboty.

#### OD CZŁOWIEKA MOŻNA OCZEKIWAĆ PRAWDY -

nie znosi tego zdania. To cytat. Uważa je za kiczowate. Co to znaczy prawda! Po-sprzeczaaliśmy się na temat, co to jest kicz.

#### MY LIFE AS A MAN

to tytuł nowej książki, którą Philip Roth przyniósł wczoraj do hotelu. Czemuż miałbym się wzdragać przed tytułem niemiec-kim: Mein Leben als Mann — Moje życie mężczyzny? Chciałbym wiedzieć, co ja, pi-sząc pod presją sztuki, dowiaduję się o swoim życiu mężczyzny.

#### GIACOMETTI

jego wystawa w tym niemożliwym muzeum ze spiralną rampą; wernisaż z tysiącem smo-kingów i z paniami w długich sukniach; do



tego jego zdjęcie portretowe nadnaturalnej wielkości: ta twarz!... Kto czy co nadaje rangę? Częściowo jest to sprawa osiągnięć. Czy ktoś może sobie sam nadać rangę? Rangę może mieć także ktoś, komu się nie powiodło. Dzięki czemu? Ranga nie oznacza jeszcze sławy. Znam ludzi, którzy sławę stracili za życia; ich ranga pozostała. Ranga nie jest tym, co opromienia zwycięzcę. Jak ranga się objawia? Spotykałem ludzi wysokiej rangi, mężczyzn i kobiety, starszych i młodszych, sławnych i innych; nigdy nie spotkałem Giacomettiego. Zetknięcie się z ludźmi wysokiej rangi (nie muszą być tej samej specjalności) w szczególny sposób dodaje otuchy; żeby dodać otuchy, nie uciekają się do pochwał. Nadają rangę niezależnie od tego, czy się zgadzają, czy oponują; nawet prowadząc spór, oczekują rangi. Mogą się oczywiście zawieść w swoim oczekiwaniu. Ludzie wysokiej rangi nie oczekują jej u innych na oślep, ale niezależnie od sukcesu czy porażki; sami ustalają kryteria. To określa ich bardziej niezawodnie niż ich osiągnięcia, których inni w wielu wypadkach nie potrafią przecież ocenić. Ich ranga rzuca blask na ich osiągnięcia. Nie zawsze są mili; tylko w swoim oczekiwaniu nie dają się wytrącić z równowagi, gdy ktoś przypadkiem zachowuje się poniżej swojej rangi. Zwątpienie we własne siły, które im się wyznaje, przyjmują poważnie, nie rzu-

cają się jednak na samooskarżenia jak inni, którzy, o ile się ich nie zdobędzie szturmem, mimo woli słabną w swoim oczekiwaniu i objawiają łaskawość w taki sposób, że wszystko dla nich jest o numer za małe; ale właśnie wszystko.

## ERYNIE

nie rozrywają cię, stoją tylko na jakimś rogu: Tu na górze, na trzecim piętrze, mieszkałeś kiedyś, róg WAVERLY PLACE i CHRISTOPHER STREET, dwadzieścia trzy lata temu. Jakbym o tym nie wiedział! Nie patrzę nawet w górę na fasadę, widzę tylko, że na parterze jest inny sklep; wtedy był sklepik spożywczy, nędzny, miałem do dyspozycji 200 dolarów miesięcznie, mieszkanie kosztowało 100 dolarów miesięcznie, raz wypadła mi z okna doniczka, ale nie trafiła nikogo.

Gdzie mnie dopadną Erynie?

Ostatnio mamy na to termin: napady. Ona za każdym razem się tego boi, wiem o tym, i to jest zupełnie niezrozumiałe. Nie dochodzi przy tym do fizycznego zagrożenia partnera; myli się, jeśli się tego obawia; nie odczuwam najmniejszej pokusy. Jeśli rękoczyn, to byłyby to rękoczyny skierowane" przeciw sobie samemu: by się wyrazić. To

znaczy rozumieć, myśleć, poznawać; co prawda bez względu, z początku prawie spokojnie, bez względu na siebie czy kogokolwiek. Nie krzyczę, z początku w każdym razie nie; choć potem nic do mnie nie trafia, nawet jeśli się przez chwilę przysłuchuję. Prawda, którą próbuję wyrazić, którą w tym momencie dostrzegam, rzadko oznacza dla mnie niewinność. To może się zacząć od błahostek; wręcz śmieszne wspominać w ogóle o takiej błahostce. Ja widzę w niej znak,"a więc nie błahostkę; znak dla mnie tak wyraźny, że nie mogę znieść żadnego innego wyjaśnienia, a zwłaszcza już niewinnego. Żadnych zarzutów, nie, ja mówię tylko o spostrzeżeniach. Tak mi się wydaje. W danej chwili bez żadnej obawy przed konsekwencjami, jakie widzę. Moje słowa (monolog) mają coś z egzekucji; nie bierze się to z nienawiści. Co ma robić partner? Ma zrozumieć to, czego nie potrafię wyrazić; ma się ze mną zgodzić. Nie znoszę siebie. Nie mogę się potem obudzić, jak nie można się obudzić ze snów, gdy stają się nie do zniesienia. Tak jak to w tej chwili widzę, tak właśnie jest, naprawdę, tak i nie inaczej, i czuję się gotów. Do czego? Potem powtarzam się, wiem. Powrót do rozsądku jest niemożliwy; zdrowy rozsądek obraża mnie, poniża, dodatkowo jeszcze wzmaga gniew. A zacząłem tak spokojnie; to, co miałem na myśli, to nie żaden zarzut,

ale coś ważniejszego: PRAWDA, moja. Kiedy rozdieram na sobie koszulę, to tak jakbym rozdierał swoją skórę. Proszę; oczywiście brzmi to inaczej; błagam. Przy tym wszystko, co teraz mówię, jest już tylko obraźliwe. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. W takiej chwili chciałbym umrzeć, byleby mnie choć raz zrozumiano, bez żądania. Później dochodzę do wniosku, że szkoda było mojego gniewu; nigdy dotąd nie natrafił na gordyjski węzeł — i w dodatku muszę jeszcze przepraszać.

## SWEET'S

jest to podobno najstarsza w mieście restauracja rybna. Szopa przy starym rynku, od lat nadająca się do rozbiórki. Nikt, kto o niej nie słyszał, nigdy by tu nie zaszedł. W porze południowej trudno dostać stół, wtedy jedzą tu ludzie z WALL STREET. Od kiedy znam tę restaurację, zaprowadziłem tam już wielu przyjaciół. Do potraw rybnych wszelkiego rodzaju podają tu pierwszorzędne amerykańskie sauternes, a pod wiaduktem w głębi widać migotanie, EAST RIVER. Lynn także nie znała jej do tej pory. Podoba się jej; nie jest tu wcale szykownie. Znowu przygotowała wywiad; jej zawód. Jej rozpuszczone włosy i okulary: Ondyna i coś z pielęgniarki. W lecie ma jechać z rodzicami do Grecji, moje dobre

rady okazują się niepotrzebne: GUIDED TOUR. Ponieważ Lynn nie czytała nic z moich opublikowanych rzeczy, bawią się, mówiąc raz coś wręcz przeciwnego: polityka w ogóle mnie nie obchodzi. Odpowiedzialność pisarza przed społeczeństwem i to całe gadanie — prawdą jest, że piszą, aby się wypowiedzieć. Piszę dla siebie. Społeczeństwo, jakiegokolwiek by ono było, nie jest moim szefem, ja nie jestem jego kapłanem arji nawet belfrem. Publiczność jako partner? Znam solidniejszych partnerów. Publikuję więc nie dlatego, bym uważał, że muszę ludzi pouczać czy nawracać, ale dlatego, że pisarz, jeśli w ogóle chce się w sobie rozeznać, potrzebuje jakiejś wymyślonej publiczności. W gruncie rzeczy piszę jednak wyłącznie dla siebie... Lynn wcale nie opouje; brzmi to bardziej przekonująco (także dla mnie), niż można było oczekiwać.

YOU ARE A RICH MAN, I AM SURE, BUT THIS IS A BUSINESS LUNCH, YOU SHOULD NOT PAY FOR THIS, IT'S JUST SILLY.

Niedawno (ale to także był już przed laty) w Zurychu widziałem go przypadkowo z daleka na ulicy (Limmatquai); to już ociężały mężczyzna. Chodziliśmy razem do gimnazjum w Zurychu. Nie mam pojęcia, czy On mnie również rozpoznał; nie odwrócił się



i sam się dziwiłem, że od razu nie poszedłem za nim, tylko po prostu przystanąłem. Tak że widziałem go już tylko od tyłu. Bez kapelusza^ Jego szerokie ramiona; jest bardzo wysoki, trudno go w tłumie nie zauważyć, a przed chwilą widziałem go przecież z przodu. Patrzył prosto przed siebie, wyraźnie zamyślony; teraz spoglądał w dół na asfalt, jakby i on mnie poznał. On wie i ja wiem, co dla mnie zrobił. Nawet nie zawołałem przez ulicę, żeby się odwrócił. Co W. ma począć z moim dozgonnym długiem wdzięczności? Poza tym wiem, że ogólnie biorąc nie mogę się równać z tym człowiekiem. W klasie był zawsze pierwszy, bez nadgorliwości; był inteligentniejszy od innych, ale że nie potrafił tej swojej inteligencji lekko traktować, więc był również sumienny; pochwały nauczycieli sprawiały mu raczej przykrość. By nie uchodzić za wzorowego ucznia, potrafił być wobec nauczycieli wręcz gburowaty. Po szkole odprowadzałem go do domu nakładając przy tym sporo drogi, ale z korzyścią; od niego usłyszałem po raz pierwszy o Nietzschem, Oswaldzie Spenglerze, Schopenhauerze. Jego rodzice byli bardzo bogaci. Nie przywiązywał jednak do tego większej wagi, nie było to dla niego źródłem pewności siebie. Na przykład podróż dookoła świata, którą mógł być odbyć po maturze, nie wchodziła w rachubę, auto także nie; wszystko, co po-

i wierzchowne, odstręczało go. Miał usposo-  
 bienie filozoficzne; zdumiewało mnie, jakie  
 myśli potrafiły się lęgnąć w jego mózgu.  
 | Był także, w przeciwieństwie do mnie, bar-  
 t dzo muzykalny; całymi wieczorami puszczał  
 mi płyty z Bachem, Mozartem, Antonem  
 Brucknerem i innymi, których nazwiska nic  
 mi nie mówiły; nikt nie jest absolutnie nie-  
 j muzykalny, mawiał. Ja pisywałem do gazet  
 i i byłem dumny, ilekroć wydrukowano mi  
 , jakiś drobiazg; myślę, że moja chęć impo-  
 nowania była pierwszą rzeczą, która go do  
 mnie zraziła. Rozumiał naturalnie, że muszę  
 zarabiać pieniądze, ale bolał nad tym, co pi-  
 sałem. Zachęcał mnie, żebym rysował. Uwa-  
 żał, że mam pewne zdolności w tym kie-  
 } runku. Także jego sądy o sztuce odznaczały  
 się oryginalnością, zdradzały bowiem nie  
 tylko czytanie; podyktowane były jego  
 własną wrażliwością. Nie odważyłem się  
 wprawdzie rysować, choć mnie do tego za-  
 f chęcał, ale za to nauczyłem się od niego  
 patrzeć na obrazy. Jego przewaga w opero-  
 waniu pojęciami filozoficznymi stała się  
 wkrótce zbyt wielka, bym mógł być dla nie-  
 i go równorzędnym partnerem w rozmowie;  
 z reguły nie mówił już, co w danej chwili  
 czyta, i być może niejedną myśl zaczerpnię-  
 tą z Freuda uważałem za jego własne od-  
 krycie, mimo że wcale mi tego nie sugerow-  
 wał. Po prostu nie opłacało się podawać  
 źródeł, których wówczas nie znałem. Zachę-

cał mnie więc do rysowania. Sam zarzucił wiolonczelę, ponieważ jego gra, choć ćwiczył namiętnie, nie odpowiadała jego własnym wysokim wymaganiom; miał za ciężkie ręce. W. w ogóle robił wszystko, żeby mu nie było za lekko. Jego rodzice oczywiście wiedzieli, że nigdy nie przejmie firmy; dopiero później wszedł w skład rady nadzorczej, a i to niechętnie. Przez jakiś czas studiował medycynę, zdał pierwsze egzaminy; do dzisiaj właściwie nie rozumiem, dlaczego musiał zrezygnować z medycyny. W każdym razie nie zrobił tego lekkomyślnie. Później malował, a ja podziwiałem, do czego był zdolny; z pewnością nie było w tym wirtuozerii, ale była żywiołowość. Niezwykły człowiek; nie ulega wątpliwości, że było mu ciężiej niż nam wszystkim. Skądinąd górował nade mną także fizycznie; jego rodzice mieli w ogrodzie własny kort tenisowy i ponieważ w gruncie rzeczy byłem bez środków, W. podarował mi swoje używane rakiety, żebyśmy mogli razem grywać. Wcale nie chodziło mu o wygraną, tylko po prostu grał lepiej, tak że mogłem się od niego nauczyć wszystkiego, czego on nauczył się od trenera, a nawet więcej: uczył mnie przegrywać, nie grać o punkty, co dla niego, ponieważ je zdobywał, było bez znaczenia, a dla mnie beznadziejne. Te godziny dawały mi dużo radości. Byłem nieszczęśliwy, kiedy uprzedzał mnie, że dzisiaj kort jest za mo-

kry. Śniłem o W. Gdy go odwiedzałem, służąca otwierała mi drzwi i grzecznie prosiła, bym zaczekał w holu, aż zapyta na gorze, wskutek czego miałem oczywiście wrażenie, że przeszkadzam, nawet kiedy W. mnie nie odprawiał. W. sam nie odzywał się prawie nigdy; dziwiło go jednak, kiedy ja się tygodniami nie odzywałem. Był moim serdecznym przyjacielem, przyjacielem wówczas jedynym, bo kogoś drugiego przy nim nie mogłem sobie wyobrazić; nie wytrzymałby porównania z W. Zresztą jego rodzice, zatroskani o syna, byli zawsze bardzo uprzejmi; ilekroć W. pytał, czy mogę zostać na kolacji, zawsze się godzili. Był to zresztą pierwszy bogaty dom, jaki poznałem; lepszy od innych, które poznałem później. Krótko mówiąc, czułem się obdarowany. Trudności zaczynały się z chwilą, kiedy ja chciałem podarować coś W. na urodziny albo na gwiazdkę; moje prezenty wprowadzały go w zakłopotanie, bo miał smak bardziej wyrobiony i rzadko obchodziło się bez zamiany. Miałem wtedy pierwszą narzeczoną; jej nie mogłem zamienić. Bała się W., myślę, że nie chciała uznać jego przewagi, i to mnie bolało. Było to przed czterdziestu laty. Często zadawałem sobie pytanie, co właściwie W. we mnie widział. Robiliśmy sporo wycieczek, chodziliśmy pływać. Miał także oko niezwykle wrażliwe na krajobraz. Każdy przejaw techniki obcy naturze, linie wyso-

kiego napięcia i tym podobne, sprawiały mu wręcz fizyczną przykrość. Przez niego trafiłem do Caspara Davida Friedricha, Corota, później również do Picassa i masek afrykańskich; wyraźnie przy tym stronił od pouczeń. Wiele z tego, co wiedział, nie ujawniał. Przewędrowałem Grecję i naturalnie opowiadałem o tym, tylko potem miałem uczucie, że W. byłby zobaczył więcej. Myślę, że i on sam miał to uczucie; przysłuchiwał się, aż w końcu jednak musiał mi przerwając pokazując coś interesującego, czego rzeczywiście bez niego bym nie zauważył, coś, co właśnie się pojawiło, na przykład zdumiewającego motyla. Po prostu widział więcej. Za jedno tylko nie byłem mu nigdy wdzięczny: za jego ubrania, które były dla mnie o numer za duże. Matka mogła mi wprawdzie skrócić rękawy czy spodnie, ale i tak nie pasowały na mnie. Nosilem je mimo to, żeby nie urazić W.; miał najlepsze intencje, widział, że nie mogę sobie sprzątnąć ubrań, i gdy podarowywał mi płaszcz czy marynarkę, materiał był zawsze jeszcze w doskonałym stanie. Dlaczego sam już tego nie nosił, nic mnie w gruncie rzeczy nie obchodziło. Nie było w nim nic z fircyka, który musi nadażać za modą; jego rodzice mieli jednak krawca, który zdaje się od czasu do czasu przychodził do nich do domu. Ostatecznie ofiarowywał mi także inne rzeczy, których już nie nosił, na przykład



plyty, całą symfonię. Nigdy nfe robił prezentów na ślepo, jak dorobkiewiczze, bez sensu i umiaru, nie licząc się z moją sytuacją. Domyślał się, jak niewiele zarabia młody reporter i recenzent, toteż nigdy nie musiałem o tym mówić. Był wystarczająco wrażliwy, luksus rodzinnego domu krępował go ze względu na mnie, niepotrzebnie zresztą, ponieważ nigdy nie utożsamiałem W. z luksusem. W swoim pokoju z widokiem na ogród, miasto i jezioro wydawał mi się raczej Diogenesem, wewnątrz wolnym. Jeździł tramwajem jak każdy. W ogóle nigdy nie szedł po linii najmniejszego oporu, był sam dla siebie surowy. W październiku, kiedy woda jest już zimna, przepływał jezioro tam i z powrotem. Później W. opłacił całe moje studia\* 16 000 franków (co wtedy było o wiele więcej niż dzisiaj) za cztery lataj czyli 4000 franków rocznie. Właściwie żałuję, że w ogóle wspomniałem o tych ubraniach. Nie raziło mnie, gdy nagle, w trakcie rozmowy, poznawał swoją własną marynarkę i stwierdzał, że angielskie materiały naprawdę świetnie się noszą i że jednak byłoby szkoda, i tak dalej; było to raczej zabawne. Nic poza tym. Przez długi czas raz po raz zapraszał mnie na koncerty, nie tylko w ostatniej chwili, kiedy jego matka nie mogła wykorzystać abonamentu. Był naprawdę przekonany, że nie ma ludzi całkowicie niemuzycznych, i ja rzeczy wiś-

cie często się entuzjazmowałem, choć może w nie najlepszym guście, jak mogłem wy-  
czytać z jego miny; W. milknął wtedy, „ale  
nie wyniośle, tylko z zakłopotaniem. I mi-  
mo tego znowu co raz zapraszał mnie na ja-  
kiś koncert; do teatru — nie. Nie żeby  
teatr do niego nie trafiał, tylko był bardziej  
ode mnie krytyczny. W ogóle był bardziej  
ode mnie krytyczny, także w stosunku do  
siebie. Często zastawałem go w prawdziwej  
rozpaczy. Człowiek, który niczego, a już  
zwłaszcza siebie, nie potrafił traktować lek-  
ko. Nie była to żadna histeryczna rozpacz;  
jasno i mądrze przedstawiał swój problem  
jako nierozwiązalny. Wszystko, co mogłem  
na to odpowiedzieć, jeszcze wyraźniej uka-  
zywało mu, jak jest samotny. Nasze kłopoty,  
na przykład kłopot, jaki miałem z moją  
narzeczoną Żydówką w latach trzydziestych,  
nie dały się porównać z jego trudnościami,  
to i ja czułem. Jego trudność była klasycz-  
na, moja natomiast czysto osobista, tej zaś  
tak czy owak można zaradzić, czego po  
mnie oczekiwał. Nie znaczy to, że go w ogó-  
le nie obchodziła; jego trudności jednak nie  
mógł z nim dzielić nikt, a już w żadnym  
wypadku jego ojciec, człowiek poczciwy  
i trzeźwy, ani matka, która miała się za in-  
telektualistkę i której światowy tryb życia  
uważał za wybieg. Kiedy po wielu latach, po  
długim niewidzeniu (przez rok mieszkalem  
w Ameryce), mówiłem mu o moim bliskim



rozwodzie, W, nie zadawał żadnych pytań; jego milczenie jednak uświadomiło mi, jak obłudnie przedstawiłem tę sprawę. Przedzierał się przez las i W. próbował mówić o czymś innym, ale ja nie miałem teraz ochoty patrzeć na motyle. Żeby pozostać przy sprawie mojego rozwodu, zapytałem go o jego małżeństwo; chociaż od lat znałem już historię, którą W. zaczął teraz opowiadać, to, co miał do powiedzenia, było istotniejsze, znacznie bardziej skomplikowane i nacechowane tak głębokim zrozumieniem, że nie dało się odnieść do mojej sytuacji. Byłoby czymś wyjątkowo niesmacznym, gdybym jeszcze raz zaczął mówić o swoich trudnościach. Jego rozwodu nie można z tym było porównać. Później mimo to się rozwiodłem. To, że w tamtych latach prawie zawsze spotykaliśmy się tylko w cztery oczy, nigdy w grupie, która pozwoliłaby mi zobaczyć przyjaciela w innym układzie sił — wcale mnie wtedy nie zastanawiało. Brało się to nie tylko stąd, że stronił od towarzysstwa, także ja się do tego przyczyniałem. Jak długo byliśmy w cztery oczy, jego przewaga nie ciążyła mi; była czymś oczywistym. Czułem się, jak mówiłem, obdarowany, czułem się wyróżniony, jak wtedy, gdy mogłem go odprowadzać ze szkoły do domu. Podarował mi Engadynę. Jeszcze dzisiaj, ilekroć przejeżdżam przez tę okolicę, zawsze myślę o W. I mam na myśli nie tylko to, że

podróż do Engadyny przekraczała moje możliwości. On znał Engadynę. Był także lepszym alpinistą. Jego rodzina miała tam przewodnika, który rokrocznie go szkolił. Beż W. nigdy bym do tych gór był nie dotarł. Wiedział, gdzie i kiedy grożą lawiny i jak należy się zachowywać w niepewnym terenie; przywiązywał na wypadek lawiny czerwony sznur do plecaka, skrupulatnie oceniał pochyłość i badał śnieg, potem śmigał w dół przed siebie, a ja miałem tylko powtórzyć jego śmiały manewr, po prostu tak jak potrafiłem. Kiedy raz przy gwałtownym upadku zламаłem nartę, W. kupił mi po drodze nową parę, żebyśmy nie musieli przezywać naszej eskapady — nie najlepszej marki, co by mi sprawiło przykrość, ale i tak lepszej marki, z lepszymi wiązaniami, niż miałem do tej pory. Zrobił to bez żadnej ceremonii, był nawet nieco skrępowany wkładając pieniądze na stół; byłoby mu przykro, gdyby pieniądze zrobiły na mnie wrażenie. Naturalnie podziękowałem. Nigdy nie byłem dobrym narciarzem i jeszcze dzisiaj podziwiam jego cierpliwość; W. naturalnie zawsze mnie wyprzedzał, choć się o to nie starał; nie przewracał się i gdy po dobrej chwili zrównywałem się z nim, białe po kilku upadkach i bez tchu, zawsze mówił: Nie spiesz się. Nie szkodziło mu, że musiał czekać. Przez ten czas podziwiał krajobraz, wskazywał kijkiem na okolicę i wymieniał



nazwy szczytów, zwracał mi uwagę na pobliską limbę albo na nieprawdopodobne oświetlenie, ten szczególnie koloryt Engadyny, którą tak lubił, ziemi Zaratustry, którego i ja czytałem, może nie całkiem rozumiejąc. Jako słabszy mogłem zdecydować, kiedy mamy zjeżdżać dalej, W. nie ponaglał, choć beze mnie dawno już byłby w Pontresinie; ale nie o to chodziło. Podarował mi swoją Engadynę. Kocham ją jeszcze dzisiaj. Trudno powiedzieć, jaki byłbym, gdyby nie W. Może bardziej wierzyłbym w swoje siły, prawdopodobnie za bardzo. W pewnym sensie W. zawsze pobudzał moją ambicję, na przykład zachęcił mnie, żebym zarzucił pisanie i zaczął studiować architekturę. Nie oczekiwałem, że W. obejrzy parę moich budowli; byłyby go rozczarowały, myślę, że słusznie. I jemu byłoby też przykro, gdyby się rozczarował. W każdym razie przez kilka lat dużo mówiłem o architekturze nie mogąc go przekonać, na przykład o swoich nauczycielach, potem o Corbusierze, Mies van der Rohe, Saarinenie. Miał wtedy taką minę, jakbym mówił o muzyce, o której w gruncie rzeczy, jak W. wiedział, nie miałem pojęcia, albo o filozofii. W. znał mnie już przecież: ze szkoły. Został wybitnym kolekcjonerem. Może później, ale dopiero później doszedłem do przekonania, że na to czy owo nie powinienem się być godzić. Nigdy za to W. nie nienawidziłem; to był

mój błąd. W willi jego rodziców wisiały obrazy, ~które W. musiał uważać za okropne, odziedziczone w spadku przez ojca, same rupiecie w ciężkich ramach. Większość złożono już do piwnicy. Jego ojciec był postacią przywodzącą na myśl czasy pionierów, nie miał w sobie nic z artysty ozy choćby intelektualisty; bardzo lubiłem tego człowieka, kiedy zasiadał przed kominkiem i rzeczowo opowiadał o polowaniu. Wiele obrazów przedstawiało jelenie i dziki, bażanty, psy. Już nie pamiętam, od kogo wyszła ta życzliwa propozycja, od ojca czy od matki, która również podrwiwała sobie z takich obrazów, czy od W.: Gdyby mi się udało te obrazy sprzedać, otrzymałbym część uzyskanej kwoty, to znaczy mógłbym zarobić trochę pieniędzy nie zaniedbując moich studiów. Nie chcieli jedynie, żeby ta transakcja odbywała się w ich willi. Nazwisko i adres zwabiłyby kupujących wywołując sensację. Nie byłem zbyt zachwycony tym projektem, z drugiej strony jednak uważałem, że wskazane byłoby oddać raz jakąś przysługę rodzinie, której już tak wiele zawdzięczałem. Wynajęto garaż w innej dzielnicy miasta; rodzina opłaciła również ogłoszenia, trzy ogłoszenia w tygodniu, OKAZJA / STARE OBRAZY Z PRYWATNEJ KOLEKCJI. Zrobiono mi listę z cenami minimum; gdybym sprzedał drożej, więcej bym też, procentowo, zarobił. Bądź

co bądź były tam również dwa czy trzy małe holendry, nie sygnowanej bądź co bądź można było mówić o szkole. Zresztą W. uważał, że to mogło być dla mnie zabawnym doświadczeniem, grać rolę pośrednika, poznać ludzi. Tak więc przez trzy popołudnia w tygodniu stałem sam w garażu pełnym malowideł, czekając całymi godzinami. Istotnie raz czy drugi pojawił się jakiś handlarz antykami, przeważnie podupadły, ale szczywany. Nawet ramy ich nie interesowały, często w ogóle nie musiałem wymieniać ceny. Ogłoszenia ukazywały się dalej. Adwokat, związany z firmą ojca, kupił wielką Magdalenę z obnażonymi piersiami, nadającą się do sypialni. Z jeleniami i dzikami szło trudniej. Polecałem pejzaże, które mogły się spodobać nie tylko myśliwemu, pejzaż z wiatrakami pod światło albo z szuwarami. Na pytanie, skąd pochodzą obrazy, miałem odpowiadać nie podając nazwiska, WŁASNOŚĆ PRYWATNA; w zamian za to mówiłem o szkole holenderskiej, aż ktoś, jakiś nędznie wyglądający jegomość, zaśmiał mi się w nos. Chyba sam w to nie wierzę? Pamiętam, że była wiosna i o szóstej, kiedy mogłem wsiąść na rower, byłem szczęśliwy, nawet jeśli nic nie sprzedałem. Jak idzie, pytał z pewnym zaciekawieniem W., z ludzkim zaciekawieniem, bo na pieniądzech mu nie zależało. Zresztą W. miał trochę racji: w garażu mogłem przecież czy-

tać, mówił. Cała ta impreza trwała, zdaje się, trzy tygodnie, a więc stosunkowo niedługo; trochę też na tym rzeczywiście zarobiłem, choć z reguły bardzo szybko kończyło się na najniższej cenie. Nie byłem więc dobrym pośrednikiem,- czułem się niemiłe dotknięty, jakbym był Bóg wie kim, a przy tym musiałem sobie powiedzieć, że mój ojciec, niegdyś architekt, pod koniec życia także został pośrednikiem w handlu nieruchomościami. W. naturalnie o tym wiedział. Nie widział w tym nic szczególnego. Nie miał tego rodzaju uprzedzeń. Kiedy później żartem, a właściwie całkiem serio, zdradziłem się, że coś mnie dotknęło, W. zrobiło się przykro, widziałem jego mocno zgnębioną minę. W końcu jego rodzina mnie nie zmuszała, przyjąłem propozycję. Sam musiałem to sobie otwarcie powiedzieć. Do kłótni nigdy nie doszło. W owych latach W. nie miał, jeśli się nie mylę, innych przyjaciół, nikogo w swoim wieku; uwielbiał swego nauczyciela gry na wiolonczeli, pewnego starego rzeźbiarza w Zurychu, uczonego, który bywał w ich domu. Miał przyjaciółkę, ale starał się, żebym jej nie poznał; bardzo niemieszkańską dziewczynę, z którą się nigdy nie ożenił i której nie mógł zapomnieć. Tragiczna namiętność; W. opowiadał o tym przez dziesiątki lat, na jego prośbę odbyliśmy raz trzydniową wędrówkę po Jurze, ponieważ W. odczu-

wał potrzebę pełnego przedstawienia swoich konfliktów. To, co miał do powiedzenia, co z taką trudnością przychodziło mu powiedzieć, że dopiero na drugi dzień mógł w ogóle przystąpić do rzeczy, ukazało naraz lepiej bogactwo jego uczucia, jego niezwykłą intensywność, jego poczucie odpowiedzialności zarówno wobec ukochanej, jak i siebie samego, poczucie odpowiedzialności z pewnością niekonwencjonalne. Odczuwałem to jako wyróżnienie, że W. wtajemniczał mnie w swoje wielorakie trudności, chociaż nigdy nie pokazał mi swojej ukochanej. Naturalnie nie mogłem mu posłużyć żadną radą. Także ojcostwo W. przeżywał jak nikt inny. Popsuło się, kiedy znowu zabrałem się do pisania, gdy moje rzeczy zaczęto publikować i wystawiać w teatrach, aczkolwiek wiedziałem, co W. o tym sądził. W rezultacie bardzo rzadko się już widywaliśmy, nie poruszając wtedy tego tematu. Ja czytywałem coraz więcej, rzeczy, których W. nie czytał, i do niczego nie mogłem go przekonać; moje zainteresowanie niektórymi autorami budziło w nim raczej sceptycyzm wobec tych autorów, na przykład wobec Brechta, a kiedy się okazywało, że podziwialiśmy tego samego autora, Strindberga na przykład albo Gide'a, W. niechętnie o tym mówił; odkrył ich dla siebie i dla siebie ich zachowywał. Fakt, że zarzuciłem architekturę, nie nadawał mi oczywiście w jego



oczach rangi pisarza, wskutek czego, jak wspominałem, nie mówiliśmy nigdy o moim pisarstwie i w ogóle coraz mniej o literaturze. W. miał inny stosunek do literatury. Zrozumiałem, że W. nie mógł czytać moich książek. Miał inne wymagania, do których one nie dorastały. Przy tym W. robił, co mógł; obejrzał raz przedstawienie mojej sztuki (MUR CHIŃSKI) i napisał mi list, który nie przyszedł mu łatwo, ponieważ jego wrażenia, ogólnie mówiąc, były bardzo mieszane. Wiele lat potem był podobno jeszcze raz na przedstawieniu mojej sztuki (BIEDERMANN I PODPALACZE), jak ktoś mi później doniósł. Nie wypowiadał się już więcej. Tymczasem staliśmy się dorosłymi ludźmi. Jeszcze kłopotliwsza, myślą, była dla niego moja skłonność do polityki. Nie poruszaliśmy tego tematu. Konflikty społeczne, które sobie stopniowo uświadamiałem, W. widział na szerszym tle; wysłuchiwał mnie wprawdzie, ale windował naszą rozmowę na płaszczyznę filozoficzną, gdzie temat mnie już przerastał. Pamiętam: w czasie wojny, gdy także u nas zaciemniano miasta, W. uważał to za śmieszne i niepotrzebne, że także willa jego rodziców, położona na skraju miasta, musiała się podporządkować temu uciążliwemu rozporządzeniu; przecież światła jednej willi nie mogły wskazać nieprzyjacielskim lotnikom całego miasta, skoro to było zaciemnione. Był przeciw Hitlerowi, ale

sceptycznie odnosił się również do demokracji, w której każdy głos miał jednakową wagę. W. był naturalnie rozpieszczony przez swoje otoczenie; nad tym także cierpiał. Robiło na nim wrażenie, że ja, niegdyś jego kolega i w klasie uczeń przeciętny, zarabiałem, choćby nawet bardzo skromnie, na swoje utrzymanie. Wiem, że było to dla niego problemem. Wyobrażał sobie, że sam nie potrafiłby zarabiać na utrzymanie, co oczywiście nie miało sensu; ta myśl przesładowała go od czasu do czasu. Gdyby W. mogły zadowolić wyniki, jakimi inni musieli się zadowalać, by zarobić na życie, bez trudu zarobiłby na swoje utrzymanie. To i on wiedział. W ogóle niewiele miałem od siebie do powiedzenia mojemu przyjacielowi. Zdarzało się, że go krytykowałem, i co się działo: W. wysłuchiwał, po czym moje krytyczne uwagi okazywały się błahe w porównaniu z tym, co W. miał sobie sam do zarzucenia. Siadu zarozumiałości. Przeciwnie. Uznawał się za pobitego. I ja zdawałem sobie sprawę, jak bardzo mnie oszczędzał; wymagania, którym żaden człowiek by nie sprostał, W. stawiał wyłącznie sobie samemu, nie mnie. Naturalnie W. ma swój sąd o ludziach, nawet surowszy od tego, jaki wyrażają inni, wnikliwy i dlatego skomplikowany; ale go nie ujawnia, ani wobec osób trzecich, ani w cztery oczy. Nie chce nikogo niszczyć. Jego prawdziwa opinia o

człowieku pozostaje jego tajemnicą; niekiedy bardzo nad tym boleje. To się czuło. Moja megalomania często musiała go męczyć. Mimo woli marszczył wtedy brwi, milczał. Właściwie mogłem się tylko domyślać jego zdania i on liczył na to, że człowiek domyśla się tylko tyle, ile w danej chwili może znieść. Złakniony uznania z jego strony, ponieważ górował nad ogółem wnikliwością i trzeźwością sądu, byłem oczywiście na to czuły, że W. nieraz nagłe mnie chwalił, gdy na przykład zręcznie roznieciłem ogień w górskiej chacie albo zreperowałem swój rower, czy później, gdy prowadziłem fiata albo przygotowałem paellę z rakami, lub w innych podobnych sytuacjach. Były to na wskroś szczere pochwały; W. nie potrafił bowiem chwalić nieszczerze. W. był świadkiem na moim ślubie, ja — na jego. Także w późniejszych latach dosyć było tematów, na które mogliśmy rozmawiać całymi dniami podejmując znowu nasze wędrówki, przy czym W. nie musiał mówić o moich książkach; W. miał bardzo wiele przeżyć, nie w tym sensie, żeby go spotykały jakieś przygody, tylko że przeżywał samego siebie w taki sposób, że również zdarzenia, dla kogoś innego najzwyczajniej w świecie pechowe, w jego wypadku nabierały szczególnej wymowy, czy było to pęknięcie rury wodociągowej, czy spóźnienie się na aukcję, czy postępowanie niańki jego córki. To mogło

być męczące, ale za każdym razem na nowo uświadamiałem sobie, dlaczego tak podziwiałem W.; w swoich opowiadaniach potrafił wskazać na tyle implikacji, że potem miało się wrażenie, iż samemu nic się właściwie nie przeżywa. Nigdy nie zapomnę, jak W. opisywał ostatnie tygodnie życia swojego starego ojca. Willa, w której już nie bywałem, nabierała w jego opowiadaniu cech widmowych, a że W. ciągle jeszcze tam mieszkał, stawała się przekleństwem. Potem patrzyłem na, niego z boku, gdyśmy bez końca chodzili i gdy on mówił; Lenz w górach. W. nie porównywał się z nim, nie porównywał się ze Strindbergiem, Hölderlinem ani van Goghem czy Kleistem, ale czuł się im bliższy niż nam; tragiczny żywot. Do dzisiaj pamiętam numer jego telefonu, a to już co najmniej piętnaście lat, jak go po raz ostatni nakręcałem. Nigdy też czy prawie nigdy się nie zdarzyło, bym nie pomyślał: Przecież dzisiaj są urodziny W. Na jego pięćdziesiąte urodziny posłałem mu jeszcze telegram, z Rzymu. Nie mogę sobie dokładnie uprzytomnić, kiedy stał mi się obojętny. Nie mógł nie wiedzieć, że tymczasem stałem się człowiekiem zamożnym. Co o tym myślał? Czasami słyszałem od naszego wspólnego przyjaciela, malarza, jak na przykład pochłaniają go jego ogromne zbiory sztuki. Także on, ów malarz, nigdy tych zbiorów nie widział; były zapewne jedyne w swoim

rodzaju. Później uświadomiłem sobie, że poza tą panną mieszczańskiego pochodzenia, z którą W. się ożenił i o której także po rozwodzie często wspominał, nie widziałem nigdy żadnych jego kobiet. Pamiętam, że pierwsza była siostrą miłosierdzia. Kiedy W. opowiadał o swoich przyjaciółkach, robił to zawsze z ogromną powagą, nawet gdy nie wymieniał nazwiska: Hiszpanka w Barcelonie. Miał odwagę nieunikania wielkich konfliktów. Kiedyś zachnąłem się, gdy jego matka wspominała mi, jak cierpi z powodu choroby swojej żony, że wskutek tego zaniedbuje swoją pracę; oświadczyłem, że współczuję również chorej żonie. Nie sądzę, by W. był zwykłym egoistą. Poświęcał się nie tylko częściej od nas; poświęcając się, poświęcał więcej. Kiedyś stało się to komiczne; nie widzieliśmy się od lat i raz znowu wybraliśmy się na wędrowkę po Przednich Alpach, WIELKI AUBRIG, jak tyłekroć dawniej, a że od pół roku na polecenie lekarza w ogóle nie piłem i codziennie przez godzinę zażywałem ruchu, wspinaczka przychodziła mi łatwiej niż W. Cieszyło mnie, przyznaję, że nie musiał na mnie czekać. W. został w tyle. Do szczytu było już niedaleko, ale on nie chciał dalej iść. Wiem, że takie ujęcie naszego stosunku byłoby zbyt prymitywne. W tym dniu naszej ostatniej wędrowki akurat nie był w formie. W ostatnim czasie (okres mojego pobytu w szpita-



lu) miał ciężkie przeżycia. Ostatecznie nie jesteśmy sportowcami, dwaj panowie koło pięćdziesiątki. Jak mówiłem, nigdy nie odważyłem się opowiadać mu o mojej pracy; jego ciche podejrzenie, że daję się nabierać na publiczne uznanie, stało się moim podejrzeniem. Byłem mu za to wdzięczny. W gruncie rzeczy zawsze mogłem się cieszyć swoimi osiągnięciami tylko wtedy, gdy zapominałem o W., niejako za jego plecami; pod spojrzeniem jego niebieskich oczu z reguły czułem się z tymi osiągnięciami nie-, swojo. Sprzeniewierzałem się im choćby milczeniem, w które zapadaliśmy obaj. Nasze ostatnie spotkania to rok 1959. Kobieta, którą wówczas kochałem, studiowała filozofię, pisała o Wittgensteinie, doktoryzowała się z Heideggera. W., który ją tego dnia po raz pierwszy zobaczył, nie mógł tego wiedzieć; jej nazwisko obilo mu się już o uszy, jej dorobku poetyckiego nie znał. Jej także z trudem przychodziło wykazać się przed W.; także TRACTATUS LOGICUS, którego W. nie znał, z trudem do niego docierał. Ja milczałem, by jako laik nie przeszkadzać. Znajomość filozofii u kobiety, która ze mną żyła, to mu się wyraźnie nie mogło pomieścić w głowie; w naszym mieszkaniu W. nie czuł się dobrze. Mimo szampana; wiedziałem, że szampana lubił. A ona wiedziała, jak wiele zawdzięczam temu człowiekowi; często i wy-czerpująco jej o tym opowiadałem, nie mo-

gąc jednak mojego przyjaciela opisać. Teraz siedział on przed nią, masywnej postury, już> nawet ociężyły. Nie doszło do żadnego filozoficznego sporu, W. odchylił się tylko w fotelu; nigdy go jeszcze takim nie widziałem: Mężczyzna! Nie żeby siłił się, jak wszyscy, na uprzejmości wobec nieco poirytowanej kobiety; W. obserwował ją tylko, kiedy próbowała mówić. Byliśmy dopiero po pierwszej szklance, to nie mogło na tym polegać. Nikt nie nadawał tonu rozmowie. Ponieważ kobieta — nie w tej chwili, ale z racji opublikowanych książek — wyraźnie występowała jako poetka, korciło W., żeby się wypowiedzieć na temat poezji, nie w formie pytania, ale z niezachwianym przekonaniem, choć jak słyszeliśmy, w ostatnich czasach niemal nic nie czytał zajęty katalogowaniem swoich zbiorów. Z pewnością Hölderlin był większy niż Hans Carossa, niemniej i Hans Carossa pozostaje dla niego poetą. Kobieta, nie podejmując tego tematu, zapytała o jego zbiory, dlaczego W. nie chce nam ich pokazać, w ogóle, nawet jej. Jego pogląd, że miałby nawet prawo zniszczyć swoje skarby starej sztuki chińskiej oraz dzieła średniowiecznych, mistrzów i żyjących malarzy, ponieważ nie tylko nabył je za pieniądze, ale je sobie także przez swój wybór i długoletnie z nimi obcowanie przyswoił, nie był wypowiedziany żartobliwie; uważał, że go nie rozumiemy. Mimo to, jak

się później dowiedziałem, w pewnym sensie ta kobieta mu się spodobała; od kogoś postronnego usłyszałem, że W. dziwił się, jak temu Frischowi udało się znaleźć taką przyjaciółkę. Sumy, która swego czasu umożliwiła mi studia, nigdy nie zwróciłem; musiałoby go to dotknąć, myślę, anulowałyby niejako jego hojny gest. Kiedy zobaczyłem W. ostatnio w Zurychu, byłem zaskoczony: świadomość wdzięczności, żadnego wzruszenia. Nie napisałem mu także, że widziałem go na ulicy. Dzisiaj nie interesuje mnie już nawet, co W. myśli o naszej długiej historii. To mnie przede wszystkim zaskakuje. Myślę, że przyjaźń z W. była dla mnie czymś z gruntu niedobrym i że W. nie ponosi za to żadnej winy. Gdybym nie pozwolił się być do tego stopnia opanować, byłoby to z większą korzyścią także dla niego.

#### OVERLOOK:

tablica obiecywała coś, czego tu nie ma. W pewnej chwili z małego wzgórza widać w oddali niebieski wóz; ani jej wóz, ani jego. NATIONAL CAR RENTAL, niebieski wóz ciągle jeszcze stoi samotnie na słonecznym parkingu. Przychodzi mu do głowy, że nikt nie wie, gdzie on się tego dnia znajduje. Cieszy go to. Choć już nie wierzą, że ta ścieżka w ogóle prowadzi na wybrzeże, idą:

żeby nie stać w tej gęstwinie i zaroślach, gdzie nikt ich nie widzi. Widoczny teraz maszt radiostacji wskazuje, jak daleko jeszcze do wybrzeża; US MILITARY AREA, przeczytał to na mapie; w tym miejscu w każdym razie nie dojdzie się do morza. Zabłądzili. Ale to nic nie szkodzi; są tam, gdzie są; bez celu razem. Zeby nie siadać byle gdzie na ziemi, idą. Widziało się już bardzo imponujące krajobrazy, mimo to podnosi do oka kamerę, MICROFLEX 200. W wizjerze widać nagie albo porośnięte krzakami skały, niebo, w oddali nieforemną latarnię morską, ZOOM, i to nic nie daje: latarnia jest jeszcze bardziej nieforemną. Nie warto włączać kamery. Zbliża się południe i szkoda, że nie są teraz nad morzem; jest sobota. W pewnej chwili musi zawiązać sznurówadło u lewego buta; ona krążąc czeka. Gdyby ich ktoś zobaczył, długo nie wiedziałby, co o nich sądzić: córka z ojcem czy para? Nie całują się; przez chwilę, wydostawszy się na szerszą drogę, idą trzymając się za ręce, ale ta droga prowadzi ich w złym kierunku i znowu z niej schodzą. Droga prowadzi wyraźnie do jakiejś farmy; widać pasącego się konia. Daleko na szosie jadące auto: nie słysząc go. Słysząc ptaki; nie śpiew, świergotliwy alarm. Znowu o tym myśli, że nikt (ani w Nowym Jorku, ani w Berlinie) nie może wiedzieć, gdzie się obo-

je w tej chwili znajdują. Są nieosiągalni. To ich łączy. Od czasu do czasu mówią coś: LOOK AT THIS, żeby się upewnić, że są tu, a nie gdzie indziej. Prawdopodobnie nikt ich zresztą tego dnia nie szuka. Mają szczęście, pogoda dopisuje; wczoraj jeszcze padało. Przy skoku przez kałużę rozwiązał się węzeł jej włosów; rude włosy (czerwień głogu, ale jasna) spadają jej teraz luźno na plecy. Staje, by znowu związać je w węzeł, I AM GETTING HUNGRY, mówi, a że stoja, on także musi coś powiedzieć. DO YOU KNOW DONALD BARTHELME? pyta, HIS WORK? Ona mało czyta. HE IS A GOOD FRIEND OF OURS, dodaje, by nie pozować na znawcę literatury amerykańskiej. Tymczasem ona zaplotła swój węzeł, a ponieważ przed godziną obiecał, że odnajdzie parking, teraz on idzie przodem. Ścieżki nie ma. Gdzieś w trawie puszka po coca-coli; a więc był tu już ktoś przed nimi. Potem jej węzeł znowu się rozwiązuje; daje za wygraną i zostawia teraz włosy rozpuszczone. Lynn jest jeszcze bardziej nieosiągalna niż on; wprawdzie wczoraj, żeby wcześniej się wyrwać, powiedziała w biurze, dokąd jedzie z przyjaciółmi; ale gdyby ktoś dzwonił po wszystkich hotelach długiej wyspy: nie zapisano nawet jej imienia, tylko jego nazwisko, a nikt się nie domyśla, że są razem.

.....

..... : 53



## MAX, YOU ARE A LIAR

Nie wszystko udaje się tego dnia. Co prawda trafia na parking (tylko w snach zdarza się, że nie mogę znaleźć wozu) i niebieski ford stoi na swoim miejscu; jak przedtem, tak i teraz jedyny wóz. Lynn ma kluczyki; ona prowadzi. Wystarczyłby jej hamburger albo pizza. Dalej, przy latarni, gdzie kończy się droga, restauracja jeszcze nieczynna, można skorzystać tylko z toalety. On czeka na tarasie. Łopocący gwiazdzisty sztandar; luneta z otworem na monety, z której nie korzysta. Wieje tu. Gdy Lynn przez chwilę nie ma, a on czeka, z napięciem myśli, jak ona właściwie wygląda; nie ma w tym niecierpliwości. Stąd widać morze, ale on próbuje sobie przypomnieć jej głos. Kiedy go woła, mówi tylko: HI! bo on poznaje ją po głosie. Jej skóra (wie to): jasna skóra rudych; bez piegów. Opiera się o mur, plecami do morza; ona przejdzie przez ten opustoszały taras, a on jest przygotowany na to zaskoczenie, że ona, jakkolwiek wygląda, podejdzie do niego i po prostu będzie. Teraz jest południe; wszystko jest na zewnątrz: łopocący gwiazdzisty sztandar, nieforemna latarnia morska, mewy, dobiegająca skądś muzyka z tranzystora, błyszcząca blacha na rozległym parkingu, słońce, wiatr —

Lynn kończy 31 lat.

Przed paru tygodniami odwiedziłem' swoją córkę, starszą, jako dziadek. Była pora po temu; wnuczka już mówi. Po raz pierwszy także widziałem swojego niemieckiego zięcia. Poznali się w Szkocji i na widokówce (zielony pagórek) zawiadomili wtedy, że się pobierają. Spotkanie: ani łatwe, ani trudne. Córka, ten sam rocznik co Lynn, przerabiała w czasie rozmowy nie bieloną wełnę owczą. Przedtem zrobiliśmy spacer, ojciec z córką; rozmawialiśmy dialektem. Przed laty w ciężkich tarapatach napisała z całym zaufaniem i ja do niej napisałem. Odwiedziła mnie też ze swoim poprzednim przyjacielem, który mi się bardzo podobał... Jest pierwszym synem mojej pierwszej narzeczonej, z którą zerwałem, ona jest moją pierwszą córką; może dlatego się nie pobrali... Powodzi im się dobrze, słyszę. Nie było jasne, dlaczego teraz mamy sobie mało do powiedzenia. Postarała się o butelkę niemieckiego czerwonego wina; oboje nie piją wina, tak że zostawiłem pół butelki. Spędziłem u nich popołudnie, noc i przedpołudnie. Dopiero w pociągu do Hamburga, kiedy chciałem czytać, stało się to jasne. Nie wypieram się swojej winy; nie- mogą jej zmazać długie listy, tłumaczące dorosłej córce powody mojego ówczesnego rozwodu. Przydaje się ta nasza wina, wiele usprawiedliwia w życiu innych.

## MONTAUK

gdy siedzą teraz na kamieniach — pojawili się ludzie, wycieczkowicze, szukają muszli przed przyływem; trzech młodych Murzynów z tranzystorem, który nagle zaczyna grać głośno, a potem znowu cichnie, przeszło obok nie oglądając się na parę.

## DIRTY OLD MAN

nie uważa się właściwie za takiego.

## HOW DO YOU CALL THOSE BIRDS?

Pyta tylko po to, żeby oboje popatrzyli teraz w dal (to są zwykle mewy), a zarazem, żeby o sobie zapomnieć: za ciężki mężczyzna, przy tym ruchliwy, w koszuli typu „western”, którą nosi nie dlatego, by sądził, że go odmładza, ale dlatego, że jest praktyczna, z resztką włosów na głowie, które zawsze wyglądają jak nie przczesane, nawet kiedy nie targa nimi wiatr od morza; wytwornym panem nie jest; włosy szpakowate, aż po siwiznę... Myśli, kiedy ostatni raz pływał w morzu.

. SABLES D'OR, lipiec 1973:

postanawiamy się rozstać.

Wybrzeże tu jest kamieniste; plaży nie ma: przyplływ jest niewielki. Fala nie uderza z hukiem; chlupocze i skręca się między okrągłymi kamieniami i pozostawia pęcherze piany. Zamulone bajoro. To nie otwarty Atlantyk, którego szukali, tylko zatoka, mimo że nie widać ładu.

WHAT ARE WE GOING TO DO?

Potrzeba pracy.

CO MÓWIĄ DELFINY?

Tytuł mi się podoba, ale na tym się wtedy skończyło. Znalazłem go niedawno w starym kołonotesie, który wziąłem ze sobą do wariacji z powodu adresów, z uwagą: Powieść pełna wątpliwości — nie dochodzi do żadnej akcji; bohater, nowy człowiek, nie występuje. Delfiny mają inteligencję co najmniej taką jak człowiek, nie mają jednak rąk ani palców, dlatego nigdy nie zawładnęły światem, mówi Lynn, ponieważ nie mają rąk, tylko płetwy, i dlatego nie grożą światu zniszczeniem. Delfiny nigdy na przykład nie założyły państwa i wydają się (to trzeba przyznać) raczej wesołe. Lynn rozmawia z delfinami, tu na ziemi nie chce żadnego dziecka —

W 1972 nie znałem żadnej Lynn.

Ciągle jeszcze nie może uwierzyć, że zna to jej ciało. Nie spodziewał się tego. Gdyby Lynn od czasu do czasu nie dawała mu poznać, że i ona pamięta tę noc, jego ręce nie odważyłyby się ująć jej głowy.

W 1972 zajmował mnie świat.

### ALL POWER TO THE PEOPLE

napisy na murach z tego czasu są zatarte, ma się wrażenie, że nikt nie oczekuje już żadnej zmiany. Gdy się wychodzi z subwaju na światło dzienne, ludzie idą jak przed dwoma laty, po prostu jest dalej tak samo: czeka się przy czerwonym świetle, przechodzi przy zielonym. Nikt nie wie, co się dzieje. Gazety udają tylko, że wiedzą to z dnia na dzień. WATERGATE, gdyby tego nie było. Moi przyjaciele są młodszy, ale rozumieją już swoją bezsilność. Tylko kobiety mają jeszcze nadzieję na jakąś zmianę. Reszta to odprężenie. Plac Czerwony w Moskwie jest nie naruszony; na dworcu przy Friedrichstrasse w Berlinie wszystko jak do tej pory, tylko wstęp podniesiono do dziesięciu marek. Żadne zbrojenia, których celem miała być wojna, nie kosztowały nigdy tyle, co te rosnące zbrojenia mające zapobiec wojnie, na którą nasze mocarstwa nie mogą już sobie pozwolić; ich dążenie do pokoju, nawet za cenę bankructwa, nie ulega



kwestii. Podróżować? Niewiele za tym przemawia; wszędzie te same wątpliwości. Żadnego chaosu. Wszystko jeszcze jest, inaczej w telewizji nie mogliby tego pokazywać: mężowie stanu wysiadają z samolotu z dłonią uniesioną w powitalnym geście, czołgi na pustyni, gwardia papieska, jeden mąż stanu umiera, inny ustępuje, ciągłość rządów zostanie zachowana. Nafta szejików i koncernów jest pewną pociechą do czasu, nauka poszukuje innych źródeł. Zresztą nie dzieje się nic, czego by już nie było. Ochrona środowiska jako ostatnie zadanie ludzkości —

8. 4. NOWY JORK  
17.4. TORONTO  
18. 4. MONTREAL  
19.4. BOSTON  
22.4. CINCINNATI  
23.4. CHICAGO  
25.4. WASZYNGTON

Gram swoją rolę. Tylko w samolocie i w hotelu, w którym umieszczają mnie organizatorzy, jestem przez chwilę sam i nie muszę się o niczym wypowiadać, biorę natrysk czy kąpiel, potem stoję przy oknie, patrząc na jeszcze jedno miasto. Trochę tremy za każdym razem. W czasie odczytu dosłownie zapominam, co czytam. Potem zimny bufet; na te same pytania nie zawsze odpowiadam to samo. Żadna z moich odpowiedzi nie wy-

daje mi się zbyt przekonująca. Patrzę na panią, która do mnie mówi, widzę z bliska jej dobre zęby, dostaję szklankę do ręki i pocę się. To nie jest moje powołanie, myślę, ale oto stoję —

#### HOW DO YOU FEEL ABOUT RENOWN?

Kiedy Lynn w pewnej chwili zadaje to pytanie — dzieje się to w jej kuchence, w której po raz pierwszy gotuje dla obcego — on nie zna tego słowa. Nie ma pod ręką małego Langenscheidta; Lynn opisuje, co to słowo znaczy. Gdy zrozumiał pytanie, ofiaruje się otworzyć puszkę, jeśli będzie klucz, Lynn szuka; w szufladach groch z kapustą, ale klucz się znajduje; tylko jej pytanie pozostało bez odpowiedzi i mówią o kaloriach... Chciałem być sławny: jako bramkarz w meczach międzynarodowych. Potem nie tylko zmieniły się zainteresowania, ale zainteresowanie działaniem wzięło górę. Kiedy Uwe Johnson w nocy przy piwie w Spoleto (1962) pyta prosto z mostu: Panie Frisch, co pan robi ze sławą? w ogóle na to nie odpowiadam. Może chce sprawdzić, czy nie cierpię na manię wielkości? Naturalnie cieszy mnie, że wystawiają moje sztuki, że coraz więcej ludzi czyta moje książki. Rezultat tego, to mianowicie, że stałem się znanym pisarzem, nie uchodzi mojej uwagi. W lesie pod Zurychem mija nas jakaś para, dostrze-

gam, że nagle przerywają rozmowę; po dwudziestu krokach ogląda się ona, potem on. W publicznej saunie jest to bardziej kłopotliwe; nagus, który przed natryskiem zwraca się w końcu do mnie: CZY PRZYPADKIEM NIE PAN FRITSCH? wyraźnie nie jest czytelnikiem, wie jednak, że jestem znaną osobistością, ponieważ telewizja pokazywała, gdzie i jak mieszkam. Nadzy, obaj nie mamy długopisu, żeby poprawnie napisać moje nazwisko. Czasem się to przydaje: niemiecki celnik, zobaczywszy mój paszport, w ogóle nie chce przeglądać walizki, tylko ofiaruje swoją pomoc; nie tylko zna nazwisko, ale dobrze pamięta sztukę, która mu się podobała: WIZYTA STARSZEJ PANI. To samo, nawet bez pomylenia osoby, spotkało mnie ostatnio na przykład w Londynie: SIR, IT IS A GREAT HONOR FOR ME, powiedział młody urzędnik paszportowy i mimo tłoku znalazł jeszcze czas, by wymienić trzy angielskie tytuły i dodać, co mu się najbardziej podobało. Ucieszyło mnie to; mogłem tego w tym momencie potrzebować. Kiedy w restauracji witam się z kobietą i rozglądam, gdzie by powiesić jej płaszcz, nie myślę oczywiście o tym, że jestem obserwowany; ona mówi: Chodźmy gdzie indziej, tutaj nasłuchują, co mówisz! Przez długi czas nie muszę nic udawać, jestem rzeczywiście głuchy, gdy na boku szepczą moje nazwisko. Naturalnie wiem, że od kilku lat mam czy-

telników, a także widywałem ich już w salach; nie liczą się z tym, że jadą tym samym autobusem. Oczekując na peronie, nie czują się osobą publiczną i nie muszą się starać o zachowanie specjalnej skromności; zajęty jestem zupełnie czymś innym. Jak jestem znany, dowiaduję się którego dnia od mojej córki, irytuje ją to: wystarczy, że powie w tańcu swoje imię i nazwisko, a jest to już moje nazwisko i swobodna rozmowa utyka. Nic na to nie poradzę. Zresztą nie od razu stałem się znany. Nie wiem, co lepsze: ktoś, kto się budzi rano i stwierdza, że jest znany, będzie odtąd uważał to za zrozumiałe samo przez się i nie będzie się, jak ktoś drugi, raz po raz dziwił; u tego drugiego robi to za każdym razem wrażenie kokieterii. Łatwo się peszę, kiedy ktoś, kogo nie znam, nagle zwraca się do mnie i okazuje się moim czytelnikiem. Jak się panu wiedzie? Często cenią to, czego bym już dziś nie napisał, i człowiekowi wydaje się niemal, że się sobie sprzeniewierzył; najczęściej udają wtedy, że się bardzo spieszą. Oczywiście zdarza się też, że ktoś, na przykład pijany w barze, zaczyna mnie zanudzać albo przynajmniej próbuje; przypuszcza, że jestem sam sobą zachwycony. W tym wypadku nie można natychmiast zapłacić i wstać; ale w tym wypadku w ogóle nic nie można, niemożliwa jest rozmowa, żadna. Tym, co tak leży temu człowiekowi na wątrobie, nie są moje

poglądy, ale powodzenie: najczęściej jest to ziomek. Potem znowu zapominam, że list gończy wisi. Większość ludzi, którzy mnie poznają, zachowuje dyskrecję; pozwalają mi wypić moje piwo, jak karzełkowi Titelitury, który nie zdradza swego imienia, a potem ód osób trzecich słyszę, gdzie byłem przedwczoraj na piwie. Nie chcę przesadzać, bywa różnie, w zależności od miejsca; wszędzie, gdzie mieszkają robotnicy, czuję się pewnie, choć nie nastraja mnie to akurat najlepiej. Kim są moi czytelnicy? Jeśli w Berlinie tapicer pyta: Pan jest tym pisarzem? to widzę, że moje „tak” cieszy go. Dlaczego? Potrzeba szacunku; człowiek wyczytał gdzieś nazwisko i nie wątpi, że nie baz powodu ktoś ma nazwisko, i z zadowoleniem przyjmuje to, że każę w Berlinie rozwiesić zasłonę, i wykonuje swoją pracę szczególnie starannie. Rozpieszczają człowieka. Stanie w ogonku od kasy nudzi mnie tak jak każdego; czekam cierpliwie jak każdy, ale jestem obserwowany. Także do tego można się przyzwyczać. Inny skutek: kiedy dochodzi do pierwszej rozmowy, ludzie nie mówią po prostu o sobie i swoich planach, tylko o moich publikacjach, albo widząc, że się od nich tego nie oczekuje, najmniej właśnie tego, ograniczają się do słuchania; skazuje mnie to na swojego rodzaju izolację, którą nie zawsze można przełamać, a która jest niebezpieczna, bo zachęca do monologu;



przebywanie w towarzystwie staje się nudne. Typ spotykany czasami, na pierwszy rzut oka intelektualista: przez dwie godziny zachowuje się tak, jakbyśmy nie zostali sobie przedstawieni, i nawet przy zimnym bufcie słowem się nie odzywa; potem, kiedy daję się komuś wciągnąć do rozmowy, przysłuchuje się niekiedy z pewnej odległości, która pozwala mu się nie angażować; tymczasem rzeczywiście zapomniałem już jego nazwiska, wobec czego nasz kontakt zaczyna się od tego, że się usprawiedliwiam; mimo to nie zbliża się, dopóki inni biorą jeszcze udział w rozmowie; pod koniec wieczoru nie mogę się od niego uwolnić, stoimy teraz w kącie, gdzie on z uporem pokazuje, że sława (tak to nazywa) nie robi na nim absolutnie żadnego wrażenia. Bystra głowa. Co sam robi, długo nie chce powiedzieć. Na koniec usprawiedliwia się. Z jakiego powodu? Nie musimy przecież być tego samego zdania. Kiedy proszę go o jego esej, twierdzi, że ów esej, który ma się wkrótce ukazać, jest już nieaktualny i że wolałby, żebym nie czytał tego, co on o mnie napisał. Widocznie przypuszcza, że to mnie tylko dotknie. Dlaczego nie miałoby mnie przekonać? Przy dłuższym powodzeniu łatwiej czasami wyzbyć się próżności. To jest ta dobia strona. Coś innego: nie należę do tych, których chroni legenda. Nie raz wyczuwam to przy podawaniu ręki: plot-

ka, której nie znam, wprawia w zakłopotanie ludzi, którym mnie przedstawiają. Z reguły nie dociekam, co tam gadano, a jeśli to do mnie dociera, więcej dowiaduję się o innych niż o sobie. Zawiść? Nie pierwszy sukces i nie drugi, ale pasmo sukcesów jest kamieniem obrazy właśnie dla czcicieli sukcesu; insynuują, że jedyną potrzebą i celem człowieka jest dokuczać im swoimi sukcesami (wystarczy, że za takie je uważają); z czasem tak ich to denerwuje, że nawet moja porażka nie daje im spokoju. Bywają także wielbiciele. Należy do nich pewien stary człowiek w Berlinie; dowiaduję się o tym od jego żony, która zmusza go, żeby się przedstawił. Twarz uczennicy na ulicy; widzę, że jestem materiałem lekcyjnym, i ona przygląda mi się, jakbym nie widział jej bezgranicznego podziwu. Dalej bywają pochlebcy; niektórzy z nich nie mają w tym nawet żadnego celu. Dalej bywają wysoko postawione osobistości, którym z jakichś przyczyn na tym zależy, żebym się dobrze czuł przy długim stole, i ich małżonki... Sława? W przeciwieństwie do sukcesu nikogo nie napęlnia zawiścią. Nie dochodzi do pochlebstwa; nawet jeśli osoba pozwala na nie wskutek zakłopotania, sława pochlebstwa nie dopuszcza. Myślę o spotkaniach z Beckettem; łatwo z nim mówić albo milczeć przy szachach, dzieło wydaje się dalekie od niego, a zarazem się z nim identyfikuje. Nie

zdarza się też, by ktoś drugi czuł się pochlebiony; nie siedzi tu żaden gwiazdor, nikt, kto by usiłował zasłonić się pozorami skromności, zdradzając tym samym, że uważa się za gwiazdora. Odnosi się to także do małej sławy. Oczekuje się, że człowiek nie będzie liczył na zrozumienie, nie mówiąc już o pochwałach, albo kiedy się tego oczekuje, okazuje się to pomyłką. Jako osoba może zresztą rozczarować, jeśli jest na przykład nieszcześliwy. Jeżeli okaże się, że przekreśla część lub całość swego dzieła, to jest to jego sprawa,- jego ocena samego siebie nie jest dla innych wiążąca; nazwisko, jakie otrzymał przy urodzeniu i przez całe życie kładł w podpisie, określa działalność publiczną i oderwało się od osoby. Tego musi się nauczyć; jeśli się tego nie nauczy, nieustannie będzie się ranił. Sława nie powstrzymuje krytyki, można się tylko spodziewać, że krytyka nie będzie już wymierzona w osobę, co jest słuszne, ponieważ krytykowana będzie nie osoba i jej praca, ale sława. Społeczeństwo potrzebuje sławnych osobistości; kogo sobie w tym celu wyszukuje? Krytyka staje się krytyką społeczeństwa.

LYNN:

gdy nie słyszy jej głosu, uprzytamnia go sobie lepiej niż jej rysy, gdy nie widzi twarzy. Nie tylko, jak Amerykanie, rozciąga

CG

samogłoski, ale także wymawia je wyżej. Jego imię, wymówione jej głosem, brzmi dźwięcznie, końcowe krótkie X jak na ksylofonie. Nie połyka sylab. Jej głos nie wyraża uczuć. Jak dźwięk mocno napiętej struny; potem pogłos, który nadaje mu soczystość. Są takie chwile, że jej głos mu wystarcza.

Zanotowane w samolocie:

Oplaca się lecieć raz pierwszą klasą; obok mnie dość młody pasażer, który, jak się okazuje przy szampanie, handluje bombami. / Prawy człowiek to taki, który jest nieco zakłopotany, kiedy mu się mówi, że jest prawym człowiekiem. / W Harvardzie amerykańska germanistka, która pisze o Ingeborg Bachmann, o dziele i postaci; jest bardzo wdzięczna za pomoc, jaką jej okazałem: podanie rzymskich adresów. / W Cincinnati pytanie o stosunek pisarza do jego dawniejszych prac. Nie wiem, co na to odpowiedziałem — zamiast posłużyć się przykładem malarza, który w obecności swojej żony powiedział: ACH, TE STAROCIE, TAKIE GÓWNO! a potem ona, jako że chodziło o wystawę, retrospektywę, żeby skrócić jego medytacje, odezwała się: ZOSTAWŹE TE STAROCIE! nie zdając sobie sprawy, że do tego określenia, jego określenia, nie ma prawa; nie ona to malowała. / Kiedy się Ameryka-

nom mówi: I AM A SOCIALIST, nie traci się ich szacunku, przeciwnie, przekonani są, że się jest czymś w rodzaju gwiazdora, który może sobie na to pozwolić. / Patrząc z samolotu: trudno uwierzyć, żeby na tej wielkiej ziemi z tylu osiedlami i miastami człowiek mógł gdzieś zaginać. Przyprawia to o lekką euforię. Gdy człowiek, utwierdzony w takim przekonaniu, zatrzyma się w tym czy innym mieście, czuje się pod psem. / On jest obrażony! to gorzej niż powiedzieć: To kanalia. A tego nie mówimy tonem protekcyjnym. / Poczucie winy, przy czym nie wiem, co uważam za winę. / Dwa razy, w Montrealu i Chicago, publicznie, pytanie: Czy to prawda, panie Frisch, że pan niewidzi kobiet? / Stosunek wieku do niewiedzy: jaką to daje krzywą matematyczną? Mimo rosnącej wiedzy krzywa wznosi się wraz z wiekiem: niewiedza okazuje się nieskończona. / Czy widział kto, żeby dwa psy, spotkawszy się, rozmawiały o trzecim psie, dlatego tylko że poza tym nie mają co ze sobą robić? / Jako bajka o rybaku, który wyciąga sieć, ciągnie ją z całej siły, dopóki sieć nie znajdzie się na lądzie, i w środku jest on sam, tylko on. Umiera z głodu. / Jej katolicki stosunek do prawdy. / Lęk o pamięć: Jak gdy się próbuje pisać kredą na szkło i szkło nie przyjmuje kredy, która zostawia tylko nieczytelne ślady. Przypominam sobie dokładnie, gdzie i komu to po-



wiedziałem. Wyszliśmy na długi pomost. Kiedy mówił, rozumiałem wszystko. Potem stanęliśmy na końcu pomostu. Gdyby był poszedł dalej, za pomostem, nad żółtawą wodą, podążyłbym za nim i teraz dopiero bym się utopił; nie pamiętam już, jak to wytłumaczył. / Impotencja (pierwszy raz) w 35 roku życia —

## ARENA STAGE

Euforia na widok pustej przed południem sceny w Waszyngtonie. Historię o hrabim, który chwyta za siekiere, grali przed rokiem; aktorki i aktorzy przedstawiają się imionami ze swoich ról: COCO, ELSA, MARIO albo I AM THE WIDÓW, I AM THE MURDERER. Co potrafią, widzę wieczorem: LEONCE AND LENA. Jestem szczerze zachwycony, co potem mówię w garderobach, stąd i pocałunki, jakimi mnie obdarzają, są zasłużone. Muszę obiecać, że napiszę sztukę i przyjadę do Waszyngtonu, i wystawię ją z nimi na tej scenie. Obiecuję to. Jaką sztukę? Nową sztukę, myślę: sztukę innego rodzaju, pogodną, bezwstydną, niekoniecznie do śmiechu, ale bez morału. Nie obliczoną na nic poza czystą grą. Obiecuję to nie sobie, tylko aktorce, która właśnie grała ROSETTE; ktoś musi przy mnie być, jakieś ciało, żeby sam wierzył w tę obietnicę. Tak się to zresztą zaczęło, ta potrzeba pi-

sania sztuk: widzę ciała, które potrafią grać, i chciałbym, aby grały mnie, aby moje słowa przyoblekły się w ciało, wiele ciał męskich i kobiecych.

LYNN

Zdjął jej po prostu okulary, by raz spojrzeć jej w oczy. Śmiała się z jego angielszczyzny. Zrobił to ostrożnie, nie dotykając jej skroni, jak optyk obsługujący klientkę. Stoi w swojej kuchence trzymając w obu rękach naczynia, bezbronna w tej chwili. Kolor jej oczu: jak szary płaski kamień w wodzie. Stwierdza, że w okularach jest jej nie do twarzy, a ona stwierdza, że on jest nie fair. BECAUSE I NEED GLASSES, mówi. Wobec tego zwraca jej okulary. Ona mówi: WHY DON'T YOU HAVE A SEAT. Ładne mieszkanie. BUT VERY SMALL, mówi ona. On mimo to chodzi tam i z powrotem trzymając ręce w kieszeniach od spodni: LIKE A PRISONER, mówi ona, OR LIKE AN ANIMAL. Zaprosiła go, ponieważ niedawno zapłacił za ten business-lunch i, jak Lynn przypuszcza, od trzech tygodni „stale jada w restauracjach. Miły pomysł; potrafi go docenić i siada jak gość. Lynn jako kucharka jest powolna i nieporadna, nie umie równocześnie rozmawiać. Natomiast on może trochę pomóc: może pokrajać pomidory na plasterki. Potrafi przy tym nie zabrudzić

małego biurka; może też równocześnie rozmawiać, tylko nie bardzo wie, o czym: że w Kanadzie jeziora są jeszcze zamrożone, ta masa jezior rozrzuconych jak białe papierki, jak podarta na strzępy kartka wyrwana z maszyny. No i gotowe, dwa pomidory pokrajane na plasterki. Jest niedziela, wczesny wieczór i na dworze jeszcze jasno, i on znowu wstał, tymczasem patelnią skwierczy. Ogląda jej książki. Wie, że jest nudny. W ostatnich dniach dosyć się nagadał o literaturze. Czy sam też gotuje? Lynn ma mało książek, co za ulga. Rozmowy o literaturze, polegające zwykle na tym, że się demonstruje swoje wiadomości i szasta ocenami, na takie rozmowy nie ma ochoty; na inne też nie. Lynn kupiła butelkę wina, którą on, zaproszony mężczyzna, może otworzyć, SAUTERNES. Jakieś zajęcie; jest z tego zadowolony. Czy jest głodny? Jej włosy, długie i do tej pory luźno' opadające, przeszkadzają jej, gdy musi się nachylić, by wyjąć śmietanę z lodówki; Lynn, zanim zabierze się dalej do gotowania, znowu musi związać włosy na głowie w węzeł, a przedtem musi umyć i wytrzeć ręce. Trochę się denerwuje, choć on właściwie na nią nie patrzy. Na fajkę jest jeszcze czas. Siada więc z powrotem na sofie. Zdaje sobie sprawę ze swojego wieku; zdecydował się to w końcu przyjąć do wiadomości. Koniecznie by trzeba było teraz cokolwiek

powiedzieć. Dlaczego Lynn się nie odzywa? W milczeniu, nabijając fajkę, postanawia nie siedzieć długo po jedzeniu i w żadnym wypadku jej nie całować. Nabija fajkę najspokojniej jak potrafi, najwolniej jak potrafi. Nie wypada tym rękoma objąć ją w tali. Lynn zajęta jest drugą patelnią. Jej mieszkanie: mniejsze, niż myślał, jedne drzwi do łazienki, inne są drzwiami do szaf, a więc jeden pokój. Dwa zakratowane okna; mimo to ukradziono jej telewizor. Widocznie te kraty nie są takie pewne; widzi, gdzie kraty zostały wygięte. Ona: WHAT CAN YOU DO. Oczywiście mieszka się pod strachem. Potem prosi gościa, żeby nalał wina. Przed oboma oknami: żelazne drabiny przeciwpożarowe, jak stworzone dla włamywacza. Widok na mur w odległości niespełna pięciu metrów, mur bez okien; w górze widać jeszcze kawałek nieba. Czy można zapytać, ile wynosi czynsz. Wszystko, co ugotowała i upiekła, jest smaczne i Lynn odprężyla się teraz. Nie trącają się szklankami, Lynn mówi tylko: Hi! Je z apetytem, ale jeszcze raz wstaje, żeby nastawić płytę, VIVALDI. Jej miesięczny zarobek: 1080 dolarów, po potrąceniu podatku: 750 dolarów. Dwa tygodnie urlopu w rokit. To jest tu normalne. Z tygodnia na tydzień mogą jej wymówić, gdyby firma, do której należy lśniący wieżowiec, była z Lynn niezadowolona. Tak tu jest.

## MONEY

W cztery oczy zdobyłem się na ojcowskie pytanie o ich sytuację finansową (jej szkoła dla dzieci upośledzonych nie jest utrzymywana przez państwo, gdyż stosowana tam pedagogika nie może być uzależniona od niemądrych rozporządzeń jakichkolwiek władz); córka, która w czasie rozmowy przebrała nie bieloną wełnę, opacznie może zrozumiała to pytanie. To, co ojciec, który pozostawił rodzinę, duchowo winien jest swoim dzieciom, nie da się spłacić pieniędzmi. Jej odpowiedź: Na razie dajemy sobie radę. Mina przy tym raczej drwiąca.

## IT IS POINTLESS

mówi Lynn, kiedy ją jednak pocałował. By usadowić się na sofie, zsunęła pantofle, i bez tych koturnów na korku jest oczywiście niższa, niewiele, trochę niższa. Zaskoczyło go to. Oddała pocałunek, ale potem uwolniła biodra od obcych dłoni, bez pośpiechu, jedynie z łagodną stanowczością; jej odpowiedź nie zawstydzą go, bo dorzuca jego imię: nie jest przykra, tylko jasna. Przynosi potem album. Fotografie go nudzą. Musi się jednak zachowywać jak gość. Zdjęcia ze ślubu studentki college'u na Florydzie: Lynn na biało, nie tak szczupła jak dzisiaj, z dłu-



gą wiązanką kwiatów w race, goście weselni pod palmami. I GOT MARRIED AS A VIRGIN, mówi, THAT SHOULD NOT BE ALLOWED. By je pokazać, wrywa każde zdjęcie z albumu.

## WSPOMNIENIA

Kiedy się pierwszy raz ożeniłem... Próbuje opowiedzieć to po angielsku: SHE TOO WAS A VIRGIN, ale to nie należy do rzeczy, SHE WAS AN ARCHITECT TOO. Uważa, że to jest niezwykła historia, i ma nadzieję, że jego zasób słów okaże się wystarczający bez małego żółtego Langenscheidta, o ile Lynn nie będzie zadawała zbyt wielu dodatkowych pytań: I GOT MARRIED TWICE, mówi, LEGALLY, dodaje, żeby to skrócić i przystąpić do właściwej historii; jedna z tych autentycznych historii, które nie powinny być za długie. Od czasu do czasu mówi: YOU KNOW WHAT I MEAN. Wynajmujemy mieszkanie, trzy pokoje, parter z kawałkiem ogrodu przed oknami, i jesteśmy szczęśliwi, mówi: TO HAVE GOT THIS PLACE. Nie obchodzi mnie, kto jeszcze poza nami mieszka w tym czynszowym domu. Mimo to dowiaduję się, że na pierwszym piętrze mieszka młoda kobieta, całkowicie sparaliżowana, niejaka pani Haller, której wskutek teao nigdy nie widuje się na schodach. I WAS THIRTY ONE, mówi, EXACTLY

YOUR AGE. Następnego ranka po uroczystościach weselnych w arystokratycznym stylu przed drzwiami mieszkania leżały kwiaty. Od pani Haller z pierwszego piętra. Nie idę na górę, żeby podziękować. Nie raz za to spotykam na klatce schodowej starszą niezamężną niewiastę, która opiekuje się sparaliżowaną; nazywa się Eichelberg czy Eichelberger, kłaniamy się sobie przy skrzynce na listy, przy czym na ustach opiekunki za każdym razem pojawia się nieprzenikniony uśmiezek. Sparaliżowana dużo słucha radia, nie tylko muzyki, która mniej przeszkadza, także słuchowisk i pogadanek. Jej głosu nie słyszymy nigdy. Jak dowiadujemy się od naszej wspólnej praczki, już od lat nie opuszcza ona łóżka; nigdy też nie będzie mogła go opuścić. INCURABLE, to jest właściwe słowo, INCURABLE. Kiedy muszę iść na górę i, co się nawet częściej zdarza, poprosić pannę Eichelberg o sól albo klucz do konserw czy czego tam akurat zabrakło w naszym młodym gospodarstwie, zawsze czekam na klatce schodowej; widzę mały przedpokój i przez otwarte drzwi pokój, w którym leży sparaliżowana. Jej samej nie widzę, tylko szafę, poza tym róg dywanu. Wiem teraz, gdzie stoi jej łóżko. Ona słyszy mój głos. Potem znowu o niej zapominam. Pewnego razu sprawa przybiera nieprzyjemny obrót. Muszę prosić o bezpieczniki elektryczne; bez zapasu

elektrycznych bezpieczników, na który u panny Eichelberger można było liczyć z taką samą pewnością jak na ów szczególny uśmiezek, musielibyśmy pierwszy okres naszego małżeństwa często spędzać w ciemności. Proszą mnie, żeby wejść. Rozumiem: pani Haller, która już od roku zna mój głos, pragnie wreszcie zobaczyć tego lokatora. Natychmiast kłamię, mówię, że właśnie ktoś do nas przyszedł. Miałbym do zrobienia pięć czy sześć kroków. Innym razem z przyjemnością! — powiadam i dziękuję za bezpieczniki. Nazajutrz gromadzę własny zapas elektrycznych bezpieczników; nie mam ochoty więcej tam chodzić. Właściwie nie wiem, dlaczego nie chcę widzieć pani Haller. Proszę żonę, aby na przyszłość, jeśli zapomni czegoś kupić, sama zechciała pofatygować się na górę. Przez cały rok rzeczywiście tam nie zachodzę. W tym czasie przychodzi na świat nasze pierwsze dziecko i jestem zdecydowany poszukać innego mieszkania, większego, brak na to jednak pieniędzy i zostajemy. Mija jeszcze rok, zanim dowiaduję się, kim jest Teresa Haller. Nie dało się uniknąć i było rzeczą naturalną, że moja żona i ta panna Eichelberg, która godziła się nieraz przypilnować naszą Urszulę, przyjaźniły się i że moja żona została zaproszona do mieszkania na piętrze; nie odmówiła i poznała sparaliżowaną, która nie mogła nawet poruszać rękami, tylko głową.

Paraliż po porodzie. Dowiadują się o tym, kiedy siedzimy przy stole, żona, ja i nasza mała na wysokim krzeselku, i kiedy mała gaworzy, słyszę dalej, że ta nieuleczalnie chora osoba mnie zna. Chodziliśmy jakoby razem do szkoły powszechnej. Teresa Hal-ler-Mock, od lat codziennie widziałem to nazwisko na jej skrzynce na listy, nigdy jednak nie wyczytałem z niego jej zdrobnia-łego imienia: Thesy. Nie tylko chodziliśmy razem do szkoły, MY FIRST LOVE, mówi, BUT SHE COULD NOT KNOW THIS. Dzie-wczynka jak rzepa z jasnymi warkoczami, z których się wyśmiewaliśmy, żeby za nie ciągnąć. Nigdy nie byłem z nią sam na sam. Mój najlepszy przyjaciel, syn robotnika, także kochał się w Thesy. W rondelku jego matki, która cały dzień pracowała w przę-dzalni, wytapialiśmy obrączki z ołowiu. O tym Thesy nie mogła wiedzieć. Całe popo-łudnia spędzaliśmy na tym odlewaniu, przy czym ołów, w rondelku błyszczący jak sre-bro, po zastygnięciu zawsze tracił połysk i nim pierścionek można było włożyć na pa-lec, zawsze był już matowy i szary. Nie pozostawało nam nic innego, jak dopadać Thesy na szkolnym dziedzińcu i ciągnąć ją za warkocze. Raz, na szkolnej wycieczce, pocałowała mnie w usta, miała czternaście lat, i tak samo mojego przyjaciela... Obiecu-ję, że któregoś dnia w końcu odwiedzę spa-raliżowaną; rzeczywiście mam ten zamiar.

Kiedy siedzimy w ogrodzie, może nas słyszeć: jej okno jest najczęściej otwarte. Podobno nie odczuwa żadnych bólów. Gdy przeczytała w gazecie, że odniosłem zawodowy sukces, kazała mi pogratulować. A ja ciągle jeszcze nie poszedłem na górę do pani Haller. WHY NOT? Mówi: I JUST DON'T KNOW. Tymczasem wynająłem mansardę, żeby móc także wieczorem pracować w domu; tak więc prawie każdego wieczora przechodzę obok drzwi jej mieszkania. IT'S A SHAME, mówi, I KNOW. Kiedyś wieczorem wracając z placu budowy do domu zastaję drzwi od naszego mieszkania szeroko otwarte, mieszkanie puste, na dworze ulewa; żona nie może być w ogrodzie, na próżno wołam. Może jest na górze? W kuchni na ogniu stoi pusta patelnia, rozpalona. Gdy wchodzę na górę, otwiera panna Eichelberger i uspokaja mnie, że żona jest już przytomna. Nie rozumiem, co się stało, i w chwili kiedy wchodzę do mieszkania, którego progu starałem się od lat nie przestąpić, przygotowany jestem na wszystko, tylko nie na spotkanie z panią Haller. Dowiaduję się, że moją żonę przy kuchrti trafił piorun. Żona leży w fotelu dosyć oszołomiona, blada, ale przytomna. Oczekiwała w tym czasie naszego drugiego dziecka. Panna Eichelberg prosi mnie, żebym spoczął. Nie siadam. Stoję między moją żoną a sparaliżowaną, która leży w swoim łóżku. Nasza



mała też jest tutaj; my jako rodzina. Na dworze ciągle jeszcze błyska. Wezwany powtórnie do zajęcia miejsca, wysłuchawszy dokładnego sprawozdania, czuję, że pora przywitać się z panią Haller; mówię: Thesy! jakbym dopiero teraz wszedł do pokoju. Jej łóżko nie stoi zresztą tak, jak sobie przez lata wyobrażałem, tylko w stosunku do tego, co oczekiwałem, prostopadle; to wywołuje dodatkowo moją irytację i sprawia, że właśnie w tym momencie zapominam, co przecież wiem od lat: Wyciągam do niej na powitanie rękę, której ona nie może przyjąć. Uśmiecha się jednak. Jej ręce spoczywają wzdłuż ciała na łóżku, ręce lalki. Nie mówimy sobie zresztą „ty”. Siadam tak, by mówiąc nie musiała zwracać głowy. Pani Haller uważa, że się nie zmieniłem. Ma dziecienną twarz i mówi wolno, przy tym wesoło, o ile to wypada ze względu na moją żonę, która ciągle jeszcze boi się każdej błyskawicy. Panna Eichelberger zrobiła herbatę. Wyłączyłem płytę w naszej kuchni. Sparaliżowana, jakby oczekiwała naszej wizyty, leży w naszyjniku i z bransoletą na ręce, starannie uczesana. Nie pyta, dlaczego nigdy nie przychodziłem. Nasza Urszula siedzi na jej łóżku. Po filiżance herbaty dochodzę do wniosku, że czas sprowadzić żonę na dół, choć właśnie ona, dzięki towarzystwu, zapomniała już nieco o przebytych szoku i czuje się tu właściwie najlepiej,

i jak już kiedyś poprzednio mówię: Innym razem z przyjemnością! Dziękuję oczywiście za pomoc i wszystko. Jak się mam pożegnać, skoro pani Haller nie może mi przecież podać ręki, nie wiem. Czy mimo to mam uścisnąć jej rękę? Przedtem jeszcze zdołaliśmy sobie nawet przypomnieć nazwisko mojego ówczesnego przyjaciela: nazywał się Bondi, Emilio Bondi. Co też mogło się z nim stać. Kiedy się w końcu trochę raptownie zegnaliśmy, mówię: pani Haller. Brzmi to lepiej niż Thesy, serdeczniej, ujmuję przy tym jej bezwładną rękę, leżącą wzdłuż ciała na kołdrze; wydaje się, jakby tego nie czuła. Wychodzimy. Lekarz ze względu na ciążę zbadał moją żonę i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Dopiero w ostatnich godzinach przed porodem przypominam sobie o tym, jest deszczowa noc bez burzy, nagle pojawia się obłądny strach, że urodzi się istota nieodwracalnie upośledzona, skazana od urodzenia. Czuję się winny. Żona też o tym myśli, widzę to, tyle że się do tego przed sobą nie przyznajemy. Trzymam jej spoconą dłoń, do chwili gdy lekarz mnie odprawia; mam usiąść w pokoju i napić się wódki, zawołają mnie. Żona chce jednak, żebym był obecny przy porodzie, zostaję więc do momentu, gdy dziecko już jest. Zdrowe dziecko, syn. Mieszkaliśmy jeszcze kilka lat w tym mieszkaniu, ale nigdy więcej nie odwiedziłem już pani Haller. Zawsze

tylko miałem zamiar to zrobić. Później (1955) wyprowadziłem się stamtąd —

### MAX, YOU ARE A MONSTER

— i mieszkam sam: dwa pokoje w chłopskim domu, kuchnia i łazienka, płyty można puszczać do 22.00, nie trzeba się wspinać na palce, żeby sięgnąć sufitu, wieśniaczka na dole, stara panna, słyszy każdy krok, nawet jak się zdejmie buty; cichy szmer naftowego pieca; trzy pracowite zimy, cztery pracowite lata —

### MONTAUK

Nie wszystko się udaje tego bezchmurnego dnia. Jego propozycja według mapy: CULLODEN POINT. To, co sobie obiecywał: wieś, mała wioska rybacka z portem, masztami, domami, mieszkańcami (jak w Bretanii przed rokiem), a potem nie warto się nawet zatrzymywać: płaski teren, na nim baraki, częściowo rozpadające się, motorówki przyczepione do boi, inne w reperacji na lądzie, parkingi, stacje benzynowe z chorągiewkami, sterty starych opon, teren pokryty wszelkiego rodzaju odpadkami i kałuże: FOR SALE, znane szyldy: TEXACO, PIZZA, SHELL, BLUE RIBBON, HAMBURGER, REAL ESTATE. Jest dokładnie południe — może młoda kobieta imieniem Lynn wolałaby teraz być sama gdzie indziej... AMAGANN-

SETT, także indiańska nazwa; wysiadają tu, choć i to nie jest żadna wieś: trawniki wokół małych drewnianych, białych willi, trawniki i drzewa, wszystko wypielęgnowane, gdzieś tabliczka: FOR RENT. Nic nie jest ogrodzone; wszyscy są zamożni w tej okolicy, wszyscy hodują kwiaty, dobrobyt jako stan naturalny. Nawet błękitne niebo wygląda jak wypielęgnowane. Tu i ówdzie stoi lśniąca limuzyna. Zraszarka obrotowa przeciw zielonej nudzie. Skąd oni tutaj? Wszystko jedno, w jakim kierunku się pójdzie: trawniki i drzewa, białe wille. W jakimś punkcie gwiazdzisty sztandar; prawdopodobnie środek miejscowości. Tak przytulnie, wszędzie tak schludnie i przytulnie jak na reklamowym afiszu. Słysząc ptaki. Nagle staje się to tak monotonne, że nie wiadomo, o czym rozmawiać. Czytają szyldy: CHURCH, LIQUOR STORE, ANTIQUE SHOP, BOUTIQUE. Byłoby ratunkiem, gdyby się czegoś potrzebowało. Mimo wszystko Lynn ogląda spodnie, paski, nic określonego; to, co wystawione. Niczego nie kupi; nie chciała by, żeby jej coś podarował. Jak każda kobieta oglądająca rzeczy, których by za żadną cenę nie kupiła, jest tym natychmiast znudzona. Nie przypomina jej, że była głodna. On by się raczej czegoś napił. Dziewczyna, która prowadzi boutique albo przynajmniej obsługuje, nie podniosła się z krzesła; jest boso, czyta. Nie przeszkadzają

jej, nawet gdy Lynn w pewnej chwili z grzeszności o coś pyta i otrzymuje odpowiedź. To, co czyta w kieszonkowym wydaniu, obchodzi ją, zdaje się, bardziej od jej boutique'u. Nie wie, czemu patrzy na jej stopy, stopy czytającej. Ozdobne rybki w akwarium. Szkoda czasu. Lynn stoi teraz przy kapeluszach. Dziwi go, że się nie denerwuje. W mózgu zawsze krążą jakieś myśli, często te same, toteż nie interesuje się nimi. Kiedy z pęku pasków z ciężkimi, straszliwymi klamrami wyciąga jeden, żeby mu się przyrzec, Lynn mówi: MUCH TOO EXPENSIVE. To także nie zwraca uwagi czytającej. Mogą więc wyjść. Na jego BYE czytająca nie podnosi głowy, odpowiada jednak: HAVE A NICE DAY. W samochodzie (Lynn prowadzi) dociera do niego, o czym myślał w boutique'u: Chciałbym ten dzień opisać, tylko ten dzień, nasz weekend i jak do tego doszło, jak będzie dalej. Chciałbym móc opowiedzieć, niczego przy tym nie zmyślając. Czysta postawa narratora.

Dlaczego właśnie ten weekend?

— czemu nie opisać pierwszych zakupów na małym targu w Berlinie, pustego mieszkania, gdzie cały dzień czekam na robotników. Jutro ma być również ciepła woda. Ulice w tym przepołowionym Berlinie i jego knajpki, przepołowiona Hawela, jego



sosny pod północnym niebem. Po południu w mieście, żeby kupić sprzęty do kuchni; to już siódmy raz, jak urządzamy kuchnię. Mieszkanie leży w korytarzu powietrznym lotniska Tempelhof; samoloty nadlatują z zachodu, nisko, tak że słychać huk na tylnym dziedzińcu, i na zachód startują; w przerwach cisza, Friedenau. Trzeba jednak więcej rzeczy, niż się myślało: stora z listewek, bo rano słońce pada na biurko. Przyśrubowałem właśnie pięć wieszaków na garderobę. Jeszcze przedwczoraj mówiliśmy: Idę teraz do mieszkania. Dzisiaj mówimy: Idę do domu. Wszelkiego rodzaju papierowe pudła porozstawiane jak meble; książki na podłodze. Stara szafa, która od razu podoba się każdemu, kto tylko przyjdzie: kto ją znalazł? Ty ją znalazłaś. Kto znalazł ten długi stół? Troszczę się o kołki. Dźwięk rozlega się w pustych białych pokojach; muzyka z małego tranzystora. Dokładnie ten typ mieszkania, jakiego na próżno szukaliśmy w Zurychu: zwyczajne, ale wysokie. Tak więc jesteśmy w Berlinie. Okazuje się, dla czego: życie obok muru, paru przyjaciół także po drugiej stronie, ten i ów zawstydzą mnie swoją odwagą, wytrwałą odwagą. W niedzielę na grobie "Kleista. Najlepsze wnętrze w nowej architekturze, jakie znam: Filharmonia Scharouna. Zimny luty; rześkie powietrze. Najpierw urządzamy kuchnię; kuchenka na gaz. Mieszkanie nie może być

zatłoczone, i ja tak uważam, ale krzesła są potrzebne. Telefon stoi na podłodze. Mały okrągły stolik przypomina letnią restauracją albo bistro. Secesyjny świecznik, który Jurek przywiózł z NIEMIECKIEJ REPUBLIKI DEMOKRATYCZNEJ, i drugi secesyjny świecznik, który i tobie się podoba. Oswald Wiener prowadzi knajpkę, EXIL; dobrze się tam czujemy. Ty znalazłaś krzesła, po 50 marek za sztukę, i zachwycona jesteś sklepem, który prowadzi dwóch brodatych studentów; stoję właśnie, by wypróbować krzesła, a ty odwracasz się, jakbym ja nie miał nic wspólnego z tymi krzesłami; inny klient. Brodacze, częstując winem, zwracają się do nas obojga jako pary klientów, którzy są razem. Popołudnie nad Schlachtensee; kiedy jesteś wesoła, znowu na chwilę zapominam, jak jesteś ze mną nieszcześliwa...

#### JOURNAL INTIME

kiedy czasem zaczynam go odczytywać, na przykład gdy potrzebują jakiejś daty w związku z naszą rozmową, ogarnia mnie dziwne uczucie: że przed dwoma czy pięcioma<sub>x</sub> laty doszedłem dokładnie do tego samego przekonania — tylko później o tym zapomniałem, ponieważ nie udało mi się żyć w zgodzie z tym przekonaniem; żyłem jemu na przekór z zajadłą energią.

## IT IS POINTLESS

Oczekiwał, że zadzwoni do niego z hallu. Za oknem letni wieczór. Zamiast tego dzwonek u drzwi do pokoju, na progu Lynn. Dopiero w pokoju, kiedy już zamknął drzwi, powiedziała: HI! Nie zdejmuje swojej kudłatej kurtki; nie będą przecież siedzieli w pokoju. Nie podają sobie rąk. Lynn nie przyszła dzisiaj na swoją codzienną medytację. Zawsze dwadzieścia minut przed śniadaniem, dwadzieścia minut w swoim biurowym fotelu po pracy. Dzisiaj wezwał ją boss; konferencja. Teraz potrzebuje tylko fotela i swoich dwudziestu minut. On nie musi wychodzić z pokoju, jego obecność nie będzie jej przeszkadzała, jeśli nie będzie się odzywał. Postawiwszy na dywanie swoją torebkę, właściwie dużą torbę, siada bez słowa z zamkniętymi oczami, z dłońmi luźno, na płask złożonymi na kolanach. On mógłby tymczasem czytać gazetę, BOOK REVIEW. Zamiast tego krząta się w małej kuchence, żeby być od niej dalej; nie zdejmuje przy tym marynarki. W czasie gdy ona tak siedzi i oddycha, trzymając ręce luźno i bezwładnie, niemal nie zwraca na nią uwagi. A ona oddycha. Nic poza tym. Oddycha lekko, a potem, tak mu się zdaje, coraz wolniej, równomierniej. Spojrzał zresztą na zegarek: to miało być dwadzieścia minut. W pewnej chwili jej prawa noga

zmienia pozycję, o czym ona jakby nie wiedziała; ale nie obsuwa się ta noga, jak u kogoś, kto usnął na siedząco. Lynn nie śpi. W pierwszych minutach, które się dłużą, przemyka mu przez głowę: SHOW. Potem stoi przy oknie, plecami do niej, z rękami w kieszeniach spodni. Raz patrzy dłużej z góry, z jedenastego piętra, na to skrzyżowanie. Przed dwoma laty było to szesnaste piętro. Ludzie widziani z tej wysokości: kapelusze na ramionach, różnokolorowi, płascy jak guziki, ale ciągnący za sobą swoje długie cienie, dopóki świeci słońce albo palą się latarnie, potem cienie okręcają się wokół nich, skracają i znowu wydłużają. Jeśli się ha kogoś czeka (jak przed dwoma laty) i tak z góry chce się go rozpoznać, jest to trudne: brązowy kapelusz i już się myśli, że idzie, że nie bardzo się spóźniła, nie ma powodu do podejrzeń. Można się pomylić; kapelusz idzie w innym kierunku. Gdy teraz, nie chcąc znowu wracać do starej śpiewki, odchodzi wreszcie od okna: dwanaście minut, a nieznanjoma ciągle siedzi w fotelu, głowę trzyma prosto, wargi ma zaciśnięte, wąskie, oczy zamknięte. INCONNUE DE LA SEINE, próbuje spojrzeć na nią ironicznie. I to jej nie przeszkadza. W końcu siada na drugim fotelu, by nabić fajkę. Właściwie nie czeka. Siedzi po prostu, z łokciami opartymi na kolanach, z zapomnianą fajką w ręce. Nie

"odczuwa potrzeby zajęcia się czymkolwiek. Nie jest cicho; monotonny szum klimatyzatora, od czasu do czasu autobusy, w pewnej chwili policyjna syrena. Przygląda się mokiетowi. Prawdopodobnie mają tu we wszystkich pokojach takie same mokiety. O tym także już nieraz myślał. Kiedyś po pijanemu leżał na tym brudnym mokiетie z rozkrzyżowanymi ramionami i powtarzał: CZUJĘ KULISTOŚĆ ZIEMI, CZUJĘ KULISTOŚĆ ZIEMI, to było po północy, gdy ona wróciła do hotelu i nie musiała się opowiadać, skąd i dlaczego tak późno, on był uradowany, że może to komuś obwieścić: OBEJMUJĘ ZIEMIĘ! i jego ekstaza została uszanowana; słowa wyrzutu, że nie leży w łóźku, tylko na podłodze; został troskliwie okryty znajdującą się jeszcze na łóźku żółtą narzutą, aby nie zmarł leżąc tak na mokiетie obok łóźka, OBEJMUJĘ ZIEMIĘ, był szczęśliwy... -Teraz dzwoni biały telefon; ociąga' się, ale podnosi słuchawkę, żeby przerwać głos dzwonka. Nie mówi ciszej niż zwykle, tylko krócej. Po niemiecku. Umawia się na jutro. Po odłożeniu słuchawki przygląda się jej: biała szyja, łagodnie zdecydowany zarys szczęki, ucho; włosy odgarnęła do tyłu. Wargi jej przez ten czas rozchyliły się nieco. Wyglądała na zmęczoną, kiedy przyszła. Męczące miasto, wiadomo. W jakimś momencie jej ręka przesuwając się po rozpuszczonych włosach, przy czym



głowa pozostaje nieruchoma; wygląda to dziwnie: co należy do osoby, ręka czy głowa? W chwilę potem ręka ta spoczywa znowu na nogawce. Uda ma szczupłe. Spogląda na zegarek. Czas nie stanął, tylko zrobiła się inna godzina. Siedzi nie nabijając fajki; patrzy na przedmioty: moja mała maszyna do pisania, OLIVETTI LETTERA, żółta lampa, plastikowa miseczka, jej zielona zapalniczka, jej torebka na podłodze obok fotela; spojrzenie przez otwarte okno: fasada naprzeciwko, BROWNSTONE, na dachach zbiorniki na wodę, czarne na tle żółtego nieba. Jasny wieczór. Patrzy na jej żywe stopy. Przedtem zsunęła pantofle, żeby być boso; to widocznie należy do ceremoniału. Jej stopy, jej ręce, jej czoło, jej ucho.. Wszystko nieporuszone. Żyje jednak, oddycha. Żywe ciało. Dla niego mogłoby\* to tak długo jeszcze trwać. Kiedy potem otwiera oczy i nie wygląda ani trochę zirytowana tym, że ktoś jest w pokoju, tylko bez słowa wkłada oba pantofle, on spogląda (tak by Lynn nie mogła tego zauważyć) na zegarek; dokładnie dwadzieścia minut, niemal dokładnie. Dokąd pójdziemy coś zjeść? Ona chce jeszcze wypalić papierosa. I AM HUNGRY, mówi Lynn, ale nie podnosi torebki z podłogi. Potem musi się jeszcze wykapać. Czeka na nią z kluczem od pokoju w ręce. Jest zadowolony. Nie przyjął interesującego zaproszenia, żeby znowu

być sam, i jest zadowolony, że Lynn mu towarzyszy. Kiedy ona wychodzi z łazienki, przypomina jej o torebce. I'LL TAKE IT LATER, odpowiada. Torebka zostaje w pokoju w hotelu.

#### I LIKE YOUR SENSE OF HUMOR

W towarzystwie (PEN CLUB) potrafi się śmiać jak trzeba. HOW FUNNY, a równocześnie uważa, że ludzie są okropni. W cztery oczy śmieje się, kiedy on tego nie oczekuje. Jej śmiech jest dosyć przenikliwy. Nie można na to liczyć, że się roześmieje. Może również nie chce się śmiać. Jeśli się śmieje, to śmieje się zaskoczona. Twarz momentalnie się jej zmienia, a on najczęściej nie ma wtedy wrażenia, że był szczególnie dowcipny. Jej nie chodzi o dowcipy. Śmieje się krótko, ale jej twarz pozostaje jeszcze przez chwilę otwarta, jej spojrzenie.

#### YOU HAVE AN OPEN FACE

Nigdy nie padło:

#### I LOVE YOU

(O miłości jako wzajemnych kontaktach obu płci nie można powiedzieć już nic nowego, literatura przedstawiła to raz na zawsze we

wszystkich możliwych wariantach, dla literatury zasługującej na to miano nie jest to już żaden temat — nieraz czytuje się takie wypowiedzi; nie biorą one pod uwagę, że wzajemny stosunek obu płci się zmienia, że przyjdzie czas na inne miłosne historie.)

#### WOMAN'S LIBERATION:

on jest zdecydowanie za tym, mówi, nie ma w naszym społeczeństwie pilniejszej kwestii. Czy żył kiedyś z jakąś wyemancypowaną kobietą, nie Lynn o to pyta i on żałuje, że sam sobie postawił to pytanie; teraz Lynn chciałaby to wiedzieć i on nalewa herbatę. Wyemancypowana kobieta? Jedzą chińskimi pałeczkami, czasem się to udaje, innym razem nie, dwie pałeczki chwytają biały, lekki, suchy ryż, natomiast pędy bambusa są śliskie i gubi się nie tylko pędy bambusa, ale również wątek rozmowy...

#### DOBRY BÓG MANHATTANU

Miałem coś do załatwienia w hamburskim radio i kazałem sobie puścić taśmę ze słuchowiskiem, potem napisałem list do młodej poetki, której osobiście nie znałem: jak to dobrze, jakie to ważne, że wypowiada się także druga strona, kobieta. Wiedziałem, że nasłuchiwała się dosyć pochwał, i to wiel-

kich pochwał, a mimo to musiałem do niej napisać. Chciałem jej powiedzieć: potrzebujemy obrazu mężczyzny widzianego oczami kobiety, obrazu kobiety, tak jak ona sama się widzi. Jej listowna odpowiedź zaskoczyła mnie: że jedzie do Paryża i wraca przez Zurych, ma jednak tylko cztery czy pięć dni czasu. Co właściwie, pisząc to, miała na myśli? Potem się nie zjawiła. Ni miałem jej adresu w Monachium ani w Paryżu. Napisałem na adres wydawnictwa. Później, kiedy byłem w Paryżu, dowiedziała się o tym z gazety i odnalazła mnie w hotelu, gdzie mieszkałem, HOTEL DU LOUVRE. Przyszła, aby obejrzeć przedstawienie mojej sztuki, w THEATRE DES NATIONS, ubrana do łoży. Byłem uszczęśliwiony, popijając z nią przed teatrem pernod w kawiarni, i powiedziałem: PANI NIE MUSI TEGO OGLĄDAĆ. Puściła to mimo uszu, zajęta swoją torebką i zdenerwowana, bo nie mogła czegoś znaleźć. Nie miałem łoży, tylko dwa bilety na balkon. Dlaczego to powiedziałem? Czekali na mnie aktorzy, moja pierwsza paryska premiera, przedstawienie uważałem za bardzo dobre, moją sztukę za niezłą, ale gdy zrobiło się późno, powiedziałem po raz drugi: INGEBORG BACHMANN, PANI NAPRAWDĘ NIE MUSI TEGO OGLĄDAĆ. Zamiast do teatru poszliśmy po raz pierwszy razem na kolację. Nic nie wiedziałem o jej życiu, nie znałem na-

wet żadnych plotek. MA PANI DZIECKO? zapytałem na wstępie, a ona ucieszyła się, była zdziwiona i uszczęśliwiona, że ktoś tak zupełnie nic o niej nie wie.

## MONTAUK

Wczoraj, w drodze tutaj, mówili niewiele, Lynn przy kierownicy, on w tym czasie sąjety mapą: YOU HAVE TO NAVIGATE, jej wyrażenie ubawiło go. Poprzedni weekend mieliby słoneczny. Teraz zaczyna padać. Lynn udało się wyjść z biura już o trzeciej. Dalej, nad Atlantykiem, mówili sobie, pogoda może być zupełnie inna. Pogoda jest ważna. Gdy nie pada, można pójść na spacer i nocowanie nie staje się celem. SUNRISE HIGHWAY, od tej chwili nie można się już pomylić; można by więc teraz rozmawiać, coś opowiedzieć. On często się spóźnia; Lynn ma już swoją zapalniczkę w ręce. W pewnej chwili jej pytanie: DO YOU SNORE? Droga jest teraz sucha; tutaj w ogóle nie padało. To uspokaja oboje, ale nie skłania do rozmowy. Ustąpienie kanclerza Brandta: to nie temat, odległy o tysiące mil... Przed kilku dniami nie mógł się powstrzymać, by po północy nie zadzwonić do Christy Wolf w Oberlin, Ohio: Co sobie myśli wasz rząd, nie, ja wiem, Christa, pani nie jest temu winna. Christa, ja wiem, Christa, przepraszam... Na prawo i na lewo



pustkowie, nudne, tu i ówdzie zabudowania, skansen ohydnej antyarchitektury. Jest zadowolony, że mają jeszcze do przejechania kilka mil. Cóż by tu mieli robić. Stwierdza, że Lynn dobrze prowadzi. Czy jako towarzysz podróży zawsze jest taki miły? W jakimś momencie odwraca głową (pusta prosta droga pozwala na to) i przygląda mu się: I DO NOT KNOW YOU AT ALL, mówi i pyta, jakiego rodzaju przywary ma ten siedzący koło niej cudzoziemiec. ARE YOU A SADIST? Zaraz potem po raz pierwszy tablica: MONTAUK. Jest w tej chwili niemal pewien, że ta wycieczka może się tylko nie udać i że lepiej by zrobił, gdyby był został w Nowym Jorku; On postarał się o mapę, Lynn załatwiła resztę: NATIONAL CAR RENTAL, GURNEYS INN, rezerwację z zaliczką opłaconą telegraficznie. Jej prośbę, by nie musiała asystować, gdy będzie ją wpisywał do książki hotelowej pod swoim nazwiskiem, łatwo jest spełnić. Przypomina mu to dawne czasy. Lynn czesze się tymczasem w wozie. Widocznie zna to i także tego nie lubi. Kiedy chłopak wyjmuje z wozu obie małe walizki, nie odzywa się. Jego angielszczyzna, jej angielszczyzna, to nie wskazuje na to samo nazwisko. OKAY, mówi w pokoju nie oglądając się i kiedy chłopak chce jeszcze wskazać łazienkę, od razu daje mu napiwek. Lynn odzywa się dopiero, gdy chłopak wychodzi. WELL, mówi i nie

zdejmuje swojej kudłatej kurtki. Oboje są bardziej skrępowani niż w jej mieszkaniu. On manipuluje przy listewkach zasłony. Pokój z loggią i widokiem na rozbijające się na pobliskim brzegu fale. Dwa łóżka podzielone stolikiem z lampą. Wychodzą od razu na loggię. Daleko na horyzoncie nad Atlantykiem jeszcze poblask słońca. Lynn proponuje spacer i on chętnie się godzi; przedtem chciałyby umyć ręce.

Jest także stół ping-pongowy.

Lynn zna ten drewniany hotel z wycieczki zorganizowanej przez przedsiębiorstwo; hotel na wydmach. To było w lecie. Kiedy można się kąpać, roi się tu od ludzi. Teraz jest jeszcze za zimno, ale będzie można pójść na spacer, jeśli jutro nie będzie padało —

Czy on wie, o czym w tej chwili rozmawiają?

Lynn nie dowie się, jaka jest jego wada. Jest na to za mało czasu. Konieczne jest małżeństwo, długie małżeństwo, żeby się ujawniła... Nie zrobiłem z niej służącej (czasami myłem nawet naczynia, znosiłem kubek ze śmieciami, załatwiałem domowe sprawunki itd.) i kobiety, którą kocham, nigdy nie biłem; ma żal o co innego i to

*mmmmmm*  
*m*

rzeczywiście mnie dotknęło. Potrzebowałem roku, żeby to zrozumieć. W pierwszej chwili uważałem za groteskową tę jej konkluzję: że ja w ciągu dziesięciu lat w niczym nie przyczyniłem się do jej samourzeczywistnienia. Mówi to z całkowitym spokojem. Nosilem ją na rękach: najwygodniejszy sposób obchodzenia się z kobietą i sposób najgorszy. Zdaję sobie z tego sprawę. Jej zarzut dotknął mnie inaczej, niż ona to ujmuje. Oczywiście od początku zachowywałem się, jakbym był Bogiem Ojcem albo co najmniej Adamem, a kobieta była stworzona z jego żebra: CHODŹ ZA MNA, BĘDĘ CIĘ PROWADZIŁ! Kobieta nie jest niewdzięczna, tylko zrozpaczona. To, co uważałem za nasze piękne lata, nagle okazuje się latami straconymi. Moja wada: MAŁE CHAUVINISM. Tylko moje postępowanie od samego początku, dzień po, dniu, mogło mądrą kobietę doprowadzić do wniosku, że jej samourzeczywistnienie się jest sprawą mężczyzny, mężczyzn.

#### WYCZYTA SIĘ TU MOJE BRAKI

Plaża ciągnąca się milami, nie widać, gdzie się kończy, po obu stronach gubi się w mlecznoliliowym świetle oparów. Mimo wiatru jest niemal gorąco. Na piasku stoją dwa leżaki z wypłowiałymi poduszkami, żadnych innych nie widać jak okiem sięgnąć; do

kogo należą? Jafc okiem sięgnąć — żywego, ducha. Zajmują oba leżaki nie ruszając ich z miejsca: stoją prawie równolegle, odsunięte od siebie trochę więcej niż na długość ramienia. Poprzednio, brodząc w wodzie, podwinęli nogawki spodni. Dobrą chwilę można by już wytrzymać. Rozbijające się fale wysmagałyby ciało. Nie mają jednak kostiumów kąpielowych, leżą więc teraz na dwóch leżakach, oddaleni od siebie trochę więcej niż na długość ramienia, widząc przed sobą ciemny Atlantyk i dwie pary bosych stóp; piasek nie oblepia już skóry, wiatr zwiewa go... Wczoraj, w drodze tutaj, na widok ciągnącego się bez końca cmentarza pod Queens, jej pytanie: DO YOU WANT TO GET BURIED OR CREMATED? Są tego samego zdania, bez cienia wątpliwości... Wybrzeże jest inne niż w Bretanii przed rokiem, fala jak wszędzie. Teraz parę białych chmur; odbijają się w niebieskich kałużach pozostawionych przez fale, potem woda znowu wsiąka, piasek szarzeje, dopóki nie pojawi się następny język piany i znowu odblask na chwilę.

Długie łatwe popołudnie.

## HERMES PRZECHODZI

Tytuł opery, jaką kiedyś chciałem napisać: para, która schroniła się w muzeum, a po-



tern grupa zwiedzających z przewodnikiem, udzielającym fachowych objaśnień na temat posągu, przy czym nikt nie dostrzega, że posągu w ogóle już nie ma; Hermes zszedł z postumentu, by oprowadzić parę — typowa komedia pomyłek... Jutro już, niedziela, wieczorem Lynn musi być w mieście, w poniedziałek w biurze, on we wtorek odlatuje do Europy.

HI, pyta go, WHAT ARE YOU THINKING ABOUT?

To, co on przemilcza: jak nocą w piżamie idę przez Friedenau; ulica pusta, nie ma świadków, tylko latarnie w deszczu, deszcz, który widać w świetle latarni, w pewnej chwili auto, ale się nie zatrzymuje, idę chodnikiem w piżamie, boso, chociaż jest zimno, luty w Berlinie, mokry bruk, piżama wkrótce ocieka wodą, nie zajdę daleko, bo tylko dygocę zamiast się wstydzić...

W pewnej chwili wstał i poszedł na brzeg, podwinął spodnie jeszcze wyżej, tak wysoko, jak tylko się dało, i z przyjemnością stanął w wodzie. Aby się zupełnie rozebrać i rzucić na fale, na co miałby właśnie największą ochotę, brak mu odwagi; nie ma tak ładnego ciała, żeby mógł sobie na to pozwolić. Znajduje kawałek drewna i rzu-

ca go, daleko przed siebie. Jest zadowolony, kiedy nie zastanawia się, o czym myśli, i kiedy grzywy fal, płytka spieniona woda,, piasek, nikogo mu nie przypominają. Chciałby nie wyjść poza chwilę obecną. Drugi raz podnosi kawałek drewna, który tymczasem znowu osiadł na piasku, i drugi raz rzuca daleko przed siebie. Chciałby tylko , patrzeć. Daleko mała łódź straży przybrzeżnej. Jest dopiero trzecia; dużo czasu. Woda opływająca mu łydki jest zimna i w którymś momencie traci niemal grunt pod nogami. Drewno, tymczasem, znowu zniesione na piasek, zostawia już w spokoju. Małe strumyczki na' piasku, tu i ówdzie muszla. Jest mu dobrze. Wróciwszy na miejsce, gdzie stoją oba leżaki, pokazuje muszlę, taką samą jak tysiąc innych. Lynn leży na swoim leżaku; jej ciało, które zna, w ubraniu. Ma ochotę stać.

Lynn nie dowie się o jego hysterii.

Ktoregoś wieczora w Berlinie, nie mogąc jej przekonać (co w ostatnich latach jest właściwie regułą) i nie mogąc znieść, że mi za każdym razem natychmiast wpada w słowo, i wreszcie widząc, że sam siebie nie mogę przekonać, idę do kuchni, biorę kubek na śmieci, siadam z powrotem przy stole; stawiam sobie kubek na głowie i powiadam: Proszę, mów dalej!

Ona leży na leżaku, nasmarowała sobie kremem twarz, szyją, potem znowu włożyła swoje ciemne okulary; I AM SLEEPY, mówi, ponieważ on nie mówi, co myśli. Oczywiście nie śpi. Światło tu za jaskrawe. Stu? kając opróżnił fajkę, myśli: wyskrob tą fajkę, postukaj jeszcze raz i jeszcze raz dmuchnij (może w środku jest piasek), a potem, zamiast rozmawiać trzymając fajkę w ręce, weź pustą w zęby, tę fajkę, poszukaj tytoniu, potem nabijaj fajkę prawym kciukiem, z namysłem, który wypełni te chwile, chwile nie naznaczone pamięcią, a kiedy już to zrobisz, włóż nabitą fajkę do ust, tak żebyś wprawdzie mógł rozmawiać, ale byłoby to niegrzecznie, patrz na morze zapalając teraz zapalną, potem jeszcze drugą i trzecią, nad morzem jest wiatr, i pociągnij z namysłem pierwszy raz, krótko, potem drugi raz, długo, aż się tu na dobre odnajdziesz. W tej chwili są tylko oni oboje na dwóch leżakach, których nie przesunęli, bo nie są ich własnością. Wałęsający się pies. Lynn czyta: biurowa robota, ponieważ wczoraj wyszła przed trzecią, ale też chwilami przestaje czytać, teraz czesze pod wiatr swoje długie włosy, beznadziejne zabiegi, żeby ładnie wyglądać. W pewnej chwili czerwony sportowy samolot, który koszącym lotem, jakby chciał właśnie lądować, przelatuje wzdłuż całego pustego wybrzeża, potem znikają... On opowiada teraz o Mykonos, grec-

kiej wyspie z białymi domami i białymi wiatrakami. Jak mała motorówka, wioząca nas na Delos, podskakiwała na falach i jak woda chlustała do środka, to jego opowiadanie. Ani słowa o kobiecie, która dzisiaj została właściwie sama. Ani słowa o sześciu latach bez niesnasek, bez zazdrości, bez szykan; nie mieszkali razem •— Mykonos, nie, tam Lynn nie dotrze tego lata... W jakiejś chwili opowiada o Rzymie, o mieście, co widział i słyszał w Rzymie przez pięć lat. Rzym musi być piękny, Lynn zdaje sobie z tego sprawę. Nie opowiada jej o najstraszliwszym ze wszystkich rodzajów śmierci.

Teraz Lynn chciałaby pobiegać.

On zostaje.

Chwila obecna przedłużona do wtorku.

Jej nagie ciało jest bardziej dziewczęce niż twarz. Na myśl, że on pierwszy raz zobaczy jej piersi, zamyka oczy i mówi: THEY ARE VERY SMALL. Było to tego wieczora, kiedy musiała jeszcze wrócić do hotelu po torebkę. WE CANT MAKE LOVE, powiedziała, NOT TONIGHT. Istotny powód. Sposób, w jaki rozkłada tapczan i po raz pierwszy

przygotowuje pościel: doświadczenie, przypuszczalnie z niewielu mężczyznami. Kiedy zdejmuje wierzchnie ubranie, bieliznę: żadnego pośpiechu. Pokazuje, że nie jest to uwiedzenie. Wyjmuje spinki z włosów, siedzi, jakby była sama, jakby szła spać, jak zwykle; wie, jak wygląda naga. Ale rozczesując włosy, milczy; potem nagłym ruchem odrzuca rozpuszczone włosy, jak pewnie zawsze to robi. Nie trzeba zaciągać zasłony, w tym mieszkaniu z dwoma zakratowanymi oknami z widokiem na pobliski mur nie jest to konieczne. Co ze światłem? Nie patrzy zresztą na obcego mężczyznę, który nie wie, jak wyłączyć światło w kuchni; mówi mu to. On ma nadzieję, że skoro rozmowa była już uczciwa, wszelka gra z jego strony okaże się zbyteczna. Jej ciało rysuje się wyraźnie, jest dosyć jasno, poświata nad miastem, jej twarz rysuje się wyraźnie, ale to inna twarz. Znowu brak mu angielskiego słowa. YOUR ENGLISH IS EXCELLENT, przez co chce powiedzieć: nawet w jej własnym języku nie dałoby się więcej wyrazić w chwili, gdy ich ciała wzajemnie się oczekują. JUST RELAX, mówi. Każdy pierwszy raz z kobietą to jakby pierwszy raz w ogóle; zadziwienie bez wspomnień. Potem pozostaje naga, Lynn w kuchni, podczas gdy on, ubrany gość, siedzi przy stole i rozmawia, kontent teraz z obcego języka,, który daje mu uczucie,



że wszystko to mówi po raz pierwszy. Jedzą przy tym truskawki. Nie myślał, że zna Lynn po tych kilku dniach i wieczorach: Lynn jako Ondyna i trochę<sup>v</sup> pielęgniarka. Teraz wydaje mu się, jakby Hermes ją przemienił: jest to ktoś inny z takimi samymi włosami, już tylko Ondyna, chociaż teraz opowiada mu o swoim purytańskim wychowaniu. Niestety jest to poniedziałek; musi parę godzin pospać. Naczynia trzeba wieczorem pozmywać. Pomaga; nie może siedzieć przy stole i patrzeć, jak ona, naga, się krząta. Jest zdziwiona, że on osusza umyte naczynia. Kuchenka jest ciasna, jeśli dwie osoby mają się o siebie nie ocierać; ale jakoś to idzie. Tylko on nic już nie mówi. Gdzie postawić szklanki? Gdzie odłożyć nóż? Tego nie chce powiedzieć, całuje go dziękując za pomoc; ich stosunek wydawałby się jej zbyt familiarny, gdyby wiedział, gdzie co trzyma.

Długie, łatwe popołudnie:

jej pantofle, na piasku. Lynn ciągle jeszcze biega, zrobiła szmat drogi, w tej chwili ledwie można dojrzeć jej sylwetkę, tam daleko, gdzie teraz biegnie, morze pod słońce iskrzy się i oślepia. Biegnie w tę stronę, zdaje się. Za chwilę widać ją wyraźnie: biegnie zataczając łuki, jak w slalomie, prawdopodobnie obiega każdy sunący język

piany, w jakimś momencie wyrzuca przy tym ramiona. Z radości.

DEJA VU:

[22.IX.1962](#) na Morzu Śródziemnym. Fryzura, jaką nosiłaś: całe włosy zaczesane do góry, uszy odsłonięte, obnażona, dziewczęca szyja, i kiedy wyjęłaś spinki, tyle swobodnie opadających włosów, czarnych.

Siedzi dalej.

Po drodze w ciągu dnia, na ulicy, w tłumie albo w windzie, gdzie ludzi widzi się z blisko, nie może się czasem powstrzymać: żeby nie porównywać Lynn z innymi kobietami, jej włosów z innymi włosami, swojego nagle tak mglistego wspomnienia jej twarzy z innymi twarzami. Jakby mógł wybierać jak Parysi Nie przypatruje się natrętnie, tylko dokładnie: miejsce, skąd wyrastają włosy za uchem, podbródek, szyja, wargi, nos, cała figura, sposób poruszania się. Patrzy, żeby się przekonać, czy jego czułość rzeczywiście skierowana jest na Lynn... Może okłamuję ją i siebie? Dalej siedzi i patrzy gdzie indziej. Nie otwiera książki, kieszonkowego wydania, które ma pod ręką. Huk i szum fal nie zakłócałyby lektury; nie przeszkadzałyby też mały sportowy samolot, który teraz zawraca wzdłuż długiej pustej plaży;

pies także nie. Znad książki też można podnieść wzrok i powiedzieć sobie: Popołudnie nad Atlantykiem, jest teraz dokładnie 4.35 p.m. Literatura wznosi się ponad chwilę, po to jest. Literatura ma inny czas, oprócz tego temat, który dotyczy wszystkich albo wielu — czego nie można powiedzieć o jej dwóch pantoflach leżących na piasku...

BYĆ NA ŚWIECIE: BYC W ŚWIETLE. GDZIEKOLWIEK (JAK NIEDAWNO TEN STARZEC W KORYNCIE) POGANIĄC OSŁA, NASZE POWOŁANIE! — ALE PRZED WSZYSTKIM: STAWIĆ CZOŁA ŚWIATŁU, RADOŚCI, JAKĄ DAJE ŚWIADOMOŚĆ, ZE GASNĘ W ŚWIETLE NAD JANÓWCAMI, ASFALTEM I MORZEM, STAWIĆ CZOŁA CZASOWI ALBO WIECZNOŚĆ W UŁAMKU CHWILI. WIECZNOŚĆ: BYT DOKONANY.

Zycie w cytacie.

Gdy skóra odczuwa, jak piasek wysycha na skórze, jak słońce, jak wiatr, jak przyjmuje to skóra i mózg... Nie zapomina o swojej roli, o najbliższych zobowiązaniach, jakie z tej roli wynikają; o terminach, nie zapomina nawet o sytuacji na świecie. O różnych rzeczach nie zapomina w tej ulotnej chwili.

## MONTE ALBAN:

rozległy, nagi, pod wieczór fioletowy płaskowyż w Meksyku, pośrodku płaskowyżu góra, naturalny tron; na szczycie akropol Zapoteków, rozległe, potężne zabudowania świątynne w porządku ściśle, geometrycznym, obwiedziony wysokim murem plac do świętej gry w piłkę: zwycięzca musiał umrzeć, ponieważ bogowie objawiali w tej grze, kogo wyróżniają, wobec czego właśnie jego, zwycięzcę, składano bogom w ofierze. Tak przynajmniej głosi mała książeczka, którą mam pod ręką. To budzi grozę, to przekonuje; co innego pasjonuje tylko, nie budząc grozy: że Mayowie (jeśli to prawda, co piszą w tej książce) co jakiś czas rozbijali wszystkie swoje sprzęty, aby sporządzić je na nowo, sprzęty codziennego użytku; że na rozkaz kapłanów musieli opuścić swoje świątynie, aby przenieść się dalej i w dżungli (YUCATÁN, GUATEMALA) zbudować nowe życie, i nie musieli nawet burzyć starych świątyń, by gdzie indziej zacząć od nowa; oddawali je dżungli (PALENQUE) pozostawiając na pastwę naturalnej erozji... Może też nieprawdą jest to, co mnie pasjonuje... MONTE ALBAN: tu na zwalonym murze siedzi Marianna, rocznik 1939, studentka filozofii, przerażona moją prośbą; myślę, że jeśli będę już dla niej za stary, zdobędę się na to, by przyjąć to ze zrozumu-

mieniem. Dwa lata? Trzy lata? Ona prze-  
zornie zwleka. Przyjeżdża do Rzymu i zwle-  
ka całe lato. Później dom na wsi, małe  
wspólne mieszkanie w Zurychu, potem dru-  
gie, większe, wspólne podróże, robi się z te-  
go dziewięć lat, dłużej, niż mogli byli po-  
myśleć.

NIE ŻYŁAM Z TOBĄ PO TO, ŻEBY CI  
POSŁUŻYĆ ZA MATERIAŁ LITERACKI. ZA-  
BRANIAM CI O MNIE PIS Ał

Kiedy patrzy, jak ona brnie teraz przez pia-  
sek, tam gdzie piasek jest suchy i sypki,  
wolniej przeto i z trudem, trochę wyczer-  
pana długim biegiem i machając rękami, bo  
nogami nie może już wymachiwać, i jak  
brnąc, od czasu do czasu pochyla się, gdy  
stopa jej zapada w piasek, a potem znów  
to na jedno, to na drugie ramię odrzuca  
rude włosy — patrzy na nią z przyjemnoś-  
cią. Ona pewnie o tym wie; spogląda teraz  
gdzie indziej. Kiedy leży obok niego na le-  
żaku, on myśli o czym innym. Kiedy po  
drewnianych schodach wchodzi na górę do  
drewnianego hotelu, nie przygląda się jej;  
może sobie wyobrazić, jak porusza rękami,  
z wdziękiem nie pozbawionym komizmu. Po-  
trafi też o niej zapomnieć, kiedy jest w to-  
warzystwie. Patrzy na nią z przyjemnością,  
gdy ona je; ten pozbawiony żarłoczności  
apetyt osób wysokich i szczupłych. Kiedy



jej nie ma, z trudem tylko może sobie przypomnieć, jak się śmieje; przy najbliższej sposobności słucha jej śmiechu z przyjemnością. W mieście, w chwili gdy go jeszcze nie dostrzegła i przechodzi na drugą stronę ulicy, Lynn wśród wielu innych przechodniów: sposób, w jaki porusza swymi szczupłymi ramionami, jak się waha i przeciska w tłumie, jak porusza głową. Nie jest zakochany. Cieszy się. Kiedy po drewnianych schodach wychodzi z drewnianego hotelu, on nie myśli o nocy; z przyjemnością patrzy, jak podskakuje na schodach, potem prawie się potyka (gdyby nie było drewnianej poręczy, o którą w ostatniej chwili może się oprzeć).

Długie łatwe popołudnie.

Powoli musiałby się o tym dowiedzieć: Lynn urodziła się na Florydzie, nie w Kalifornii. College w Kalifornii. Krótkie małżeństwo zawarte w Sidney — rzuca piaskiem, kiedy on stawia pytanie, którego nie powinien był stawiać po raz drugi. Gdzie jest dzisiaj jej rozwiedziony mąż, tego Lynn nie wie. Ciągle jeszcze rzuca piaskiem, nie na niego, tylko po prostu, ot tak. Jej przyszłość? Wyjdzie jeszcze raz za mąż, myśli, ale będzie już uważała — i może dziecko, kiedyś... Nie opowiada wiele, on zresztą też nie, rozmawiają:

DO YOU BELIEVE

WHAT DO 'YOU THINK

na przykład o Ryszardzie Nixonie. Powinni postawić go przed sądem, uważa Lynn. Jest wietrzno i może dlatego nie zatrzymują się dłużej przy żadnym temacie; -wiatr nawiał piasku do jej obu pantofli. Nie wiem, jak zeszedł na Baudelaire'a, FLEURS DU MAL, Lynn nie zna tego. Żeby odpowiedzieć na jej pytanie: Nigdy nie publikowałem wierszy. Pozostają przy ogólnych tematach. Narkotyki? Lynn również nie ma w tej dziedzinie większego doświadczenia. Jego znajomość angielskiego jest skromna; wiem oczywiście, co on za każdym razem chciałby powiedzieć. Gdy przypadkiem nie tłumaczy, tylko wypowiada coś po angielsku, czego by się w literackiej niemczyźnie ani w dialekcie nie dało tak powiedzieć, ze zdziwieniem zastanawiam się, co i jak on myśli. Sprawia mi to satysfakcję; potem obcy język przyłapuje go na tym, co myśli naprawdę. Nagle śmieje się z tego, z czego w innym wypadku by się nie śmiał. Lynn, jak się wydaje, nie uważa go za nudziarza. Na przykład mówi jej, że nigdy w życiu nie byłem w domu publicznym, dodaje: z tego powodu też nie zajmuję się polityką, ponieważ wszystko sprowadzam do własnego wnętrza. Tu jednak brakuje mu słowa. Spro-

wadzać do własnego wnętrza? Musi to opisać i Lynn nie widzi związku, ale mnie ©n przekonuje. SEXUALITY, jak Lynn to określiła, jest tutaj powszechnym tematem. Jej poglądy na to; dziwią mnie te, jakie on wypowiada. Gdy syn miał dwadzieścia pięć lat, matka z pewną surowością powiedziała: Nie powinienes ciągle pisać o kobietach, ponieważ ich nie rozumiesz. Nie wspomina o tym. Lynn nie zna Szwajcarii. To oszczędza mu wyjaśnień, które mnie nudzą. Jakie jest jego zdanie o psychiatrach? Trudno powiedzieć, że znał osobiście C. G. Junga; chodził tylko na jego wykłady. To musiało być, jak sobie Lynn może wyliczyć, dosyć dawno temu. Właściwie nie powinien był O tym mówić. W college'u Lynn rzuciła oszczepem i zdobyła nagrodę, w Sidney jeździła konno. Swoje głębokie przekonanie, że Allende został obalony w Chile przy pomocy Amerykanów, gotów jest podtrzymać, nie może tego udowodnić... Komunizm i kapitalizm; jego skomplikowana próba wyjaśnienia, na czym polega różnica między ZSRR a socjalizmem —•

Itp.

Może dlatego, że między Lynn a nim istnieje^ tylko język angielski, wobec czego z lenistwa nie mówi często różnych rzeczy, które

w innych okolicznościach by powiedział, nie-  
raz w jej obecności przychodzi mu do głó-  
wy coś, na co kiedy indziej, gdyby mógł  
to wyrazić, nigdy by nie wpadł; to jest  
różnica, czy się milczy w obcym, czy we  
własnym języku: milcząc w obcym języku  
mniej rzeczy od siebie odsuwam, pamięć  
staje się bardziej liberalna... Dwa razy by-  
łem obecny przy porodzie; moja żona sobie  
tego życzyła. Nigdy o tym nie pisałem. Mo-  
ja żona nie życzyła sobie, by o tym pisać.  
Nigdy też, mam, wrażenie, o tym nie mó-  
wiłem. Widzę to tylko. Dawno to było.

Wszystko, czego nie opisał:

Cztery przerwane ciąże u trzech kobiet,  
które kochałem. Trzy razy bez żadnej  
wątpliwości, że jest to uzasadnione. Nigdy  
bez lęku. Rola mężczyzny w tym, który  
potem płaci lekarzowi. Raz — ponieważ ja  
byłem żonaty, a ona chciała wyjść za mąż  
za mojego przyjaciela. Raz z innego po-  
wodu: było na to za późno w naszej hi-  
storii. Pozostaliśmy przyjaciółmi. Raz była  
to pomyłka; zawiniona, myślałem później,  
zawiniona przeze mnie. Nie miałem odwa-  
gi domagać się dziecka; widziałem, jak jest  
zdecydowana (choć i wystraszona oczywi-  
ście), i byłem poruszony. Zapytałem tylko  
jeszcze raz: Naprawdę nie chcesz? Wiedzia-  
ła, że nie chciałem jej porzucić. Gdy by-

lem młodszy, właściwie nie pragnąłem mieć dzieci; prosta wiadomość, że dziecko zostało poczęte, cieszyła mnie: ze względu na kobietę. Później to się ' zmieniło, ale nie zdawałem sobie dostatecznie jasno sprawy ze swoich pragnień, nie miałem odwagi, gdy widniałem to zdecydowanie ukochanej kobiety. Stałem wtedy nocą na ulicy, po tym, jak jeszcze raz zadałem jej to pytanie, i czekałem przepelniony litością. Wszystko inne, jak sądziłem, byłoby szantażem. I to było dawno. Szantaż byłby lepszy (w tym wypadku). Raz doradził nam to lekarz, wbrew naszej woli.

#### HOW DO YOU KNOW

mówi Lynn, gdy on twierdzi, że tego rodzaju chmury nic nie znaczą i jutro (nie-dziela) znowu będzie pogodny dzień. Leżą na dwóch leżakach, których nie przesunęli, oddaleni od siebie trochę więcej niż na długość ramienia. Kto je tu postawił, dwa leżaki zagubione na wielomilowej pustej plaży? Mógł to zrobić tylko on: HERMES. Cieszy się, że Lynn tu jest. Puste byłoby bez młodej cudzoziemki to morze i to wybrzeże z wydymami i wiatrem. Nie mógłby tu długo usiedzieć, musiałby pójść. Bez celu. Byłby piasek jak na Sylcie (1949) i błękit morza jak w Sperlonga (1962), i wspomnienie. Nawet gdy nie patrzy na



Lynli: ona nadaje kształt obecnej chwili, jej ciało na drugim leżaku. Ona nie wie, o czym on myśli; on nie wie, o czym ona myśli. Nie musi dotykać jej ciała. Wolalby je móc narysować. (Umiem trochę rysować, ale już dawno tego nie robiłem. Zraża mnie, że zawsze potem wychodzi z tego nie zamierzony plagiat, i to słaby; gdy rysuję, umyka mi to, co widzę). Odchyliła głowę do tyłu, z twarzą odwróconą w drugą stronę, bluzka trochę rozchylona, obie ręce złożone na podołku, kolana w spodniach podciągnięte w górę; stopy i łydki ma białe. Wystawia się na słońce. On siedzi prosto, stopy w piasku, najczęściej patrzy na popołudniowe morze. Głuche dudnienie w ziemi, w przerwach słychać, jak coś syczy. Ona nie śpi. Za silny wiatr. Podniosła głowę i patrzy na coś. Gdy spostrzeża, że on się jej przygląda, śmieje się,

#### MY LIFE AS A MAN:

Gdy przypadkiem, na przykład w foyer na koncercie, widzę matkę moich dzieci: jej twarz, wylękciona, o strapionym wyrazie, który miała zawsze, dobra twarz, w późniejszych latach nawet bardziej przystępna, ale już na zawsze twarz tchnąca udręczoną niewinnością — sam dręcę się tym widokiem; patrzę na nią z szacunkiem i zdziwieniem, że jestem ojcem trojga jej dzieci.

## PONIEWAŻ ICH NIE ROZUMIESZ

matka, lat 88, w Rzymie — chce jeszcze wszystko widzieć, jest bowiem pierwszy raz w Rzymie, jest niestrudzona. Notuje sobie wszystko, co każdego dnia widziała; zeszyt kończy się staromodnie wykaligrafowanym zdaniem: RZYM, TO BYŁY BOSKIE CHWILE! Trzy lata później, w miejskim domu starców, chce umrzeć; chce; złości się, że lekarze przychodzą z takimi strzykawkami. W pokoju leżą jeszcze trzy inne kobiety, które nieraz, gdy się wchodzi, wyglądają, jakby umierały: z otwartymi ustami. Nie rżęzą. W ogóle się nie ruszają. Czasami się jej wszystko miesza (bo właśnie wracam z Odessy, gdzie jako młoda dziewczyna, w 1901, zbierała kapary), potem wraca jasność myśli: Umieram już, mówi, dziękuję wam. Trwa to jednak jeszcze pół roku. Lekarz, któremu powiedziałem o jej determinacji, wyjaśnił mi, dlaczego bez zastrzyków bóle byłyby nieznosne, - śmierć od uduszenia. Któregoś dnia, gdy ją znowu odwiedzam, prowadzą mnie do pokoju umierającej. Przez trzy dni i noce zmieniamy się, mój brat i moja siostra, która nie jest jej dzieckiem, i ja. Od czasu do czasu można z nią rozmawiać. Jej zmartwienie: czy ktoś będzie dbał o moje marynarki. Gnębi ją też, że tracimy dużo czasu na te odwiedziny. Nigdy jeszcze nie byłem przy

umierającym. Chwilami wygląda, jakby już nie żyła. Gdy się do niej zwracamy, dziwi się, że ciągle jeszcze jesteśmy. Proboszcz czeka na wezwanie. Wiem, jak ją zirytowało jego kazanie na Boże Narodzenie; miał powiedzieć: Tak więc miejmy nadzieję, że wszyscy będziemy mogli spędzić razem także przyszłe święta Bożego Narodzenia. Ponieważ mówi się, że w godzinie śmierci ludzie często myślą inaczej, pytam ją, czy chciałaby widzieć proboszcza. Jest przytomna, zrozumiała pytanie, zastanawia się i potem mówi: Po co? Któregoś razu, znowu się żegnając, mówię: Jesteś piękną kobietą. Nie uważa, by moja wypowiedź była niestosowna; pyta, dlaczego w takim razie nie zrobimy jej zdjęcia. Zmiany w jej stanie nie zauważył nawet lekarz i raz opuszczam moją wieczorną wizytę; w domu cechowym Zur Meise (Zurych) jeden z kolegów czyta fragmenty swojej nowej powieści, ja mam wygłosić grzecznościowe słowo wstępne. Nic trudnego, ale mam straszliwą tremę i wieczór kończy się wspólną pijatyką; nazajutrz rano, gdy czytam telegram, mój stan nie pozwala mi pokazać się zmarłej...

HAPPY

to jest właściwe słowo:

FUN

patrzeć na to, co się ma przed sobą.

MONTAUK BEACH

Nigdy nie próbowałem na serio popełnić samobójstwa; nie na serio także nie. Często jedynie, w każdym okresie swojego życia,

O tym myślałem. Jak specjalista dostrzegam tu i ówdzie praktyczne możliwości. Widzę belkę, która by się nadawała. W wieżowcu myśl ta przychodzi do głowy prawie każdemu; tu dałoby się to zrobić prosto

i pewnie. Nie mam w domu rewolweru, bo nie zawsze jestem człowiekiem rozsądnym, a dobrowolna śmierć powinna być aktem rozsądku. Zbadałem pod tym kątem widzenia pewną drogę w górach i znam przynajmniej trzy miejsca, gdzie nie ma poręczy, która okazałaby się może nadspodziewanie skutecznym zabezpieczeniem, i gdzie, zwłaszcza we mgle, mogłoby to wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. Gotowość do tego nie jest rzadkością, chłodna gotowość bez domniemanej przyczyny.

LYNN:

opowiedziała mu o swojej pracy, pracy zarobkowej, wysłuchał, nie, bynajmniej nie z roztargnieniem; gdy czegoś nie rozumie, zwykle pyta. Łatwiej ją rozumie, gdy pa-

trzy na jej usta. Przeczytała książkę o delfinach; Lynn wie o delfinach więcej od niego. Potem znowu przychodzi chwila, że nagle nie wiedzą, o czym mówić — to przebywanie razem przez cały dzień: nie jest nudne, tylko widzę ich wtedy oboje od zewnątrz: nie będą mogli się nawzajem poznać... To jest ciągle jeszcze to wybrzeże, fala może nieco bliżej niż przed dwiema godzinami, ani większa, ani mniejsza. Słońce stoi jeszcze ciągle wysoko nad horyzontem. Jest teraz przyjemnie, nie tak gorąco. Morze za białymi pióropuszcami spiętrzonych fal, które załamują się dopiero tuż przy brzegu, wydaje się teraz niebiesko-czarne jak atrament. Nieustanny szum przyboju. Z dłońmi splecionymi pod karkiem, by unieść nieco głowę i obserwować ostrą linię horyzontu, nie milczy; przemilcza tylko to, co jego dotyczy. Żadnej tragedii. Wszystko zrozumiałe, nawet samo przez się zrozumiałe. I słuszne. I on to przewidział; każdy to przewidział. Teraz pozostaje mu to tylko jeszcze przyjąć. Bez skargi. I to nie jest trudne, z dłońmi splecionymi pod karkiem, by unieść nieco głowę —

O kim myśli Lynn?

Ostatnio zgubiła łańcuszek. Na szczęście w tym hotelu czarne pokojówki nie za-



miatają pod łózkami. Nie wiadomo właściwie, dlaczego ten złoty łańcuszek miałby być taki niezastąpiony. Kiedy go potem znalazł — nie między ubraniem, nie na stole, nie na żółtej sofie — natychmiast zadzwonił do niej do biura. Jej westchnienie ulgi w słuchawce. Nie byłoby wskazane, gdyby akurat tam zgubiła ten łańcuszek... Na kolację Lynn zjawia się w innym stroju, który mniej mu przemawia do przekonania; do tego znowu cienkie okulary. Włosy związane w węzeł. Kelnerka, która nie odpowiada na jego pozdrowienie, nalewa do obu szklanek wodę z kostkami lodu. Ludzie dookoła: dobrze zarabiający, w koszulach z krótkimi rękawami, mało młodzieży (TOO EXPENSIVE, mówi Lynn), a za to wiele statecznych par, które prawie nie zamieniają ze sobą słowa, i rodziny zachowujące się głośno jak w domu. Zachód słońca dla wszystkich. Weselne towarzystwo. Także Lynn i on potrafią chwilami milczeć. Liczba wspólnych znajomych jest szczupła, więc i możliwość plotek minimalna. Jest homar. Lynn spodziewa się, że on jej pokaże, jak się obchodzić z obcęgami. Przecenia go. Coś w nim dziwi ją, sam to widzi. Ale kiedy on (zanim podano wino) zaczyna mówić, Lynn ma nadzieję, że może ją to zainteresować, i nie przerywa mu już po pierwszym zda-

ntu. Teraz on kosztuje wino, kiwa głową. Na tym zna się trochę. Na to, czy ona wpada mu w słowo i jak często, nie zwraca uwagi. Pierwsze szczypce jej homara są już zgniecione, Lynn potrafi to lepiej od niego. Pytając go, co on przez to rozumie, zdaje się nie wykluczać, że dłuższy wywód z jego strony (w jego angielszczyźnie) mógłby ją przekonać. Mówi jej rzeczy, które jego samego zaskakują. Wprawia go to w dobry nastrój. Przynosi mu też ulgę świadomość, jak potrafi być pojętny. Piją zresztą niewiele. Lynn dłubie w homarze, co nie znaczy, że puszcza wszystko mimo uszu. Oczywiście nie wszystko, co mu przychodzi do głowy (na przykład o architekturze), jest dla niej równie interesujące. Na homarze jest dużo mniej do jedzenia, niżby się zdawało; czerwone skorupy na talerzu ładnie wyglądają, Lynn gotowa jest do deseru. Dochodzi do porozumienia, coś tak świta; nie trąci to gorzko rozsądną ugodą; można rozmawiać dalej, choć porozumienie nastąpiło. Młoda kelnerka, prawdopodobnie studentka, traktuje ich przy deserze jak wyjątkową parę, zachowuje się, jakby uczestniczyła w jakimś święcie. Żadnych czułości przy stole; tyle że jako para nie zdradzają minami skrywanej antypatii, nie rzucają na siebie z ukosa krótkich spojrzeń, których partner ma nie zauważyć, owych spojrzeń, które się posyła, kiedy dla

objęga nie jest już tajemnicą ich głęboki związek bez przyjemności.

## CENTRAL PARK

równy tydzień temu: — nie leżą na trawie w uścisku jak inne pary, tylko siedzą. Gdyby Lynn nie musiała chodzić do pracy, można by pojechać nad morze; Lynn wie, gdzie byłoby ładnie: Montauk. Jej lekkie przeświadczenie, że byłoby ładnie nad morzem, ośmiela go, by wysunąć propozycję na najbliższy weekend, jego ostatni weekend tutaj. Niczego sobie nie obiecują, rozważają tylko. On siedzi, podczas gdy Lynn kładzie się obok niego na trawie. Przeklina swoją firmę; Lynn musi bowiem pracować, chociaż to niedziela. Słoneczna niedziela; park pełen barwnie ubranych ludzi, nie ma już żadnych hippisów. Gdy wstają i idą, ponieważ na Lynn już czas, to Lynn uwieszą się jego ramienia; trzymając się pod rękę razem obserwują czarną fokę, to bezbronne zwierzę, które na sztucznej skale tarza się i połykuje w słońcu. Zapach przypalonych precli, które tu sprzedają. Idą dalej i widzą: młodzi baseballiści, między nimi dużo czarnych, tu i ówdzie ojciec puszczający dla dzieci kolorowego latawca, blaszane łodzie na małym stawie między czarnymi skałami Manhattanu... Przed dwoma laty (do-

kładnie o tej porze roku; tylko gałęzie były bardziej zielone) pozowałem tutaj dla niemieckiej telewizji; operatorzy, oczekujący ode mnie jak największej naturalności, byli zadowoleni z Jakova Linda, któremu udało się mnie rozśmieszyć. Marianna usuwała się z planu; kiedy operator próbował ją przechytryć, zapobiegłem temu; rozumiałem to, że Marianna usuwała się z planu. Chodziło (jak zawsze) o stosunek pisarza do społeczeństwa.

#### MY LIFE AS A MAN:

czasami myślę, że je, kobiety, rozumiem, i mój pomysł, moja koncepcja ich istoty z początku się im podoba; a przynajmniej zdumiewa je, że widzę w nich to, czego nie dostrzegli moi poprzednicy. Dzięki temu w ogóle je zdobywam. NIGDY NIE ZDARZYŁO MI SIĘ ROZMAWIAĆ Z JAKIMŚ MEŻCZYZNĄ TAK, JAK Z TOBĄ, słyszałem nieraz przy rozstaniu. Schlebiać potrafi każdy, ja nie muszę tego robić; pochlebia im, kiedy widzą, jak coś każe mi je odgadywać. Przez pewien czas przekonuje je to, co mi na ich temat przychodzi do głowy; nie wydają mi się proste, przeciwnie, pełne sprzeczności. TEGO NIKT MI JESZCZE NIE POWIEDZIAŁ, mówią, ALE MOŻE MASZ RACJĘ. Moja koncepcja ma w sobie coś zniewalającego. Jak

każda wyrocznia. Sam się potem dziwię, jak ich postępowanie potwierdza <sup>v</sup> to, co przeczuwałem. Naturalnie nie mam jednej koncepcji dla wszystkich kobiet. Nie daje mi to spokoju, muszę wiedzieć, kogo Kocham. Doświadczeń z jedną partnerką nie należy przenosić na następną partnerkę, tego się wystrzegam. Jeżeli mimo wszystko nieopatrznie to robię, wiem, że nie mam racji. Skoro podobne reakcje powtarzają się, często co do joty, to powód musi tkwić we mnie. Nie brakuje mi przy tym, jak sądzę, wyobraźni; dla każdej partnerki znajduję inny kłopot ze mną. Na przykład, że ona jest ta silniejsza albo że ja jestem silniejszy. One same się odpowiednio do tego zachowują, przynajmniej w mojej obecności. Gdy widzę, że cierpią, mówię im, nad czym cierpią, albo i nie mówię; uważam jednak, że to wiem. Na mocy swojego urojenia. Nie opuszcza mnie ono nigdy; wszystko, co się mieści w mojej koncepcji, nasuwa mi się jako spostrzeżenie; Widzę to, słyszę to, a jeśli mnie przy tym nie ma, to mogę to sobie mniej więcej wyobrazić. Muszę sobie to wyobrażać; nie mniej więcej, tylko dokładnie, Oczywiście nie jestem pewien, czy moje dokładne wyobrażenie odpowiada rzeczywistości. **TO JEST TWOJA INTERPRETACJA**, powiadają kobiety; one nie potrzebują żadnej. Czy to, co wokół ukochanej kobiety rozsnuwam,



dręczy mnie, czy uszczęśliwia, nie ma znaczenia; musi mnie to jedynie przekonywać. Kobiety nie mają potrzeby wywodzić mnie w pole; ja sam to robię.

MAX, DID YOU LOVE YOUR MOTHER?

Tak.

YOU DIDN'T LIKE YOUR FATHER?

Wzruszenie ramion.

WHY NOT?

O tym mało do tej pory myślał.

YOU ARE VERY FOND OF YOUR CHILDREN?

To już nie są dzieci, wszystkie dorosły, jako dorośli są oczywiście inni od innych dorosłych; z trudem przychodzi im zapomnieć, że on jest ich ojcem, a on w gruncie rzeczy nie bardzo wie, jak to się robi, żeby nadal być ojcem dorosłych ludzi... Lynn wyraźnie zirytowana jest tym weselnym towarzystwem:

DID YOU GET A WEDDING LIKE THAT?

Za drugim razem nie... CASA COMUNALE, gdzie mieści się również izba szkolna dla wiejskich dzieci, IL SINDACO, tapicer z zawodu, który odczytuje prostą, przez siebie ułożoną i starannie wykaligrafowaną przysięgę małżeńską, świadkowie malarze i literaci, w sumie siedem zaprzyjaźnionych osób; prosty stół, gdzie oboje bez zbytniego entuzjazmu kładą swoje podpisy, AUGURI, AUGURI, AUGURI, AUGURI, potem wszyscy idą do naszego domu (już od trzech lat jest to Nasz Dom), by wy-  
pić z ludźmi ze wsi.

MAX, ARE YOU JEALOUS?

jej pytanie przy deserze. Jest sobota, a we wtorek on odlatuje; Lynn ciągle jeszcze chce odkryć jego wady. Skądinąd umówili się już, że nie będą pisali do siebie listów; poślą sobie tylko 11.V.1975 widokówki, o ile oboje nie zapomną. Toteż jej pytanie, jak pytanie z ankiety:

ARE YOU JEALOUS? AND IN CASE YOU ARE: COULD YOU KILL A PERSON? AND IF SO: HER OR HIM? AND IF NOT —

Dużo pisał o zazdrości. Już choćby z tego powodu nie dopuszczał do siebie w ostatnich latach żadnego uczucia zazdrości. Nie byłoby to dla niego żadnym nowym do-

świadczaniem, gdyby znowu ulegi temu uczuciu; nic by mu to jako pisarzowi nie dało, nic nowego. Nudzi go to, co już opisał, historia z cielistym materiałem na ubranie w Wenecji itd. Nie jest pisarzem obdarzonym szczególną wyobraźnią, to prawda. Dlatego na pewne emocje w ogóle nie może sobie pozwolić, w przeciwnym razie istnieje niebezpieczeństwo, że opíše je ponownie jako emocje jakiejś postaci. Jest to korzyść, jaka z pisarstwa (tego rodzaju) płynie dla pisarza jako człowieka; pewne stany i okoliczności powracające w jego życiu musi opracowywać inaczej — jeśli chce pozostać pisarzem... Stół ping-pongowy jest tego wieczora wolny. Lynn musi jednak zdjąć wreszcie swoją kudłatą kurtkę, później nawet podwinąć rękawy bluzki; przydało się, że w domu, po drugiej stronie Atlantyku, stoi stół ping-pongowy. Lynn jest zwinniejsza, ale nie ścina piłek i złości się, gdy ścięta piłka jej umyka; jej irytacja pomaga mu. Równocześnie rada jest, że rozgrywka jest prawdziwa. To tik-tak wesoło rozlega się w pustym pomieszczeniu. W domu rzadko mu się to udaje, teraz prawie zawsze: nadlatujące długie piłki odbija dopiero w ostatniej chwili, przeważnie już poniżej powierzchni stołu. Ma się wtedy więcej czasu i nie traci się punktów, gdy, przy jego tuszy, zręczność zawodzi. Naturalnie łapie go prawie zawsze, kie-

dy posyła piłeczkę tuż za siatkę, ponieważ jednak on odbija swoje piłki dosyć ostro, niezbyt często się jej to udaje. Jego koszula, biała, lepsza z tych dwóch, jakie zabrał ze sobą na krótki weekend, jest już zupełnie przepocona; to od schylania się, kiedy piłka potoczy się pod skrzynię. Lynn nie spodziewała się, że może przegrać pierwszy gem, potem drugi. Jeszcze nic nie wiadomo. Przedtem jednak musi znowu związać włosy, odłożyć na stół niebieską raketkę, żeby mieć obie ręce wolne; kiedy zawiązuje włosy, oboje milczą... Często podobno tak rozmawiał, jakby się orientował. Nie pyta: Gdzie byłeś? Przed wyjściem z domu wyciska mu pomarańcze. Cieszy się jej sympatią i nie pozwala sobie na żadne dociekania; kocha ją. Od czasu do czasu żartuje, by nie brać na serio swoich podejrzeń; jest wygodny. To ułatwia codzienne zwodzenie; nie trzeba za dużo kłamać, wystarczy przemilczeć. Zresztą zna tego drugiego mężczyznę i bardzo go ceni. Jeśli to jest nowa miłość, myśli, to powiedzą mu to wcześniej czy później. W tym okresie jest bardzo szczęśliwa, każdy to widzi, on też. Jest coś, co kobiecie zastruwa życie: raz po raz robi jakieś plany wspólnych podróży, do których namawia ją nie zdając sobie sprawy z sytuacji. Dlaczego jej wprost nie zapyta? Ona mówi sobie: widocznie nie chce wiedzieć. On pa-

trzy przyjacielowi prosto w oczy i widzi, że przyjaciel go ceni; to też jest prawdą. Powoli wyzbywa się najłżejszych podejrzeń. To jest jego błąd; mężczyzna, który nie widzi, że jego kobieta sypia z innym, nie jest czułym mężem. Widzi tylko, że jego praca mało ją interesuje. Przyjmuje zaproszenie na odczyt w Austin, by pokazać jej inną Amerykę. Teksas i Nowy Orlean; jej strach przed podróżą samolotem jest nie do przewyciężenia, wobec czego leci sam. Przyjaciel daje mu adresy ciekawych ludzi w Teksasie. Znowu są przekonani, że on wie, i szanują go za jego opanowanie. Wprawdzie wraca z podróży wcześniej, ale nie bez zapowiedzi, i spotyka się z serdecznym przyjęciem. W locie, w domu w Europie, dzieli jej zachwyty nad Nowym Jorkiem; jego gotowość spędzenia w Nowym Jorku następnej zimy uszczęśliwia ją. Nowy Jork jest ważny ze względu na jej pracę, toteż przewycięża swój strach przed samolotem i leci miesiąc wcześniej, ponieważ jego obowiązki zatrzymują jeszcze w Europie. Jej listy, pisane z werwą, są radosne i tkiwe. Wkrótce po lądowaniu wysłuchuje historii Penelopy: niejaki Jack, którego jeszcze nie zna, chciał ją uwieść, właściwie wręcz zgwałcić, tak że musiała wezwać przyjaciół, żeby tego pijanego Jacka pozbyć się z pokoju. On interesuje się jej pracą, jej wskazane potrzebni są inni pomocnicy i on to »ro-



zumie; jego angielszczyzna jest mizerna. Nie spotykają się już we czwórce, ona, on i przyjaciel ze swoją młodą żoną, która zrobiła się niemiła. Czy widzi coś jeszcze? Widzi, jak trudno mu jest żonę o czymkolwiek przekonać, bez względu na temat; ona cały czas wie, że on cały czas żyje w nieświadomości swojej sytuacji, dlatego więc miałyby sądzić, że on nie myli się podobnie we wszystkich innych sprawach? Im bardziej staje się apodyktyczny, tym częściej myli się rzeczywiście; sam to widzi. Niedobra zima. Co kobieta jest winna, że on jest tak niepewny swojej własnej pracy? Potem znowu siedzi z gośćmi (ona gotuje) i gada bez zastanowienia w obecności jej milczącego przyjaciela, i nie widzi, że gdyby zdawał sobie sprawę z sytuacji, nie mówiłby w ten sposób. Jej ukradkowe spojrzenie nie wyraża nagany; nie jest pozbawione sympatii, tylko bezradne. Innych też mu się nie udaje przekonać. Nie wynika to z jego angielszczyzny. Sam siebie nie może przekonać. Ona życzy mu w Paryżu sukcesu, THEATRE NATIONAL DE L'ODEON, miałby powód do dumy, tymczasem znowu martwi go jej strach przed samolotem, który nie pozwala jej towarzyszyć mu do Paryża. Nie wie, co się z nim dzieje. Lekarz, polecony przez przyjaciela, w ogóle niczego nie stwierdza. Przecenia się? Oczekuje respektu. Ośmie-

sza się właśnie przez to, że nagle znowu mu się wydaje, że go nie biorą na serio. Jest to niezwykle przykre również dla przyjaciela, który go ceni. Pewnego razu tamten, przyjaciel, wstaje, idzie do drzwi i wybiega. Oby mu się w nocy na ulicy nie stało, byłby kłopot. Okazuje się, że przyjaciel wynajął tymczasem drugie mieszkanie, małe, bo w domu przy żonie nie może spokojnie pracować, i oto siedzi na łóżku: SORRY, mówi, I AM DRUNK. Zdarza się. Innym razem, gdy przynosi urodzinowy tort z trzydziestu trzema świeczkami i w towarzystwie, z żartobliwą rycerskością, kłeka przed żoną, także nie jest to moment, by go powiadomić — robi to w rok później (1973) w rozmowie przy kamiennym stole. Żadnych wyznań; rozmowa o samourzeczywistnieniu się kobiety. Mówi to mimochodem. On nie spada z konia jak jeździec nad Jeziorem Bodeńskim, tylko idzie pracować; korespondencja w sprawach zawodowych. Zwykła historia. Niewiele można do tego dodać. Trwała pełny rok; wielka miłość; mogli byli ze sobą żyć. Dlaczego nie mogli tego powiedzieć, rozumie ostatecznie także: nie mogli wiedzieć, że on to zrozumie; nikt nie mógł zagwarantować, że on, mając sześćdziesiąt lat, nie zastrzeli się, nie otruje, nie powiesi z tego powodu... No, już: Lynn wzięła do ręki niebieską raketkę, grają dalej. Co można tu innego robić.

Wieczór, nie ma jeszcze dziesiątej. Morze w świetle reflektorów. Jutro będzie padało.

Lynn wygrywa 5 : 3.

(Później, mniej więcej w miesiąc po tym ping-pongu, spadam jednak z konia — wy myślam Jórgowi, który kiedyś, w 1972, nie pozwolił zmarnować doszczętnie sześciu lat mojej pracy; a więc przyjaciel. Chodzę tam i z powrotem po jego pokoiku, śmieję się: Nasze rozmowy w cztery oczy, męskie rozmowy, a tymczasem on, jak się okazuje, wiedział, czego ja nie wiem o swoim małżeństwie. Przepraszam! Cofam to, co powiedziałem w złości. Ale na kogo ta złość? I to nie jest tak: nie ona go wtedy wtajemniczyła, z różnych stron go to dochodziło, i on, jako przyjaciel, pytał ją, czy ja o tym wiem. Mam rozumieć: jej udękę. Czy on, który przechowywał dla niej w tym domu plik miłosnych listów z Ameryki, mógł być nadużyć jej zaufania? Jestem mimo to wytracony z równowagi. Mówię obrzydliwe głupstwa, których Jórg nigdy by nie oczekiwał od poważnego człowieka. Co mnie to obchodzi, ile osób wiedziało o tym przede mną? To myśl o sobie wytrąca mnie z równowagi; cóż innego, jak nie moja próżność kazała mi cały czas, od kiedy się dowiedziałem, robić z tego tajemnicę, naszą tajemnicę? Jestem wytracony z równowagi

własną próżnością. Dlaczegoż to on, kochanek, nie miał temu czy innemu opowiadać swojej historii z moją żoną przedtem, zanim ja się o tym dowiedziałem. To jest jego historia.)

Bar nie jest miejscem, w którym można rozmawiać; za głośno, za ciemno. Nie chcą nic pić. Nie są właściwie zmęczeni, tylko rozgrzani ping-pongiem; przydałoby się wziąć natrysk. Nagle wszystko staje się kruche; ogarnia ich melancholia, oboje czują się bezdomni. Trzeba by mieć teraz jakiś pomysł, ale nic mu nie przychodzi do głowy. Lynn mówi:

IT WAS A BEATIFUL DAY!

Za tydzień posiedzenie Akademii w Berlinie. Co Lynn będzie robiła za tydzień o tej porze? Nie ma co o tym rozmawiać; jej plany, jego plany. Chwilę siedzą w loggii, Lynn w kudłatej kurtce narzuconej na piżamę; bliskie i coraz potężniejsze fale w strumieniach światła reflektorów; rozmawiać mogą już tylko na ogólne tematy:

CZY MAŁŻEŃSTWO JEST JESZCZE DLA NICH PROBLEMEM?

Przypominam sobie kobietę, która na tynku w toalecie zdarła sobie do krwi wszystkie

dziesięć palców, kiedy przyznałem się do zdrady małżeńskiej. Krew na tynku zauważyłem wieczorem, jej pokaleczone palce dopiero nazajutrz rano. Przypominam sobie także kobietę, która wstała z łóżka, żeby zadzwonić do męża do gabinetu przyjąć: z automatu, powiedziała, a ja puściłem to mimo uszu, i w dobrą godzinę potem siedzieliśmy we trójkę przy stole...

Temat nie nastraja go do rozmowy.

Morze w świetle reflektorów nie szumi tak głośno, by nie mogli gawędzić. Mimo to milczą teraz. Strumienie światła nie sięgają zresztą daleko; ukazują trzy grzebienie fal pokryte oświetloną pianą, a za nimi czarno, noc, nie widać żadnej latarni morskiej, noc bez horyzontu. I AM FINE, mówi Lynn siedząc w loggii, IT IS NOT COLD AT ALL. Chętnie jednak wzięła kudłatą kurtkę, którą niedawno po udzieleniu wywiadu trzymał w ręku po raz pierwszy, a potem także biały wełniany koc. W jakimś momencie głosy z sąsiedniej loggii; ostrzeżenie, że mogą być słyszani. Patrzą na trzy grzebienie fal (za chwilę są już tylko dwa) okryte pióropuszem piany wyłaniającej się z nocy. Lynn teraz bez swoich słonecznych okularów; gdy się odchyła w fotelu, jej rozpuszczone włosy sięgają prawie drewnianej



podłogi loggii. W zagłębieniu, jakie tworzy się poniżej piany, nadbiegające fale są zielone, blada, mleczna zieleń. Muzyka dochodząca z baru ucichła. Północ. Chwilami fale znowu rozbijają się o brzeg, tak że człowiek zapomina, o czym właśnie myślał. Przeważnie słychać jednostajny szum. Raz pojawiają się cztery grzebień, jeden po drugim. Szkoda byłoby iść teraz spać i siedzą jeszcze długo. YOU ARE WATCHING ME. Kiedy ujmuje jej ramiona, kiedy gładzi jej włosy i rozwartymi dłońmi odgarnia do tyłu, by całkiem odsłonić jej czoło, czytelne jak czoło bliskiego człowieka, albo kiedy palcami wodzi po jej rudawych brwiach: nie ma wątpliwości, że jego czułość skierowana jest na Lynn, młodą cudzoziemkę; jego uczucie nie myli jej z innymi, gdy całuje jej ciało, dopóki ona nie pociągnie go ku sobie. Jej włosy na jego twarzy, szerokie i miękkie usta, jej zwężone teraz oczy, nagle podobieństwo do wszystkich kobiet w chwili rozkoszy. Później jej głowa na jego ramieniu, twardość czaszki. YOU ARE THINKING. Jakaś kobieta będzie moją ostatnią, chciałbym, żeby to była Lynn, będziemy mieli łatwe i pogodne rozstanie... O siódmej rano, stojąc samotnie w loggii, spogląda na niebo; trudno jeszcze przewidzieć, czy dzień będzie pochmurny, czy pogodny. Ma nadzieję, że nie chrapał. Deski pod bosymi stopa-

mi są wilgotne, trochę śliskie. Nie wie, ó czym myśli; jest rzeźwy. Jak mewy. Także drewniana poręcz, na której oparł ręce, jest mokra. Sprawia mu przyjemność, że drży z chłodu i o niczym nie myśli. Czuje swoje stopy na deskach pokrytych zimnym nalołem, swoje ręce na drzewie poręczy; sły-szy mewy,- ale nie patrzy. Wszystko, co by zobaczył, już zna. Jego ciało pozwala mu odczuć, że w tym momencie istnieje. Niekiedy zadaje sobie mimochodem pytanie, na co właściwie zużył te dziesięciole-cia. Inni mogą powiedzieć: 5 lat na wojnie, 2 lata w niewoli. Ktoś inny: 40 lat na kolei. Ktoś inny: 10 lat w obozie. Ci wiedzą, dla-czego życie było krótkie.

#### ARCHITEKTURA:

12 lat z deską kreślarską, ołówkiem, suwa-kiem, kalką, przykladnicą, cyrklem, w za-pachu tuszu. Biały fartuch kreślarza. Gdy się zwija duży arkusz kalki: szeleszczący, trzepocący dźwięk. Rulony z tektury. Co-dzienna jazda do pracy: nie jestem już stu-dentem i nie jestem już pisarzem, należę" do większości. Jej twarze w wagonie rano i wieczorem. Chętnie noszę biały fartuch kreślarza, chętnie rysuję. Za oknem prószy śnieg, trzeba zapalić lampę kreślarską; po-łysk, gładkiej kalki. Jest wojna. Wyciąga-jąc wolno linię tuszem, wstrzymuję oddech.

Chętnie też opisuję; skrobię, kiedy cyfry wymiarów wypadną wprawdzie czytelnie, ale nie dość ładnie. CEMENT, SIKA, KLIN-KIER, CYNK/WĘLNA SZKLANA, ETERNIT, to słowa, które kaligrafuję. Mam trzydzieści lat i wreszcie zawód pozwalający zarobić na chleb, dyplom, jestem wdzięczny, że mam posadę: od ósmej do dwunastej i od pierwszej do piątej. Mogę się ożenić. Gdy posługuję się suwakiem, mam poczucie, że jestem fachowcem. Skąd właśnie architektura? Ojciec był architektem (bez dyplomu); przezroczysta kalka, ruchoma przykładnica, taśma miernicza jako zakazana zabawka. Rysując pracuję dokładniej, niż kiedy pisałem. Jako kreślarz przy planach przemysłowych wydaję się sobie zresztą bardziej męski. Kiedyś na budowie muszę przyjąć do wiadomości, że schody, które obliczyłem i narysowałem, nie dochodzą do górnego podestu; brakuje jednego stopnia, podczas gdy długość się zgadza. Potem nigdy się to już nie zdarza. Płyty na stopnie są już przycięte; szef pokrył stratę. Na budowie jestem „panem architektem”. Gdy widzę swoje kaligrafie w rękach zbrojarza, czy cieśli, czuję się niepewnie, nawet gdy plany się zgadzają. Często nie mam pojęcia, jak się coś wykonuje; wiem tylko, że robotnik już to będzie wiedział. Mdlące uczucie w stosunku do każdego rzemieślnika. Kiedy marszczy czoło, jestem zadowo-

lony, że nie pyta mnie, jak to ma zrobić, i kiedy klnie, oddaleni się. Nawet z czasem, gdy już wiem, jak trzeba by się do czegoś zabrać: moje ręce nie nadawałyby się do tego. Moje ręce spełniają wtedy rolę hamulca. Pozostaje uczucie niekompetencji. Wydaje się, że robotnicy tego nie dostrzegają. Chętnie bym się im dłużej przyglądał; ale nie wypada. Płacą mi niewiele więcej niż im; ale nie za przyglądanie się. W większości robotnicy są ode mnie starsi. Mój brat okazuje mi zaufanie. Z pieniędzmi u niego krucho; to ma być mały dom. Im prostszy będzie mój plan, tym lepiej. Zamiast tego chcę się wykazać pomysłowością, dom jest głupi, ale zostanie zbudowany: wykopy, rusztowanie, fundamenty, oszalowania, a wszystko według planu, potem rosnące surowe mury i to, czego plan nie obejmuje: wiele ziemi, deski, stopy cegieł, wszystko rzeczowe. Po odejściu robotników pozostają jeszcze chwilę, udają, że robię pomiary. Rury do kanalizacji, żwir, łopaty, taczki, rulony papy, ziarniste i trochę lepkie, worki pełne cementu, latryna pod kwitnącą wiśnią, pęk zardzewiałych żelaznych prętów na łące. Kiedyś mam sen: gotowy dom zupełnie niepodobny do moich planów, ale zbudowany według mojego planu, mówią. Podobne do snu-są przykre niespodzianki oczekujące mnie na budowie: jedno okno o wiele za duże, Nie można

go już zmniejszyć; ramy okienne są już zamówione. Nawet pomysły, które przyniosłyby oszczędności, przychodzą za późno. Żal mi brata. (W dwadzieścia lat później jeszcze raz okazuje mi zaufanie-, drugi dom jest przynajmniej rozsądny, dobrze osadzony w terenie i nie wyczynia błazeństw.) Mój pierwszy błąd jako szefa: zatrudniam przyjaciela ze studiów, pracowaliśmy dotąd razem na podobnych stanowiskach, oferuję mu miesięcznie 500 franków zamiast 350 i ponieważ zawsze złościliśmy się na te sztywne godziny, od ósmej do dwunastej i od drugiej do szóstej, daję mu w pewnym sensie wolną rękę, by mógł pracować, kiedy chce, czterdzieści godzin w tygodniu., Drugiego, technika, znam z wojska, gdzie był kapralem; jest zadowolony, że akurat dostał pracę, z nim także jestem na „ty”. Mamy pilną i piękną pracę, to znaczy projekt do zrobienia, często siedzę nad nim w domu do późnej nocy; równocześnie uważam, że byłoby to niewłaściwe, gdybym teraz, jako szef, później od innych stawał przy stole kreślarskim albo wcześniej wychodził. Gdybym jednak przychodził punktualnie o ósmej i stał już w białym fartuchu kreślarskim, kiedy oni przychodzą, wyglądałoby, że się bawię w kontrolera; to mi też nie odpowiada. Czasami muszę brać udział w naradach; gdy wracam po dwóch godzinach, Kurt, ów przyjaciel ze



studiów, ledwie może się doczekać ze swoimi szkicami, które mają wykazać, jak gorliwie pracuje. Jego propozycje są do niczego, ale bynajmniej nie czuje się urażony krytyką i gotów jest rzecz jeszcze raz opracować. Kreślarz budowlany, ten drugi, zachowuje się spokojnie, coraz spokojniej, aż któregoś dnia składa wymówienie. Dlaczego? Nie chce wyższego wynagrodzenia; jest tylko rozgoryczony tym, że ilekroć wychodzę, choćby tylko do drugiego pokoju, mój przyjaciel ze studiów natychmiast zabiera się do swojej prywatnej roboty. Nie muszę zaglądać mu pod rysownicę; widzę przecież, co mi pokazuje; bluff, szkice miękki ołówkiem, które można zrobić w dziesięć minut — i jak mi schlebia, gdzie tylko może. Ten drugi, kreślarz budowlany, jest jedynym praktykiem w mojej budzie, człowiekiem sumiennym; pracuje na swoje wynagrodzenie, podczas gdy dyplomowany architekt, lepiej opłacany, od miesiący mnie oszukuje, i to go zniechęca, odbiera mu całe zadowolenie z własnej sumienności. Na imię ma Adam. Mieszka w domu, w którym jest nasza pracownia. Któregoś ranka, przychodząc jak zwykle do pracy, natykam się na jego żonę, która rzuca się na mnie jak oszalała: JA NIE ZAMORDOWAŁAM, PANIE FRISCH, JA NIE ZAMORDOWAŁAM, NIECH PAN POWIE, ŻE JA NIE ZAMORDOWAŁAM! i pokazuje mi niemowlę. W no-

cy, żeby móc spać, postawiła łóżeczko na dole w moim biurze. Sine niemowlę. Udu-szone. Jej mąż, kapral, jest w tym czasie w wojsku; muszę go o tym zawiadomić. Los sumiennych. Mijają tygodnie, zanim biorę tego drugiego do kawiarni; nie muszę nic mówić, mówię tylko, że mamy do pogadania. Wymówienie? Przyjmuje je, za-nim padło to słowo, nie pytając nawet o powody; jestem zadowolony, że nie muszę podawać przyczyny, w przeciwnym razie Kurt mógłby mi odpowiedzieć: Ty jako pra-cownik robiłeś dokładnie to samo, pracow-ałeś nad swoim projektem konkursowym, który trzymałeś pod rysownicą. Długi czas projekt nasz pozostaje na papierze, brak w tych latach cementu, brak żelaza, które po-chłania wojna. Nie mając w tym czasie do-syć pracy, zaczynam znowu pisać: sztuki teatralne, żeby się coś zrealizowało. Piszę w wolne wieczory. Nie chcę być przyła-pany na tym, że robię w biurze coś inne-go; tylko na wypadek, gdyby nagle przy-szedł mi do głowy jakiś pomysł, pod ry-sownicą leży kartka. W ciągu pięciu tygod-ni pierwsza sztuka, w trzy tygodnie druga. Wystawia je teatr w Zurychu, przeto fakt, że piszę, nie uchodzi uwagi władz budo-wlanych. Kiedyś kierownik budowy bierze mnie do swego baraku, by mi w zaufaniu coś powiedzieć: w planie podpisanym, jak wszystkie plany, moim nazwiskiem jest ra-

żacy błąd w wymiarach. WYMIARY NALEŻY SKONTROLOWAĆ NA BUDOWIE, taka jest treść pieczętki figurującej z reguły na każdym planie; dziękują kierownikowi, że dostrzegł błąd, zanim buldożery wybrały za dużo ziemi, i mówię, że skądinąd mój kreślarz nie ponosi tu żadnej winy; ja sam rysowałem ten plan, nie tylko go podpisałem, ale sam rysowałem. Nie powinienem był tego mówić. Skutek był taki, że do końca budowy (dwa lata) kierownik ów nigdy się już do żadnego błędu nie przyznał; wiadomo było, kto popełnia błędy. Przez pewien czas udaje się godzić jedno z drugim: budowanie i próby na scenie. O ósmej do biura; o dziesiątej jadę do teatru na próby, siedzę jak zwykły widz na parterze i słucham. Kiedy aktorzy idą do domu uczyć się roli, jadę na budowę i patrzę, jak szalują skocznię, gdzie indziej układają płyty, jak stolarz nareszcie przywozi z warsztatu i dopasowuje swoją stolarkę. Nie wszystko tu idzie gładko, tak samo jak na próbach w teatrze. Realizacja tu i tam. Wykonują to wprawdzie inni, ale mimo to czuję, że mam ręce. Coś powstaje. Mam świadomość, że cały czas jest wypełniony, dzień w dzień; nie bez zawodowych kłopotów, ponieważ tu ostatni akt okazuje się wąty, a tam laserunek drewnianej wykładziny paskudny, nie do poprawienia. Przed zejściem z budowy czyszczę buty kawał-

kiem drewna albo drutem, potem biorą swój rower, Czasem jadąc na rowerze gwizdzą.

12.5.1974:

poranne morze perlowoszare pod niskimi chmurami, fala leniwa, nie ma słońca. Lepiej zdjąć buty i iść po piasku bosy, trzymając buty w rakach. Mewy nad pustym wybrzeżem, głośniejsze od wszelkiego doznania, głośniejsze od fal. Myśli: Dzisiaj będzie padało. Kępa trawy na wydmie. Jest wietrzno, a on jest tylko w koszuli, bez marynarki; nie marznie się, dopóki stąpa się z wysiłkiem. Jeszcze nie pada. Znowu jak okiem sięgnąć żywego ducha. Tu i ówdzie plastikowe pudełko w piasku wczoraj tego nie zauważyli. Zastanawia się, jak długo tak będzie szedł, z butami w rękach. Z tej odległości oba wczorajsze leżaki są maleńkie, ledwie jeszcze widoczne. Czuje się znakomicie. Brnie dalej. Potknąwszy się prawie, już wie, co pomyślał dzierząc w obu rękach oba buty: Chciałbym móc ten weekend opisać, niczego nie zmyślając, te ulotne chwile obecne — ale to pomyślał już wczoraj w boutique'u; zapomniał nazwy miejscowości. Potem znowu nie myśli o niczym... Potem znowu to samo: Chciałbym niczego nie zmyślać; chciałbym wiedzieć, co dostrzegam, co myślę, kiedy nie myślę

o możliwych czytelnikach. Piszę <sup>1</sup> więc, by zadowolić czytelników, dostarczyć materiału krytykom! Pytanie, czy pisząc myśli się o czytelniku, pojawia się na, każdym uniwersytecie. Na przykład, myśli, nigdy nie wyobrażałem sobie czytelników boso... W miejscach, gdzie dochodzą fale i gdzie piasek jest wilgotny, a przez to twardszy, dzięki czemu łatwiej się idzie, ziębną stopy. Jest przyływ, plaża węższa niż wczoraj. Dalej od morza, tam gdzie piasek jest suchy, znowu trzeba brnąć z wysiłkiem i skóra na podszwach zaczyna piec. Gruboziarnisty piasek. Kiedyś trzeba by iść tak długo, aż na podszwach w ogóle nie będzie już skóry i człowiek rzeczywiście do siebie przemówi.

Inaczej pozostanie to we śnie:

— trzy czy cztery psy, może dogi, psy są diiże. Jestem z nimi zamknięty w tej psiarni. Nie rzucają się jednak na mnie, szczekają. Nie mogę wyrzeć. Psy szczekają jak wściekle. Ja nie wiem, kto jest na zewnątrz przed ogrodzeniem, słyhać głosy, •ogrodzenie jest zaryglowane. W przeciwnym razie psy by was rozszarpały. Nie tylko ujadają, teraz drapią łapami w szparze pod drzwiami; kiedy cofają nogi, widzę, że ktoś im odrąbał łapy, jedną po drugiej.



Wczoraj to długie, łatwe popołudnie: jakby się to przewyciężyło (jak już tylekroć) raz na zawsze, spojrzenie wstecz bez gniewu i bez uzalania się nad sobą, wszystko przewyciężone i rozjaśnione (brakowało temu jeszcze tylko heksametrów) raz na zawsze, i teraz stoi oto na wydmie, z butami w rękach, by powiedzieć:

DAMN!

po pierwsze morze nie jest perłowszare, mewy nie są białe, piasek nie jest ani żółty, ani szary, nawet trawa nie jest zielona czy żółta, niskie chmury nie są fioletowe —

DAMN!

Ciągle żyję nie zdając sobie sprawy z sytuacji.

DAMN!

Potem sam nie rozumiem swojego zachowania. Słowa, które mnie ugodziły jak nożem, w ogóle nie padły; wszyscy to potwierdzają. Ranie się o urojenia. Zazwyczaj nic na to nie wskazuje, że mój mózg mnie zawodzi; tylko ja dostrzegam co dzieje się pośliznięcia. Sprawia to, że jestem niepewny i agresywny. Mój lęk, że mózg mnie zawiedzie, i moja sfera uczuciowa: chwiej-

na, egzaltowana, mało odporna. Na nic się to nie zdaje, że utwierdzam się w takim czy innym przekonaniu. Długie, łatwe popołudnie: świat oddała się w swoją przyszłość beze mnie i tak wszystko zawęza się do mojego ja, które czuje się wykluczone ze wspólnoty przyszłości. Pozostaje zwodnicza potrzeba zatrzymania chwili dzięki kobiecie. Znam tę próżnię: gdy najbliższy kwadrans wydaje się dłuższy niż cały ubiegły rok, a do tego jeszcze akurat dołącza się myśl, że na coś liczę. Chory człowiek we mnie, który chce umrzeć i nie mówi o tym, coś, co go pcha, by z całym spokojem rozstrzaskać mój, mózg o najbliższą ścianę —

SHIT!

W środę kończę 63 lata... Będzie dzisiaj padało, ale to pomyślał już przed godziną, a jeszcze nie pada. Raz parę kropel. Jest dziewiąta. Po dziesiątej (przeczytał to na drzwiach pokoju) śniadań się nie podaje — tak więc znowu wie, o czym myśli z butami w rękach: Muszę ją obudzić... Rano nie można się do Lynn odezwać. Jej powieki teraz bez szminki woskowo blade. Oddycha jednak. Jej rozrzucone włosy na poduszce, nagie ramię dotyka niemal podłogi, jedna stopa wystaje spod prześcieradła.

W TYCH DNIACH WSTAJĘ RAZEM  
Z BRZOZAMI  
ISCZESUJĘ Z CZOŁA PSZENICZNE  
WŁOSY  
PRZED LODOWYM ZWIERCIADŁEM.

W TYCH DNIACH NIE BOLI MNIE,  
ZE MOGĘ ZAPOMNIEĆ  
I ZE MUSZĘ WSPOMINAĆ.

O szarym świecie przed laty idę nadbrzeżną ulicą, kiedy ona jeszcze śpi; nie boso, ale  
1 w płóciennych pantoflach nogi zaczynają piec. Pilno mi i idę szybko. Nie patrzę. Mimo to widzę w zatoce zakotwiczone rzędem statki przeznaczone na złom, dalekie łodzie rybackie w szarości poranka. Najpierw poszedłem tylko pod dom i usiadłem na molo, od czasu do czasu zerkając ku domowi. Miałem nadzieję, że mnie szuka? Kiedy się śpi, jedna godzina jest niczym; dla czuwającego to długo. Potem zacząłem spacerować, żeby się rozgrzać. Nagle pojawiło się znużenie, W miejscu, gdzie wąska nadbrzeżna ulica obiega skałę, skąd po raz ostatni można jeszcze zobaczyć mały port, dom, w którym ona śpi, mały taras na najwyższym piętrze, jeszcze raz usiadłem na murze, ramiona daleko od siebie, dłonie oparte na płask o chropawą powierzchnię, zwieszony stopy w płóciennych pantoflach. Pocieram mur

Montouk

14

dłońmi i odchodzę, zanim zrobi się dzień. Jak ktoś, kto ma zanieść wiadomość, pilną wiadomość, odchodzę. LA SPEZIA; nie idę dalej. Za wcześniej, żeby dostać kawę. Wszyscy jeszcze śpią, nie ma żywego ducha, wszystkie żaluzje opuszczone. Nie rozkładają jeszcze nawet codziennego targowiska. Nie jeżdżą autobusy; można iść środkiem jezdni. Rad jestem, że się trzęsę na ulicznej ławce, żadne myślenie nie pomaga, nie wiem, po której stronie jest przyszłość. Potem na dworcu studiuje bez okularów rozkład jazdy i sprawdzam w kieszeni spodni, ile mam pieniędzy. Uciec od niej czy wrócić? Gdy jestem przy niej, istnieje tylko ona, przy niej zaczynają się urojenia. Tyle już wiedziałem. Jeszcze wydaje mi się, że trzeba to rozstrzygnąć, tak jak się podrzuca monetę: orzeł czy reszka? Ale już zdecydowałem. Tylko na kpiny naprawdę rzucam monetę, 100 lirów, podnoszę z ziemi nie patrząc, czy orzeł, czy reszka; czekam tylko jeszcze, żeby można się w tym mieście napić kawy: LA SPEZIA... Dokładnie o tej samej szarej godzinie świtu przed dwoma miesiącami: PARYŻ, pierwsze pocałunki na miejskiej ławce, potem w Halach, gdzie dają pierwszą kawę; przy stoliku obok rzeźnicy w zakrwawionych fartuchach, to zbyt prostackie ostrzeżenie. Ich jazda do Zurychu. Podniecona na dworcu; jej bagaż, jej parasolką, jej torby. Tydzień w Zurychu jako

para zakochanych i jasno uświadomione pierwsze rozstanie. To się zdarza rzeczywiście: że włosy stają dęba. Widziałem to u niej. Jasne uświadomienie sobie, że nie da się żyć dłużej niż cztery tygodnie. Moja jazda do Neapolu. Ona na dworcu; jej silne ramiona. Dokąd teraz? W końcu to sprawa przypadku, gdzie znajdziemy lokum; znowu zbyt prostacko: PORTO VENERE, gdzie dojechaliśmy taksówką, jakbyśmy uciekali... Potem, zanim wstałem, wysypałem piasek z pantofli i monetę wydaję na kawę. Żyjemy ze sobą siedem miesięcy, potem choruję (hepatitis). Mam czterdzieści osiem lat i nigdy jeszcze nie leżałem w szpitalu, delectuję się przyjęciem, wszystko na biało i obsługa. Ale potem lęk, że stracę pamięć. Pierwszy raz ten lęk. W nocy zdanie, które muszę jej powiedzieć: Zdanie. Wydaje mi się słuszne i dlatego jest ważne, żebym, nie mogąc notować, nauczył się tego zdania na pamięć. Rano codzienna kroplówka do prawego ramienia, to trwa trzy albo cztery godziny, jak tak kapie z zawieszzonego nade mną słoika. Żejby mi nie uciekło, powtarzam moje nocne zdanie co kwadrans ; nie mogąc za każdym razem pomyśleć, co ono znaczy. Garść słów. Zwłaszcza po wizycie ordynatora, po wysłuchaniu innych słów, pilno mi tę garść słów znowu zestawić. Kroplówka osłabia, ale nie tylko to ; także gorzej się widzi. Muszę jednak zanotować to zdanie,



zanim zapadną w sen. Pod wieczór człowiek jest rozbudzony; odczytują zdanie, które nie jest żadnym zdaniem: nie można znaleźć podmiotu, na próżno zgadują, w ogóle brak czasownika. Boję się. Przychodzi z wizytą, a ja nie mogę jej tego powiedzieć. Czy słyszę? Nie zauważyłem, że ma dzisiaj na sobie nową suknię, letnią. Jest rozczarowana; cały dzień biegała po Zurychu, żeby urobić mi przyjemność nową suknią. Poza tym kupiła mi kwiaty, ostróżki, bo lubię ostrowski; stoją w mieszkaniu, mówi, trzy bukiety. Nie rozumiem tego wszystkiego. Odprawiam ją. Jestem złoćniejszy od prawdziwego Chińczyka i zlecam kupno dwóch volkswagenów, jednego dla niej i jednego dla mnie, jeśli wyjdę z tego szpitala. Na szczęście ktoś tu jest przejazdem i będzie ją mógł zabrać do Rzymu. Nie byle kto: Hans Magnus. Wysłałem ją, latem 1959, i wkrótce potem wracam do zdrowia. Już znowu mogę chodzić: pół godziny do siarczanego źródła i pół godziny z powrotem, potem więcej. Pamięć także powróciła, a więc ona jest w Rzymie. Kiedy już mogę chodzić cztery do pięciu godzin dziennie, zdaję sobie sprawę, że nie chcę żyć bez niej. ROMA NON RISPONDE, nie mogę pojąć, że przez całą noc nie mogę się do niej dodzwonić, za dnia także nie, ROMA NON RISPONDE, mogą sobie pomyśleć różne rzeczy, a wszystko to jest mi zupełnie obojętne; co mnie

wykańcza, to ten dzwonek, dopóki znowu nie odezwie się głos: ROMA NON RISPONDE. Przynoszę koc, bo co chwila zasypiam obok aparatu, i nastawiam budzik, by co godzinę dzwonić. Wyprawił ją człowiek chory, ja wiem; lekarz pozwolił mi się ubrać i na parę minut wyjść na ulicę, by obojgu pomachać przy odjeździe. Czy nie dostała moich listów? Już nie jestem żółty; pragnę jej. ROMA NON RISPONDE, ROMA NON RISPONDE. Naraz słyszę jednak jej głos; w parę dni później spotykamy się na granicy włosko-szwajcarskiej i dwoma volkswagenami jedziemy do Zurychu. Mówi, co było w Rzymie. W Zurychu próba z dwoma mieszkaniami; mieszka w domu, w którym mieszkał Gotfryd Keller jako sekretarz rządu kantonálnego, z drzwiami wykładanymi orzechem, z mosiężnymi okuciami. W co ja się wdaję? — w Sienie, jesienią 1959, stoję przed pocztą jak obudzony lunatyk, przez dobrą chwilę nie mogąc przejść przez nasłoneczniony plac: list wysłany, ekspres,, gruby list. Zaproponowałem jej małżeństwo. Tak. Nie wyobrażam sobie jej odpowiedzi. Nie. Przyjaciół, który czekał na mnie w pobliskim barze, widzi, że jestem dosyć podniecony, i nie wie, dlaczego. Kiedy najwcześniej mogę spodziewać się od niej odpowiedzi? Tej jesieni nie wolno mi pić, nawet kawy; tak trzeźwo zaproponowałem jej to małżeństwo. 'W Asyżu idę najpierw

na pocztą, potem do katedry, gdzie właśnie odbywa się ślub, katolicki; we Florencji — znowu na pocztę, zanim z przyjacielem znajduję hotel. Czy mam zebrać się na od? wagę i zatelefonować? Mój list, który w tej chwili jeszcze najdokładniej pamiętam, doszedł, dowiaduję się tego od niej dopiero przy naszym spotkaniu w Zurychu. Jak ja; właściwie, w pół roku po późnym zerwaniu mojego mieszczańskiego małżeństwa, pojmuje małżeństwo? Jada z nią do Frankfurtu; w czasie jej pierwszego wykładu siedzę na sali i trzymam jej płaszcz na kolanach. W przyszłości chce jeździć do Frankfurtu sama; któregoś razu na peronie, kiedy po nią wychodzę, staje na mój widok głęboko zmieszana. Co takiego było w telegramie, który na drugi dzień tak ją wytrącił z równowagi, pozostaje jej tajemnicą. Nie uwalnia mnie od mojej zależności i to, że tej zimy, między naszymi dwoma mieszkaniem, idę do innej kobiety. Myślę, że także moje dzieci ją kochają. Później wyruszamy razem do Rzymu, VIA GIULIA 102, gdzie dokucza nam hałas. Jej Rzym. Plotka o naszym małżeństwie pokutuje w gazetach, ze wzmianką o włoskiej kaplicy, której nigdy nie widziałem. Nie wierzą w , jej niezależność? Jako goście jej czy moich przyjaciół dostajemy — bez pytania wspólny pokój; jesteśmy parą, rodzajem pary, tego nie da się już ukryć. W jakiejś włoskiej restauracji przysiada się

do naszego stolika Niemiec, widzą powitanie pełne radości z tego przypadkowego spotkania, i pół godziny przysłuchują się rozmowie; nie przedstawia mnie i ja się nie przedstawiam, ponieważ wiem, że tego nie lubi, a on, Peter Huchel, także nie ośmiela się przedstawić, chociaż mnie poznał. Chwilami jest to komiczne. Kiedy odwiedzam ją w Neapolu, nie pokazuje mi domu, w którym mieszka, ani nawet ulicy; rozumiem to. Prześladowuje ją nieustanna obawa, że ludzie, z którymi utrzymuje bliższe stosunki, będą się nawzajem spotykali. Nie ma ochoty, abym się kiedykolwiek zjawił na zebraniu GRUPY 47; to jest jej domena. Ma więcej takich domen. Czasami irytuje mnie ta tajemniczość. Czego się boi? Pewnego razu jedziemy do Klagenfurtu; pokazuje mi fontannę ze smokiem, sławną z racji umieszczonego tam napisu; jestem (mówi) pierwszym mężczyzną, któremu to pokazuje, i pokazuje mnie rodzinie. Potem, w Rzymie, znówu zrywa związek między przeszłością a teraźniejszością; nagle staje jak wryta i grzbietem dłoni dotyka wysokiego czoła: Nie, proszę cię, nie idźmy tą ulicą, nie, proszę I Nie pytam. Człowiek wraz ze swoimi tajemnicami wydaje siebie. To prawda. Wszyscy, którzy kiedyś wtargnęli w nasze życie albo któregoś dnia mogliby wtargnąć, zebrani razem, to perspektywa przerażająca: przyjęcie nawzajem do wiadomości swoje-

go istnienia, ich porozumienie po wymianie sprzecznych informacji, ich wzajemne zrozumienie, byłoby grobem naszej samowiedzy. Jej świetność; siedzimy przed rzymskim pośrednikiem, który wynajmuje mieszkanie jakiejś baronessy i daje do zrozumienia, że baronessa, być może, będzie wolała wynająć mieszkanie amerykańskiemu dyplomacie, DOTTORE, mówi zdumiona jak królowa, której nie rozpoznano, i przeciąga, SENTA, mówi, SIAMO SCRITTORI, i dostajemy to mieszkanie; taras z widokiem na Rzym. Często znika na całe tygodnie, a ja czekam w tym jej Rzymie. Pewnego razu, wiedząc, że już wraca do Rzymu, nie mogę czekać nawet godziny dłużej, wyjeżdżam za miasto i czatuję na skarpie przy drodze; czekam na jej niebieskiego volkswagena. Chcę ją przywitać. Na wypadek, gdyby prowadząc nie dostrzegła mnie przy drodze, ustawiam swój wóz, gotów do odjazdu, w kierunku ROMA/CENTRO. Tam i z powrotem przemykają volkswageny, także niebieskie, więc macham. Może siedzi jeszcze w restauracji w Sienie, RISTORANTE DI SPERANZA, mam czas. Nie poznała mnie wtedy, ale wkrótce ją doganiam; widzę z tyłu jej okrągłą głowę, jej włosy. Wyraźnie nie rozumie mojego sygnału, i trwa jeszcze chwilę, zanim mogę jej zajechać drogę, jak to robi policja, i zatrzymać jej wóz, tak że w rezultacie napędzam jej strachu. Zach-



wuję się jak błazen i wiem o tym. Jej niezależność jest częścią jej świetności. Zazdrość jest ceną, jaką ja za to płacę, z nadwyżką. Letnią nocą, na tarasie z widokiem na Rzym, śpię z twarzą wtuloną w koc. Dzięki cierpieniu wzrasta moje czułe pożądanie. Ale kiedy jest obecna, to jest. A może się mylę? Czego nigdy nie było: małżeństwa jako małodusznej domowej krzątaczki. Co mnie męczy? Siedzę w swoim pokoju, nie podsłuchuję jej, ale słyszę, jak rozmawia z kimś przez telefon; jej głos brzmi radośnie, śmieje się, robi się z tego długa rozmowa; pojęcia nie mam, komu to mówi: Pojutrze jadę do Londynu nie wspominając, że do Londynu jedziemy razem na przedstawienie mojej sztuki. Raz zrobiłem coś, czego nie powinno się robić: przeczytałem listy nie do mnie skierowane, listy od mężczyzny; mowa w nich o małżeństwie. Wstydzę się i milczę. Kiedy pytam, nie kłamie. Pisze: Jeśli się między nami coś zmieni, powiem Ci to. Znowu wydaje mi się, że nie wytrzymam bez niej. Jadę na północ, drogą, którą znam na pamięć: dziesięć godzin do Como, gdzie zwykle nocuję, ale tym razem jadę dalej bez zatrzymania. Nie wie, że jestem w drodze do niej. Jadę dalej: do Airólo, w Szwajcarii, gdzie już noc. Pełnia. Piękny byłby teraz przejazd przez Św. Gotarda. Wkrótce potem wpadam w gęstą mgłę; z trudem tylko można dojrzeć

słupki przydrożne. Potem pada. Zastanawiam się, czy nie byłoby rozsądniej przenocować w schronisku, nie wysiadam jednak. Wcale nie czuję się zmęczony, przeciwnie. Mijam schronisko i zaraz potem, gdy droga prowadzi w dół, gaśnie prawy reflektor. Nie staję, tylko jadę wolniej. Dwadzieścia kilometrów na godzinę, więcej po prostu się nie da, bo został mi tylko lewy reflektor, a muszę obserwować oznakowanie po prawej stronie, by wiedzieć, którądy dalej. Leje jak z cebra. Jestem teraz sam na szosie, bynajmniej nie wyczerpany ani choćby śpiący (wydaje mi się) po czternastu godzinach przy kierownicy. Kiedy nagle widzę biały słupek nie po prawej ręce, ale na lewo, wiem, że zgubiłem drogę i gwałtownie hamuję. Wóz staje, lekko pochylony do przodu. Nie wysiadam, żeby zobaczyć, jak wóz tkwi teraz nad urwiskiem-, włączam wsteczny bieg. I udaje się. I jadę dalej. Bardzo wolno. Od czasu do czasu staję, by przetrzeć szybę. Mgła utrzymuje się, chociaż trochę przestaje padać. W Andermatt wygląda na to, że wszystkie hotele są już zamknięte; minęła północ. Jadę więc dalej, sprawdziwszy w końcu, co jeszcze zostało ze świateł: lewy reflektor i oba małe, słabe światła postojowe. Nie mogę zrezygnować. Nic nie piłem (1 campari w Sienie, 3 espressi w Como, 1 piwo w Airolo) i czuję się dobrze. Jadący z przeciwka protestują przeciw mojemu re-

Hektorowi; nie mogę go jednak wyłączyć i liczyć na to, że dostrzegą oba słabe światła postojowe. Mam nadzieję, że nie trafię na policję. Około trzeciej jestem w domu, UETIKON AM SEE. Nic się nie stało, nic zupełnie: Przyjeżdżam z Rzymu! To wszystko. Jestem. Dlaczego przynajmniej nie zadzwoniłem, nie wiem; nie pomyślałem o tym, miałem tylko nadzieję, że ją zastanę. Zastałem. To było trzynaście lat temu. Ingeborg nie żyje. Po raz ostatni rozmawialiśmy w 1963 w rzymskiej kawiarni, przed południem; słyszę, że w tym mieszkaniu, w DOMU ZUM LANGENBAUM, znalazła w zamkniętej szufladzie mój dziennik; przeczytała go i spaliła. Pod koniec niedobrze to znosiliśmy, i ja, i ona,

#### GURNEY'S INN:

młoda kelnerka, inna niż wczoraj, nalewa do obu szklanek wodę z kostkami lodu; Lynn jeszcze nie ma, on jednak wie, co zamówić: , MELON, PAN CAKE WITH BACON AND JAM, COFFEE, jej niedzielne śniadanie, no i teraz porządnie już pada.

#### MY LIFE AS A MAN

Po latach patrzę na siebie i nie poznaję: — ona- leży w klinice Birchera Bennerd w Zurychu i on przychodzi ją odwiedzić. Musi

czekać; najwyraźniej jego wizyta nie jest pożądana. On upiera się jednak, by ją zobaczyć i porozmawiać. Nie uważa się za potwora. Gdy wchodzi do pokoju, milczy przerażona. Dlaczego jest w tej klinice? Sama się zgłosiła. Widzi kwiaty i nie pyta, kto te kwiaty przysłał. Przygląda się, jak siostra wymienia właśnie wczorajsze kwiaty na kwiaty przysłane dzisiaj. Nie siada na brzegu łóżka, tylko stoi; za dwie, trzy godziny musi być na lotnisku. Kiedy ona chce wstać z łóżka, żeby się ubrać i wyjść na spacer, nie życzy sobie, żeby ją widział w koszuli, i prosi, by wyszedł z pokoju. Leci do Ameryki, tak, bez niej. Wszystko to wie z listów. Zna Mariannę i rozmawiała z nią jak wielka dama. Przyszedł, żeby się z nią w piątym roku pożegnać. Nie bardzo wierzy w jej chorobę. Wierzy natomiast w tę historię z kwiatami, które ona codziennie otrzymuje, i nie jest zazdrosny; przestał być od niej zależny. Idą więc do lasu; na godzinę, jak polecił lekarz. Gdy wysłała mu do Rzymu wiadomość, że leży w klinice, bardzo się przeraził, ale planów nie zmienił. Ona ma jeszcze nadzieję, że będąc w Ameryce sam zrozumie i wezwie ją do Ameryki; to oznaczałoby powrót do zdrowia. Jeśli będzie dalej chorowała, to tylko z jego winy. A co stwierdził lekarz? Wygląda żałośnie. Co lekarz zalecił oprócz spokoju i diety? Żadnych wizyt; jego wizyta

*im*

przede wszystkim jej zaszkodzi. Można by się wziąć pod rękę, żeby razem iść pod parasolem. On nie wie, skąd zna już tę drogę, pamięta tę chwilę. Co mówić? Jak milczeć? Jest roztargniony; trzy godziny do odlotu. Poda swój adres itd. Przypomina sobie, tak, dawniej opowiadała mu kiedyś o pewnym starszym mężczyźnie, którego widziała w Wiedniu, ale nie rozmawiała z nim; prawdopodobnie 2yd; porozumieli się w mgnieniu oka, tak się jej zdawało, i uciekła przed nim jak przed losem. To jest zagadkowe: ten nieznajomy był tutaj, tak, w klinice. Przypadkowo. Spotkali się znowu na korytarzu; potem on także zrobił z nią ten spacer. Nie wymienia jednak jego nazwiska i w ogóle niewiele mówi. Wszystko to bardzo zagadkowe. Od tego nieznajomego więc przychodzą co dzień te kwiaty, zawsze takie same: 35 róż. Tak mówi i on chętnie w to wierzy; dzięki temu gdy on odejdzie, nie będzie sama. A ty, mówi mu w pół roku później w Rzymie, poleciałeś do Ameryki, kiedy ja leżałam w klinice, i nie wezwałeś mnie do Ameryki. Nie domyśliłeś się nawet, że ja sobie sama posyłałam te kwiaty, żebyś mnie wezwał.

#### CHECK OUT

bo co właściwie mają robić po śniadaniu. Iść na spacer z parasolem? Ping-pong? Mo-



zna by siedzieć w loggii i patrzeć na morze w deszczu... Potem zły jest, że Lynn, która załatwiała rezerwację, mniej więcej wie, ile on płaci tu za dwie noce. Ona siedzi już w wozie. Płaci prawie dwa razy tyle, ile ona zarabia tygodniowo: pieniądze mężczyzny, które w małżeństwie stają się czymś tak naturalnym... Kiedy z boku spogląda na Lynn (zawsze pod jakimś pretekstem; podaje jej przy tym ognia albo udaje, że chciał rzucić okiem na krajobraz, na wydmy, baraki, maszty): Lynn przy kierownicy, patrząca najczęściej prosto przed siebie, albo przyzwyczał się do tego, że jej wargi przybierają na dzień drwiący wyraz, albo jej wargi się zmieniły. Raz, przedwczoraj przy stole, Lynn była urażona. Dlaczego? W każdym razie- zauważył to i zapytał ją, ale nie zdołał z niej nic wydobyć. Nieporozumienie? Jadą z powrotem tą samą drogą. Prawdopodobnie i ona trochę się bała, że ten weekend może się nie udać. Starali się oszukać lęk, teraz nie jest to już konieczne. Okazuje się, że zgubił swój kapciuch; milczy bez fajki w ustach. Wiedzą o sobie mało, ale za wiele, by móc prowadzić lekką, zdawkową rozmowę. Nie wie jeszcze nawet, czym ją łatwo urazić i co musiałoby, doprowadzić do pierwszych niesnasek. Wydaje się zresztą, że Lynn już o tym nie myśli; jeden raz się nie liczy. On musi być żonaty, i to długo, żeby okazać się potworem.

## AMAGANNSETT

hazywa się więc ta mała miejscowość, gdzie wczoraj postanowił opowiedzieć ó tym week-endzie: autobiograficznie, tak, autobiograficznie. Bez wymyślania osób; bez wymyślania wydarzeń bardziej typowych niż to, co go spotyka w rzeczywistości; bez szukania ucieczki w zmyśleniu. Bez próby usprawiedliwienia swojego pisarstwa odpowiedzialnością przed społeczeństwem; bez posłannictwa. Nie ma żadnego i mimo to żyje. Chciałby jedynie opowiedzieć (nie bez pewnych względów wobec osób wymienionych z imienia) swoje życie.

## PRZYMIERZAM HISTORIE JAK UBRANIA

Coraz częściej przeraża mnie jakieś wspomnienie, najczęściej są to wspomnienia, w których właściwie nie ma nic straszego; dużo błahostek, których nie warto opowiadać w kuchni albo siedząc obok kierowcy. Przeraża mnie tylko to, co się w nich ujawnia. Przemilczałem przed sobą swoje życie. Obsługiwałem jakąś publiczność opowiadaniem różnych historii. Obnażałem się w tych opowiadaniach, wiem — nie do poznania. Nie żyję własnymi sprawami, tylko tą ich częścią, którą mogłem wyzyskać literacko. Nie tknięte są całe obszary: ojciec, brat, siostra. W zeszłym roku umarła moja

siostra. Byłem zdumiony, ile o niej wiem; ani razu nic z tego nie napisałem. Nieprawda nawet, że zawsze pisałem tylko o sobie. Wcale siebie nie opisałem. Ja siebie tylko zdradziłem.

#### MAX, WHAT IS YOUR STATE OF MIND?

pyta Lynn, ponieważ pada... Rys przygnębienia, widoczny prawie na każdej fotografii, razi mnie, od kiedy siebie pamiętam. Bierze się to z porażenia powiek, które w dodatku, wiem to, nadaje twarzy wyraz wyniosłości. Porażenie powiek wzięło się stąd, że gdy jako mały chłopak chorowałem na odrę i miałem leżeć w przyciemnionym pokoju, po kryjomu, przyświecając sobie kieszonkową latarką, godzinami czytałem pod kołdrą DON KICHOTA. Później dwa razy w tygodniu chodziłem w związku z oczami na zabiegi; okulista odwijał mi powieki i pędzlował po wewnętrznej stronie brązową tynkturą, co bolało, zapłata za nieposłuszeństwo, piekło diabelnie, a potem musiałem jeszcze godzinę siedzieć z zawiązanymi oczami w poczekalni. Kuracja niewiele pomogła. Te powieki (jakbym miał wzrok stale spuszczone: nieufnie, drwiąco) należą do mojej fizjonomii — będąc jeszcze uczniem przekonałem się, jak drażniła ona różnych nauczycieli: mierny uczeń i taka arogancja. Nie wiedziałem dokładnie, co to

słowo znaczy; *coś* złego w każdym razie,  
| ' godnego potępienia. Siadaj! To było dawno;  
| później nie słyszałem już tego: Siadaj! Fi-  
[ zjonomia jednak została, wrażenie, jakie  
| sprawia; dowiaduję się o tym, gdy ktoś po-  
znawszy mnie bliżej dziwi się, że właściwie  
ft. nie jestem wcale arogancki. Odkrycie to  
| uspokaja innych bardziej niż mnie. Wycią-  
gam z tego wniosek: muszę się mieć na  
| baczności, muszę być szczególnie skromny.

Naturalna duma w połączeniu z tym moim  
| wyrazem twarzy musi wydawać się arogan-  
|, cją. Udamę więc jowialnie skromnego, a gdy  
ktoś daje się na to wziąć, zaczynam się  
sam krytykować —

Ej

Ó, to jego słowa, I AM FINE.

Deszcz mu nie przeszkadza. Cieszy się każdą  
chwilą. Teraz miarowy ruch obu wyciera-..  
| czek. Zwraca uwagę na wszystko, co w  
danym momencie można zobaczyć. Nie chce  
wspomnień. Chce chwili obecnej. Krajobraz  
I teraz, w tej chwili, jest dosyć nudny; mimo  
to patrzy. Widzi jej stopę na pedale gazu,  
zniszczony pantofel, jej prawą dłoń na kie-  
rownicy, wąską dłoń, miarowy ruch wycie-  
raczek. Nic nie uchodzi jego uwagi; jest  
wdzięczny za ten weekend, który jeszcze  
nie minął.

BRETANIA:

Podróż we trójkę małym morrisem, cały czas siedzę z tyłu. Po co mam, prowadząc, robić Wędy, wybierać złą drogę? Nic nie mówię; żadnej wymówki, kiedy ona się myli: ORLY zamiast ORLEANS, nie ma nie-szczęścia, godzinny objazd, tyle że to nie moja wina; to ją denerwuje. Jestem obrzydliwy, wiem o tym; obserwuję krajobraz i nie muszę się obwiniać, rozprawiam za to (na przykład) o Peterze Handkem, jego PEŁNI NIESZCZĘŚCIA, tekście, który zrobił na mnie wrażenie. Jej wymówki, kiedy ja siedzę przy kierownicy, są czasami słuszne; potrzebuję urlopu, chciałbym przez trzy tygodnie nie robić błędów prowadząc wóz, tylko oglądać Francję. Francuski żandarm, który zbliża się z surową miną i żąda dokumentów, a potem pyta, czy nie widziała czerwonego światła, przyjrząwszy się prowadzącej okazuje się dżentelmenem: MADAME, mówi nie przesadzając w szarmancji, co mogłoby wyglądać na lekceważenie obu mężczyzn w morrisie, i przykładając dłoń do swojej sztywnej czapki: BON VOYAGE! i dojeżdżamy do morza, MONT SAINT MICHEL, w porze odpływu. Idą mulistym dnem daleko od siebie. Drogiemu przyjacielowi, myślę, ciężcy musi towarzystwo takiej pary w nastroju pod psem. LA DOUCE FRANCE. Obiad prosty, ale wyśmienity; nasz przyjaciel, kompozytor, opowiada równie mądrze o starych Celtach jak o Monachium. Jej



zachciało się właśnie papierosa, ponieważ jednak przestała już właściwie palić, nie mam przy sobie papierosów; zwraca<sup>^</sup> się do przyjaciela. Ten sięga do kieszeni i kładzie paczkę, żeby sobie wzięła. Co też robi. Ja słucham, co on mówi. Jej spojrzenie na mnie: czy nie widzę, że czeka na ogień. Pytam go, czy ma zapaliki? Zapaliki? A tak, ma: w płaszczu, w lewej albo w prawej kieszeni, mówi nie dając się odciągnąć od talerza, i ja muszę tylko wstać od stołu, by poszukać tych zapalek w lewej albo prawej kieszeni jego płaszcza. Czemu się śmieję? Bo okazuje się, że mam zapaliki i nie muszę wstawiać, podaję ogień; jej spojrzenie z odzieniem nagany: Co to ma znaczyć! To jest nasz wierny gość od lat, dusza towarzystwa przy stole, najlepszy, pełen inicjatywy towarzysz podróży. Później w samochodzie pytam go, czy może mi powiedzieć, dlaczego robi ze mnie swojego lokaja. Przykład jeden z wielu. Robi się nieprzyjemna atmosfera; bn nie rozumie, o co chodzi, a ona jest na mnie oburzona; uważa, że jestem nieobliczalny:

### OBRAŻASZ WSZYSTKICH NASZYCH PRZYJACIÓŁ!

a potem moje przewrażliwienie, kiedy nie poczuwam się do winy i w najlepszym wypadku dopiero w cztery oczy wysłuchuję

opinii o sobie, moje chorobliwe przeważenie jako odwrotna strona samokrytycyzmu, który jest odwrotną stroną despotyzmu: jak gdyby inni nie mieli prawa orzekać o moich słabościach, o błędach, jakie popełniam.

#### SUNRISE HIGHWAY:

ponieważ Lynn nie skończyła na plaży swojej pracy biurowej, prosi go, by usiadł za kierownicą. Teraz czyta. On chętnie prowadzi, gdy ktoś ma do niego zaufanie, a ona wyraźnie to okazuje; inaczej nie mogłaby przecież czytać. Droga ciągnie się niemal prosto jak strzeł, nudna więc, gdy nie ma kogo wyprzedzać. Potem zastanawia się po cichu, co będą robili na Manhattanie: niedzielne popołudnie, deszcz, jej małe zakratowane mieszkanie.

#### MAX, YOU ARE WRONG

mówi młoda cudzoziemka i on godzi się z tym jak człowiek normalny, człowiek zdrowy, człowiek rozsądny — konstatuję to z ulgą, bo już się po nim tego nie spodziewałem... Nie traktuje tego jako wyrzutu. Zdaje sobie sprawę, że powinien zjechać na lewy pas i po prostu to robi, nie mówi przy tym: SORRY! żeby potem milczeć urażony. Przyjmuje to jak drobną pomoc, nie jak

naganą. Przed chwilą powiedział: ALICE IN THE WONDERLAND, tytuł brzmi: ALICE IN WONDERLAND, o czym w gruncie rzeczy wie; nie obrusza się, gdy Lynn, która zresztą nigdy książki nie czytała, poprawia go, i jego ożywienie wcale na tym nie cierpi. Nie przyjmuje tego jako krytyki. Jego wczorajsza pomyłka, gdy przepowiedział na plaży pogodną niedzielę, nie jest żadną porażką; żałują tylko oboje, że dzisiaj pada. Gdy Lynn myli się co do liczby mieszkańców Berlina, i on mówi: YOU ARE WRONG, mówi to swobodnie; nie jest to rewanz, toteż nie musi swojego sprostowania łagodzić, mówić: I THINK YOU ARE WRONG. Czasem oboje czegoś nie wiedzą, na przykład kiedy na tej wyspie mieszkali ostatni Indianie. Nieraz także Lynn mówi: ARE YOU SURE?, a on nie musi się przy tym opanowywać; normalne pytanie. Kiedy potem ona ma rację, jest zadowolony; oszczędzają sobie czasu albo kosztów, jakiegoś objazdu, fałszywej nadziei. Jeśli jednak jest czegoś pewien, na przykład kiedy otwarte jest muzeum Whitneya, jej pytanie go nie drażni; mogliby pójść do muzeum Whitneya i stać przed obrazami nie działając sobie na nerwy, bez niesmaku, jaki pozostawia własna nieustępliwość. Nie odczuwa żadnego napięcia, kiedy popełnia następny błąd; nie czuje się jak na egzaminie. Raz w Central Parku Lynn pośliznęła się na czarnej

skale; gdy się usprawiedliwiał, powiedziała: ARE YOU CRAZY? — jeszcze jej nie rozpieścił tym braniem winy na siebie... Lynn przy kierownicy (przed pół godziną) nie podjęła jego pytania: Po czym w nieznannej okolicy można poznać, że dzisiaj jest niedziela? Teraz dopiero Lynn chce się dowiedzieć, czy on na to wpadł. Tymczasem i on myślał o czym innym:

Słyszeliśmy, jak czyta Neruda.

Teraz jest już za późno na moją wizytę w Chile.

Jutro (poniedziałek) trzeba jeszcze załatwić parę rzeczy, przesłać pocztą książki, żeby uniknąć nadwagi, i zadzwonić do paru osób, przyjaciół z poprzedniego pobytu, których zaniedbałem, wszyscy pytają o Mariannę i kiedy znowu przyjedziemy.

DID YOU HAVE A GOOD TIME?

Oboje pracowali, to mogę powiedzieć, zrobili sobie także wakacje; raz w Londynie i raz w Bretanii. Ogólnie biorąc zdrowie dopisywało. Londyn to by było miasto. Ale teraz mamy mieszkanie w Berlinie; Przez cały dzień hałas: samoloty; można się przy-

zwyczaj i ucho odróżnia, czy ten hałas  
sprawia maszyna lądująca czy startująca;  
gdy lądujące maszyny pojawiają się nad  
aleją, mają już podwozie opuszczone; ma-  
szyny startujące, widoczne z tego samego  
okna nad tą samą aleją, lecą wyżej, ciągnąc  
za sobą przeważnie cztery ogony dymu z sil-  
ników odrzutowych, ich dźwięk jest bar-  
dziej przenikliwy, nie świszczą jak lądują-  
ce maszyny, tylko grzmią w powietrzu mię-  
dzy domami. Zaczyna się to o siódmej ra-  
no; akurat żeby wstać i pójść do kuchni,  
potem sięść przy biurku. Im jestem starszy,  
tym trudniej mi ze sobą wytrzymać, jeśli  
nie pracuję. Piszę: wspomnienia z wojska,  
mowę o ojczyźnie, list otwarty do Rady  
Związkowej w sprawie uchodźców z Chile.  
Gdy świeci słońce, trzeba ustawić białe lis-  
tewki pod właściwym kątem, wtedy nie ośle-  
pia; łagodna jasność. Nasza druga zima w  
tym Berlinie, druga wiosna. Uroczystość z  
okazji twoich urodzin udała się; na moim  
biurku zimny bufet; tylu mądrych przyja-  
ciół i tańce. Dzień powszedni wśród ksią-  
żek, czasami wśród kwiatów. Mieszkanie nie  
jest zatłoczone; żadnych dywanów, słyszę  
kroki na parkiecie (nie tylko w pantoflach)  
w tak zwanym berlińskim pokoju i już  
wiem: przychodzisz, żeby powiedzieć dzień  
dobry, bosó —

Jakie błędy popełniamy oboje?



Na statku do Europy (w tym roku linia będzie skasowana) wiele godzin dziennie gram w szachy. Ty wolisz przebywać sama na pokładzie, otulona w koce przez stewarda, i sama ze swoimi myślami, albo jeśli na pokładzie za bardzo wieje, wolisz raczej się dzieć sama w barze. Ja gram w szachy sam ze sobą; najczęściej przegrywam, to znaczy gdy nagle dochodzi do mata, bez dyskusji identyfikuję się z przegrywającym kolorem. Gdy przesiadam się na drugą stronę małego zielonego stolika, zanim na szachownicy nastąpi decydujące posunięcie, znowu ja jestem tym, który przegrywa. Co wychodzi przecież na jedno! Nie mogłem tylko zrozumieć, skąd się to bierze.

BUT WHERE ARE YOU TODAY? PROBABLY OUT WITH YOUR HUSBAND FOR A WALK. ...DO YOU THINK HE HAS NOTICED? WHAT FOOLISHNESS! IT IS AS OBVIOUS AS A BUMPER STICKER, AS OBVIOUS AS AN ABDICATION. ...I HAVE SPENT MANY MESSAGE UNITS SEEKING YOUR VOICE, BUT I ALWAYS GET FREDERICK INSTEAD. WELL, FREDERICK, I ASK CORDIALLY, WHAT AMAZING TRIUMPHS HAVE YOU ACCOMPLISHED TODAY?

Jak szybko pojawia się przeszłość: — postać młodej cudzoziemki na ścieżce wśród zarośli, OVERLOOK, to było wczoraj.

EXIT 35

Widzi zielone tabliczki.

NO LEFT TURN

Lynn czyta.

EXIT 29

Czyżby się zdrzemnął tymczasem?

MAX, YOU ARE A FORTUNATE MAN

mówi Lynn, gdy on, nie chcąc całymi milami milczeć, jeszcze raz opowiedział historię o tym, jak w 1963 otrzymałem gościnny apartament Marleny Dietrich, prawdziwą historyjką, z której łatwo się pośmiać... Nie jest przyzwyczajony do tej automatycznej skrzyni biegów. To jest dziecinnie łatwe; jedzie już dwie godziny albo dłużej, widać teraz szare zarysy Manhattanu i znowu ten nie kończący się cmentarz pod Queens, gdy jego lewa noga zapomina: Nie ma sprzęgła, to jest hamulec, i szczęście, że Lynn zapięła pas; drugie szczęście, że kierowca najbliższego wozu zdołał jeszcze w ostatniej chwili skrócić przed nagle zatrzymanym fordem... Stałoby się: dwie śmiertelne ofiary wypadku, młoda Amerykanka (dokładne personalia) i starszy Szwajcar (dokładne personalia), można by opowiedzieć o ich weekendzie na wybrzeżu, naszym weekendzie.

Teraz prowadzi znowu Lynn.

Siedzi milczący, trochę wystraszony: JEŚLI NIE MOŻESZ JUŻ ZNIEŚĆ DZIECI NASZYCH NAJLEPSZYCH PRZYJACIÓŁ I ICH MAŁEGO PIESKA, TO POWINNIŚMY SIĘ OD RAZU PRZENIEŚĆ DO DOMU STARCÓW! i parę sekund później ma, czego chciała: przejeżdżam Bundesallee (Berlin) przy czerwonym świetle.

Ciągle jeszcze jest niedziela.

Narieczona-Żydówka z Berlina (w okresie hitlerowskim) ma na imię nie HANNA, ale Kate, i obie zupełnie nie są do siebie podobne — dziewczyna w moim życiu i postać z powieści, którą napisał. Łączy je tylko ta sama historyczna sytuacja i w tej sytuacji młody człowiek, który potem nie umie sobie wyjaśnić swojego postępowania; reszta jest sztuką, sztuką dyskrecji wobec samego siebie... Jak to było naprawdę? — ciekawe, w jakich okolicznościach przychodzi mi to do głowy: na dworcu Friedrichstrasse, gdy przedstawiam swój paszport funkcjonariuszom NRD i widzę, jak mnie mierzą wzrokiem, ich miny przy tym. Nie myślę ich z nazistowskim funkcjonariuszem, który mierzy mnie wzrokiem na Dworcu Badeńskim w Bazylei w 1937: DZIENNI-KARZ? i gdy potwierdziłem, nie bez mło-

dziechcej zawodowej dumy: A TA ŻYDÓWKA DOSTARCZA PANU INFORMACJI O NASZYCH RZEKOMYCH OKRUCIENSTWACH! Zaklinam ją na peronie: Nie wracaj do Niemiec! Nie pomagaj jej rodzice zostali w Berlinie. Zatrzymuję ją jeszcze na stopniu: Zostań! Młodzieńcza miłość pod przemożnym naciskiem sumienia. Jest moją pierwszą partnerką; nie mieszkamy razem, ale codziennie się spotykamy. Jest studentką. Nasza miłość jest debiutancko-naiwno-romantyczna, podczas gdy w Norymberdze wychodzą ustawy rasowe. Przez pięć lat ani razu nie pojawia się nawet skryta pokusa niewierności. Ona pragnie dziecka i to mnie odstrasza; nie dojrzałem do tego, zawiodłem jako pisarz i podejmuję naukę innego zawodu, by nie zostać darmozjadem. Wizyta u rodziców w berlińskiej dzielnicy Lankwitz; papa, drobny, siwy pan, oprowadza mnie po urządzonym przez siebie muzeum, gdzie stary woźny pozdrawia go uprzejmie: HEIL HITLER, PANIE RADCO. Po drodze widzę gabloty „Sturmera”, rysunki przedstawiające żydowski mord rytualny na aryjskich dzieciach. Idę do teatru: bez narzeczonej, bo ona jest tam „niepożądana”. Innym razem obserwuję zbiorzkę brunatnych koszul i słyszę chór: ZDECHNIJ ŻYDZIE! mówią to serio; stoję na Unter den Linden, zuchwały ze strachu, i nie podnoszę mego cudzoziemskiego ramienia. POCZEKAJ! woła

jeden z SA i kilku innych z kolumny ogląda się. W Norymberdze, skąd pochodzi jej matka, chce mi pokazać Bratwurstglockl; nie dostrzega tabliczki: ŻYDZI NTEPOŻADAr NI. Nic się nie dzieje, bo nie ma „wyglądu”; tylko ja siedząc za tymi szklanymi gomólkami nie mogę nic przełknąć. Później w pociągu (pamiętam: stoimy, żeby być sami, na platformie ostatniego wagonu, ze wzrokiem utkwionym w zbiegające się perspektywicznie szyny) mówi: NIE POWINIENES ŻLE MYŚLEĆ O NIEMCZECH. Potem gotów jestem ożenić się z nią, /żeby mogła pozostać w Szwajcarii, i idziemy w Zurychu do magistratu, do urzędu stanu cywilnego, ale ona to spostrzega: to nie jest miłość człowieka, który chciałby mieć dzieci, i to ją zniechęca, nie, nie to. W jakiś czas potem znajduję w jej teczce mały rewolwer, nie rewolwer, niklowany pistolecik, ale nabity; kradnę go jej. Czy dlatego nie chcę dziecka, że jest Żydówką? Gdy już sam nie wiem, czego naprawdę chcę, idę do lasu, żeby pomyśleć, i sam już nie wierzę w to, co myślę; rzucam na ziemię monetę: orzeł czy reszka? Nie pamiętam już, jak wypadł rzut, odpowiedź wyroczni. Ona oświadcza: JESTES GOTÓW SIĘ ZE MNĄ OŻENIĆ NIE Z MIŁOŚCI, TYLKO DLATEGO, ŻE JESTEM ŻYDÓWKĄ. Ja mówię: Pobieramy się, tak, pobierzmy się. Ona: Nie. Jej wuj z Kairu, który wykopał Nefrétete, może jej finanso-



wo pomóc, by studiowała w Bazylei, ja pozostaję w Zurychu. Jej rodzice, bardzo niemieccy Żydzi, którzy uważali, że słowa Hitlera ich nie dotyczą, wydostali się jeszcze w 1938 i dożyli przeszło dziewięćdziesięciu lat.

## SUPERMARKET

Lynn ma jeszcze zrobić parę zakupów na poniedziałek wieczór. Patrzy na ceny, ogląda i odkłada z powrotem. On nie może jej w tym pomóc i wałęsa się między stoiskami, obserwuje ludzi; SILENT MAJORITY, nie biedna, ale szara. SZKODA LUDZI, mówi córka Indry, niemniej stoiska są pełne; jarzyny, owoce, gdzie indziej puszki w rzędach jak amunicja; nie brak niczego. Odczytuje ceny, by porównać je z cenami u siebie; cen u siebie już nie pamięta. Wstydzi się tego. MAY I HELP YOU? Pytanie czarnej sprzedawczynie. Potem Lynn pyta, czy woli czarne oliwki, czy zielone. Jest trochę roztargniona, nie spieszy się. Jest niedzielne popołudnie. Gdy on kupuje, bierze towar z półek i wkłada do małego drucianego wózka, robi to szybko, według swojego widzi mi się; Lynn musi liczyć i on jest zadowolony, że czas mija. Ona jest zadowolona, że ktoś czeka, by po Zapłaceniu odebrać pełne torby i zanieść do auta. Ale daleko jeszcze do tego. Szuka jeszcze jakiejś przy-

prawy. On ma czas. Dla niej nie jest to samo przez się zrozumiałe, że ktoś tam czeka. On stoi i czyta gazetę. Gdy podnosi wzrok, nie może jej dojrzeć, zniknęła w tłumie. Jak ona wygląda? Potem poznaje ją z tyłu po jasnych, rudych włosach; przez chwilę patrzy z napięciem, jak na kogoś obcego widzianego z tyłu na ulicy czy w muzeum: człowiek ten może mieć różne twarze. Ta twarz nie będzie pusta; to wie na pewno. Lynn, stojąc z drucianym koszykiem w ogonku do kasy, rzuca mu spojrzenie, uśmiecha się; podaje dwa banknoty, prawdopodobnie dziesięciodolarowe, a następnie bardzo dokładnie przelicza otrzymane mniejsze banknoty i monety. Jej zakupy są skromne, mieszczą się w jednej torbie, którą on bierze w lewą rękę.

## MONEY

Zielony automat do gazu w przedpokoju, matka musi zawsze wrzucić dwudziestkę, żeby zapalić kuchenkę, a potem gaz nagle znowu przestaje dopływać i trzeba mieć wiele dwudziestek, jeśli coś musi się długo gotować; nic to nie da, że ojciec wracając późno w nocy do domu znajdzie może jeszcze w kieszeni jakąś dwudziestkę. Miejska gazownia nie udziela nam żadnego kredytu. Od kiedy wiem, co to jest pieniądz? Zielony automat do gazu nauczył mnie jednego: Jeśli nie

możemy sobie na coś pozwolić, to nam się to nie należy. Jeśli siedzę z dziewczyną w wynajętej łodzi żaglowej i nie ma wiatru, tak że przekroczę przewidzianą godzinę, a wiem, że nie będę mógł za ten postój zapłacić, to nie oznacza to biedy, tylko przykrość. Rower, czerwony wyścigowy rower, wystawiony u handlarza — marzę o tym latami. Wiem: Nie należy mi się. Tego ojciec nie może mi kupić. Często martwi go już, że muszę kupić sobie podręczniki, przybory kreślarskie. Pamiętam, jak matka zawsze drżała przed egzaminem. Ale kiedy ojcu udało się interes, pośrednictwo w sprzedaży jakiejś nieruchomości, wtedy nie tylko chciał spłacić długi, lubił też gesty: złota broszka dla matki! Nie potrafił oszczędzać, więc musieliśmy się tego uczyć. Pamiętam to sensacyjne odkrycie, że kawę można robić z żołądki. Mój brat otrzymuje skrzypce, uważam to za normalne: jest muzykalny i starszy. Ambicją ojca i matki jest, żebyśmy zdobyli wyższe wykształcenie, w kierunku, jaki sami wybierzemy. I tak, ja mam studiować germanistykę; życzliwy profesor wyrabia mi stypendium, abym mógł kontynuować studia po śmierci ojca: 800 franków rocznie. Pisuję o hokeju na lodzie, o uroczystych pochodach, o kabaretach, o młodych łabędziach na Limmacie itp., honorarium od wiersza. Po pierwszym dużym honorarium w wysokości 20 franków piszę do

gazety list dziękczynny. Gdy mogę punktualnie zapłacić miesięczny czynsz za mieszkanie, wydaje mi się, że jestem niezależny. Nie przychodzi mi do głowy, by długo oglądać na wystawie coś, na co nie mogę sobie pozwolić, na przykład dobry aparat fotograficzny; w żadnym wypadku nie odważyłbym się wejść kiedyś do sklepu i wziąć taki aparat do ręki. Docieram do Istambułu i do Grecji, gdzie nocuję pod gołym niebem. W Istambule jest Klub Szwajcarski; gdy panowie tam pytają mnie, czy jadłem obiad, kłamię i mówię, że tak, wdzięczny za czarną kawę z dużą ilością cukru. Pieniądze jako środek wymienny; albo się je ma, albo się ich nie ma, poza tym nie warto o tym mówić. Ważne jest co innego: żadnych długów. Ojciec umarł w długach. Grozi komornik. Starszy brat, chemik, świeżo po ślubie, bierze długi na siebie, spłacając je powoli w drobnych ratach, by zaoszczędzić matce tego wstydu. Ja nigdy nie robiłem długów, poza jednym jedynym wypadkiem: moja pierwsza maszyna do pisania, REMINGTON PORTABLE, okazja, kosztuje 150 franków, ja natomiast mogę dać tylko 50 franków zaliczki. Wiem, że reszty nigdy nie zapłaciłem... Pamiętam, kiedy po raz pierwszy pieniądze odegrały wielką rolę. Mam przyjaciółkę, ze Szwajcarii romańskiej, nieco starszą od siebie; zarabia na utrzymanie korepetycjami. Ja jestem jeszcze studentem

i mieszkam z matką. Nie krępuje mnie, że kochanka mnie zaprasza. Od czasu do czasu przynoszę butelkę wina, mięso jednak kupuje ona. Ktoś stwierdził, że przydałby się jej odpoczynek, i chce jej w tym celu ofiarować pięćset franków. Nie mam nic przeciw temu, to musi być porządny człowiek. Gdy jako żołnierz przyjeżdżam kiedyś na urlop, ona nie chce mnie przyjąć. Mówi, że otworzyły się jej oczy, jaki to ze mnie mężczyzna. Nic nie rozumiem. Wkrótce potem wychodzi za mąż za jakiegoś przemysłowca. I przeciwnie, nigdy w życiu nie przyszło mi na myśl podejrzewać, że zdobyłem jakąś kobietę dzięki pieniądзом; jako mężczyzna jestem na to zbyt zarozumiały. Moja pierwsza pensja jako architekta: 350 franków miesięcznie, potem 500 franków; w tym czasie może się za to skromnie utrzymać rodzina z dzieckiem.

Sierpień 1943

Konkurs, I nagroda  
pensja u prof. Dunkela  
dla mamy  
bankiet z kolegami  
z Trudą  
koszule  
dom  
Dochody

Wydatki

3 000.—
490.—
500.—
60.—
15.—
34.—
350.—



Wrzesień 1943	Dochodf	Wydatki
rower dla mnie		352.—
przybory rysunkowe		40.—
kozły do stołu kreślarskiego		33.—
introligator		7,50
kieszonkowe w wojsku		50.—
dom		350.—
wyrównanie z kasy		190,96
honorarium z wydawnictwa		32.—
Schweizer Rundschau	, 20.—	
stempel biurowy		42.—■
koncert z Trudą		14.—

Myśl, że zarobki powinny być dostosowane do potrzeb, jest mi obca. Trzeba właśnie żyć stosownie do swoich dochodów. Widzą po prostu po restauracji, że jest to restauracja dla innych; nie muszę nawet czytać menu na drzwiach, by wiedzieć: To nie dla mnie, choćbym nawet miał akurat pieniądze w kieszeni. O skutkach braku pieniędzy nie mogę zapomnieć, ponieważ noszę je w ustach, moje zęby. W czasie pierwszych studiów, gdy zarabiam na utrzymanie wierszówkami, brak mi pieniędzy na porządnego dentystę; studenci stomatologii wprawiają się na moich zębach i uczą się leczyć korzenie, za darmo. Skutki odczuwam później, kiedy i pieniądze nic już nie mogą pomóc. Przez długi czas, do trzydziestego roku życia, nie znałem ni-

kogo bogatego, z wyjątkiem W., mojego szkolnego przyjaciela i protektora; bogactwo oglądałem tylko z zewnątrz, nie zastanawiając się, skąd się bierze, i bez zawiści. Willa w parku nic by mi nie mówiła, do tego trzeba się urodzić. Raz tylko zdarzyło się, że byłem głodny, bo nie miałem pieniędzy, i to tylko przez trzy dni, w 1933 w Pradze; miałem jeszcze jedną koronę czeską i patrzyłem na wystawy piekarń, by za każdym razem stwierdzać, że przecież nie czuję głodu; nie wiedziałem tylko, co robić z czasem, przestały mnie interesować muzea, całe miasto. W 1942, żenię się, z miłości, z koleżanką z architektury, panną z zamożnego, mieszczańskiego domu, Gertrudą Konstancją von Meyenburg. Podejrzenia przyjaciół, że żenię się dla pieniędzy, nic mnie nie obchodzą; jej rodzinny dom, duży' majątek ziemski, łączy pańskie maniere Ze zmysłem oszczędności. Panna młoda otrzymuje wymagany zwyczajem posąg, meble i bieliznę na całe życie, i srebra; pan młody ma dostarczyć wyposażenie kuchni. Ponadto rodzina czuje się w obowiązku urządzić godne sobie wesele (po raz pierwszy i ostatni wkładam wtedy frak) i wypłaca córce na poczet spadku, o ile wiem, 120 000 franków. Gzy mógłbym z tego coś podjąć, nie wiem; w każdym razie nigdy tego nie zrobiłem. Do takich sum nie mam prawa. Moje do-

chody są w tym czasie przyzwoite; wystarczają na czynsz i utrzymanie domu. Co prawda bonę do dziecka żona płaci ze swoich pieniędzy, a ja uważam, że po to ma swoje konto; niemowlę jest uciążliwe. Żeby nie zapomnieć: gdy zakładam własne biuro architektoniczne, otrzymuję w starym domu, należącym do jej ciotki, dwie izby, za które nie płacę czynszu. Także teś gotów jest pomagać; rozumie, że chętnie zobaczyłbym w druku moją pierwszą sztukę wystawioną w Zurychu, i gdy mój ówczesny wydawca, Martin Hiirlimann, wzbrania się drukować ją bez dopłaty, teś skłonny jest ofiarować mi tysiąc franków. Tylko duma nie pozwala mi ich przyjąć. Uważam wówczas, że moja sztuka (TERAZ ZNOWU ŚPIEWAJĄ) jest tak wybitna, że zasługuje na druk bez żadnej dopłaty. Później któregoś roku, gdy jedziemy raz w niedzielę do majątku rodziców, by wykąpać się z dziećmi w jeziorze, teściów nie ma w domu; każemy kucharce przygotować dla nas zimne zakąski i przyjemnie spędzamy ten dzień; otrzymuję potem list od jej ojca, list surowy i poważny: żeby się to więcej nie powtórzyło, jego dom to nie hotel. Nigdy się też to więcej nie powtarza. To nie skąpstwo, tylko styl. Przypominam sobie wypadek skąpstwa: bardzo bogaty handlarz dzieł sztuki (Europejczyk) w Berkeley, który gości mnie przez kilka

dni, pokazuje nowicjuszowi, jak w Ameryce wrzuca się w autobusie monetę do aparatu i jaką monetę; gdy zobaczyłem i zapamiętałem to na przyszłość, i dziękuję mu, on prosi, bym mu wrzuconą monetę zwrócił, ONE DIME. Niewiele wniosłem do pierwszego małżeństwa, tapczan, narzutę na ten tapczan, maszynę do pisania, książki, biurko z okazji wyprzedaży, mały dywanik, dwa stoły kreślarskie na koźlach, lampę itp., a ponadto pozostaje stroną dłużną, gdy po trzynastu latach dochodzi do rozwodu, do podziału majątku. Pełne wydanie Goethego w miękkiej skórze jest jej własnością, wiem o tym; prezent od ojca. Jeden tom w tym wydaniu, DICHTUNG UND WAHRHEIT, jest dubletem, pytam więc, czy mógłbym sobie wziąć ten pojedynczy tom; ma rację: także ten pojedynczy tom jest jej własnością. Rozumiem wtedy teścia, który na mój list z wyrazami ubolewania i wiadomością, że małżeństwo, jakie zawarłem z jego córką, po dwunastu latach rozpadło się, zapytał tylko, czy ja finansowo mogę sobie pozwolić na rozwód. Gdy robię kurs samochodowy i kupuję sobie pierwsze auto, volkswagena, mam 48 lat. Przez kilka lat nie mam żadnego rozczennania : w Rzymie w ogóle nie oszczędzam, raczej już w Zurychu; za granicą mam raczej uczucie, że należy mi się to, za co mogę zapłacić. Na przykład mieszka-

nie w Parioli, czynsz miesięczny 2 000 franków. W moim sposobie ubierania się nic się nie zmienia. Nie muszę liczyć, to jest nowością. Co muszę? Wydaje się, że pieniądze nie odgrywają już teraz żadnej roli, w ogóle żadnej. Na szczęście są koledzy, którzy prawdopodobnie zarabiają jeszcze więcej ode mnie, wśród nich — dobry pisarze. Coś, na co sobie teraz pozwalam bez wahania: bardzo piękna fajka, nawet dwie, jak również codzienne wygody i wszystko, co oszczędza czas, samolot zamiast długich podróży koleją, taksówka na lotnisko. W Rzymie mamy Pinę, która całe życie służyła w arystokratycznych domach. Nie zdobywam się na to, żeby nacisnąć dzwonek, kiedy potrzebujemy lodu ze stojącego obok kubelka; wolę wstać i obsłużyć gości i siebie. Nie będę arystokratą. W dodatku jeszcze kiedyś odwiedza nas Heinrich Boli, poci się i kiedy Pina podaje, ściąga marynarkę. W oczach Piny jesteśmy skończeni. Będąc przejazdem w Zurychu widzę fasadę Banku Narodowego; nagle przypominam sobie tę fasadę, wchodzę do hali, która wydaje mi się znajoma, i pytam w okienku, czy nie mam u nich konta; pokazuję swój paszport. Tak jest: 20 000 franków, zaoszczędzone swego czasu ze strachu, że któregoś dnia mogłoby mi zabraknąć na miesięczne alimenty; tymczasem zrobiło się z tego 23 000 franków. Dziękuję. Gdy w



kwadrans potem widzą Miejską Kasą Oszczędności w Zurychu, wchodzę tam i też pytam; pokazują mi książeczkę: 174,30 franka, ostatnia wypłata w 1938 roku. Naprzeciwko znajduje się Bank Kantonalny, więc pytam i tam, wsuwając paszport przez okienko; trwa to długo, aż wreszcie urzędnik wraca i mówi: Nie, niestety nie. Przepraszam. Dlaczego jestem bogaty? Moje wydatki się zwiłokrotniły i gdy widzę sumy, wydają mi się horrendalne; by nie wpaść w popłoch, muszę od czasu do czasu sprawdzić, czy się nie mylę co do swoich dochodów, i rzeczywiście: są większe, niż myślałem. Majątek rośnie; w tej sumie jest coś dowolnego; nie ma to już nic wspólnego z wynagrodzeniem czy pensją, przypomina raczej loterię. Gdy ktoś jest w kłopotach i pożycza ode mnie setkę czy tysiąc, zapominam o tym. Niepostrzeżenie rodzi się we mnie nie tylko niewłaściwy stosunek do ludzi, którzy dobrze muszą zachować, ale także dziwny stosunek do własnej przeszłości: to śmieszne, oczywiście, że gdy w 1955 mieszkalem na wsi, mogłem sobie kupić motorower. Nie bez pewnej determinacji zaczynam sobie dogadzać. Jeżeli już gramofon, to-dlaczego nie najlepszy, jaki w danej chwili jest na rynku, i dlaczego nie od razu pierwszorzędne kolumny? Zarazem muszę coś w sobie przemóc, to wcześniej utrwalone przekonanie: Coś

taniego odda mi tę same usługi! W towarzystwie przyjaciół skłonny jestem do rozrzutności; nie jestem bogaczem, tylko nuworyszem. U przyjaciół nie dostrzegam oznak zawiści, a jednak coś się zmieniło. Rządziej mówią teraz o swoich kłopotach pieniężnych. Wiedzą, że już paru ludziom pomogłem. Zmieniły się przede wszystkim moje stosunki z bogaczami, ich zachowanie wobec mnie. Nagle bez skrepowania rozmawiają nie tylko o literaturze i sztuce, ale i o cenach ziemi i gdzie na świecie można coś szczególnie korzystnie nabyć, biżuterię, antyki itp. Już dawniej widziałem oczywiście, jakie mają rzeczy, ale tematem rozmów był Poliakoff, Cuno Amiet czy Hodler, a jeszcze nie Giacometti. Było to sprawą taktu, że nie mówili o wartości rzeczy, na które ich gość nie mógł sobie jeszcze pozwolić, i choć słyszałem o polowaniu na lwy w Afryce albo o jachcie, zakotwiczonym chwilowo w Palermo, nigdy nie wymieniano cen. Myślałem, że dla ludzi bogatych pieniądze nie odgrywają po prostu żadnej roli. Teraz rozumiem: być bogatym to dla nich rodzaj zawodu, powołania, i to niełatwego, które nie zwalnia od trosk. Życzliwie witają moje sukcesy, czuję to, tak jak sukcesy Friedricha Diirrenmatta, który ma podobno wspaniały dom w Neuenburgu. Słyszę, że ich córki czytują mnie z niekłamanym zachwytem. Na-

turalnie w ich oczach nie jestem bogaty, niemniej jeżdżę JAGUAREM 420, i to nas zbliża, jak sądzą; nie wątpią, że wraz z majątkiem przychodzi również zmiana poglądów politycznych. Milioner miałby być socjalistą czy wręcz wrogiem kapitalizmu? Ponieważ socjalizm pojmują jako ideologię zawiści, budzę ich nieufność; dlaczego miałbym im zazdrościć? Bywając u tych ludzi jako ubogi pisarz mniej ich irytowałem. Jednego w moim wypadku nigdy nie mogłem zrozumieć: pieniądze jako władza. Pozostałem przy swoim: pieniądze jako środek wymiany. Coś przy tym jest nie w porządku i naturalnie wiem, co. Młody przyjaciel, którego uwielbiam, nie prosi mnie o pożyczkę, wiem tylko, że potrzebuje większej pożyczki, i mogę mu jej udzielić: bez procentu, bo nie wypada przecież, by on, przyjaciel, musiał pracować na mnie, bogatego. Ale to właśnie robi urzędnik czy robotnik, którego nie znam; inaczej w ogóle nie byłoby procentów. I to właśnie jest nie w porządku. Malarzowi, który chętnie-pija pewien gatunek wina i bez większego powodzenia próbuje sprzedawać swoje obrazy, posyłam na jego sześćdziesiąte urodziny sześćdziesiąt butelek ulubionego wina. Wszystkie te butelki potłukł albo rozdał, mówi później. Byłem wtedy za granicą, dlatego nie byłem na jego wernisżu, ale nie napisałem nawet listu. Sześć-

dziesiąt butelek, : to milioner przechodząc daje jak miedziaka! Rozumiem jego gniew. Gdybym nie miał pieniędzy, też bym pewnie nie napisał; ale on nie poczułby się urażony. Czyżbym popełniał teraz podobne błędy jak W.?... Myślę o Ingeborg i jej stosunku do pieniędzy; pełno banknotów w ręce, HONORARIUM, cieszy ją jak dziecko, potem pyta mnie, na co miałbym ochotę. Pieniądze są po to, żeby z nich korzystać. Jak ona je wydaje: nie jak zapłatę za swoją pracę, ale jakby czerpała ze szkatuły księżniczki, nieraz zresztą zubożając. Jest przyzwyczajona do wyrzeczeń; pieniądze to sprawa szczęścia. Jej pieniądze, moje pieniądze, nasze pieniądze? Ma się je albo się ich właśnie nie ma, i kiedy nie starcza, jest zdziwiona, jakby na tym świecie było coś nie w porządku. Ale się nie skarży. Nie zwraca uwagi na to, że radio, które zabiega o jej współpracę, o wiele za mało jej płaci, i z roztargnioną miną podpisuje umowę, niezbyt chlubną dla wydawcy. Nie liczy się z tym, że inni liczą. Pantofle kupuje; jakby była stonogą. Nie wiem, jak ona to robi. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek żałowała jakiegoś wydatku, wysokiego czynszu, torebki z Paryża, zniszczonej na plaży. Pieniądze rozejdą się tak czy owak. Jeśli ktoś, kogo kocha, sam sobie skąpi, obraża tym samym jej uczucie. Właściwie należałby się nam obojgu

jakiś mniejszy czy większy pałac, ale nie oburza jej, że inni go mają. Obdarowywać ją to czysta radość; promienieje. Nie wymaga luksusu; kiedy go ma, dorasta do niego. Pochodzi z drobnomieszczaństwa, jak i ja,- tyle że nie pozostawiło to na niej śladu. Bez żadnej ideologii; jako wynik jej temperamentu. Kiedy liczy, liczy się z cudami. Jak u niektórych kobiet: banknoty w jej torebce są zwykle zmiętoszone, chcą, żeby je zgubić albo zamienić w coś piękniejszego. Na moje pięćdziesiąte urodziny zaprasza mnie do Grecji.

#### WHITE HORSE:

brązowy, mroczny bar, w którym Dylan Thomas zapił się na śmierć, z wielkimi lustrami, które pokazują: na dworze dzień, bez słońca, szara, ponura niedziela. Bez loskotu ciężarówek; na tym polega niedziela. Miałby czas pójść jeszcze raz nad Hudson i rezygnuje. Zamiast tego kartkuje swój kalendarzyk na 1974: maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień, tyle pustych dni, powszednie dni białe: wtorek, środa, czwartek, piątek. Potem płaci za piwo, którego nie wypił -

JAKIEGO WIEKU CHCIAŁBY PAN DOŻYĆ?



CZY JEST PAN ZAKOCHANY?

I Z CZEGO PAN TO WNIOSKUJE?

Raz przygląda się: straż pożarna w akcji, wiele czerwonych, lśniących czystością wozów, syreny, niebieskie migające lampy; strażak wybija trzy okna, wydobywa się; dym. Potem idzie dalej. Ciagle jeszcze jest niedziela; trochę pada. Idzie w rozpiętym płaszczu, ręce w kieszeniach spodni. Na każdym skrzyżowaniu ta sama zabawa: WALK/DONT WALK. Zapomina, że chciał kupić tytoń. Nie zastanawiając się, gdzie się w tej chwili znajduje, obojętnie odczytuje tabliczki z nazwami ulic: CANAL STREET. Aż tu zaszedł. Gdzieniedzie u wylotu tunelu uchodzi para, znany widok; te białawe kłęby pary. Jest trzecia po południu i niedziela. Tu można przecinać puste ulice, gdzie się chce; ich dziurawy asfalt., W pewnej chwili słychać przelatujący helikopter, nie widać go, tylko ostry, chłoszczący dźwięk w powietrzu; widzi szare chmury przesuwające się nad dachami. Potem znowu jest cicho na całej długiej ulicy bez jednego człowieka; tylko pojemniki na śmieci, tabuny pojemników na śmieci. Czuje krople deszczu na karku. Nie przystając, jakby szedł z jakimś celem, przygląda się: żółte rury pośrodku alei, plac budowy z barierami i chorągiewkami,

dymi jak z kominów parowca tonącego w asfalcie. Odczuwa jakąś przyjemność, nie wiedząc, co mu tę przyjemność sprawia. Czuje jeszcze piasek w butach. Nagle spod kraty dochodzi dudnienie, zwykle z tych krat wydobywa się tylko mdły zapach. SUBWAY, nie korzysta z niej; nie ma przed sobą żadnego celu. Właściwie uznał, że powinien z godzinę wypocząć w hotelu; idzie z rękami w kieszeniach spodni. Tymczasem przestało padać. Raz staje: paru chłopców na wrotkach, grają w hokej na asfalcie; prawdziwy krążek, który jednak na asfalcie nie ślizga się, tylko toczy; przez chwilę sam miałby ochotę wziąć kij do ręki. Potem idzie dalej. Widzi: znowu pojemniki na śmieci z falistej blachy, do tego całe stosy czarnych plastikowych worków oczekujących poniedziałku, ich lśniąca czerń.

#### COUNT DOWN:

za 48 godzin odlatuję... Lynn nie spodziewa się, by zmienił rezerwację, a on nie spodziewa się, by ona mu to zaproponowała. Zrozumieli się. Wieczorem Lynn przychodzi do hotelu. Jego bilet leży pod żółtą lampą.

#### TELL ME!

mówi jej nieraz, jakby człowiek mógł siebie opowiedzieć, i słucha, naprawdę słucha;

Lynn nie bardzo wierzy, że to jest dla niego ważne, nie jest mu obojętne, kim była Lynn.

(W parę miesięcy później, w styczniu 1975, nie dotrzymuję umowy. Nie mam odwagi do niej zadzwonić: niczym głos z przeszłości. Potem jednak stoję przed biurkiem, gdzie zgłaszają się interesanci, i udaję, że przychodzę w sprawie służbowej. LYNN IS NO LONGER WITH US. Milczę. Nie żyje? Tak to brzmi. Czarna dziewczyna za biurkiem, widząc moje zaskoczenie, nie prowadzi mnie do jej następczyni w biurze, tylko mówi: I LIKED HER VERY MUCH INDEED. Gdzie wtedy była, o tym donosi późniejszy list, który dostaję już w Europie, długi list, nagryzmołony na pokładzie statku: pisze, że jest bez pracy, że w ogóle chciałaby zmienić zawód, mieć dziecko, że dużo gra w ping-ponga i właśnie czyta moją książkę, którą jej wtedy dałem; wyrażnie podróżuje sama; zastanawia się nad swoją przyszłością.)

Guzik, który Lynn przyszywa do jego brudnej marynarki, jest nieodpowiedni, guzik od jego, nieprzemakalnego płaszcza. Za ciemny i trochę za duży; będzie widać. Angielska marynarka, jedenaście lat temu ku-

piona w Zurychu na Bahnhofstrasse; nie zapomniał: to ona ją znalazła, chyba pierwszy raz wtedy za jej radą kupił coś z garderoby. Znowu trzeba by zmienić podszewkę. Takiej marynarki (manchester) nigdzie już nie można było znaleźć, nawet w Londynie. Marynarka nie do zdarcia, sto razy czyszczona, wyświechtana, i właśnie dlatego człowiek tak dobrze się w niej czuje. Przy prawym rękawie zresztą już jest guzik rzucający się w oczy, i tak ma być: mały, o wiele za mały, prawie czerwony guzik. Kto ten guzik przyszył? Lynn zgadła: YOUR WIFE? I bez tego guzika nie zapomniałby o niej. Dzieje się to w poniedziałek. Zaprzyjaźniona para, którą Lynn zaprosiła na ostatni wieczór, wyszła o północy; był to pierwszy raz, kiedy Lynn i on nie jedli sami. To ona sobie tego życzyła i to jej życzenie sprawiło mu przyjemność; nie ukrywa go. Gdy jej przyjaciele wstali do wyjścia, on również włożył swoją marynarkę: bez guzika. Przyjaciele zrozumieli: ostatnia okazja, by Lynn mogła spełnić swoją obietnicę, że przyszyje mu guzik do marynarki. Po tym, jak powiedziała: YOUR WIFE, jego ochota, by ją w myśli pochwalić, w czasie gdy Lynn ciągle jeszcze zajęta była jego marynarką, i jego odkrycie przy tym: przymiotniki nie nadają się do tego, by kogoś chwalić. Powstałby tylko

list gończy za atrakcyjną kobietą, obecnie w wieku 35 lat, obecnie w Berlinie, gdzie jest piąta rano w momencie, gdy Lynn mówi: YOU LOVE HER, On nic się na to nie odezwał, układając w maszynie naczynia do mycia. Skończywszy, zaśmiała się: YOUR DIRTY JACKET! Jest czwarta nad ranem, gdy ją wkłada. Lynn musi pospać. Spi już, gdy on od zewnątrz zamyka drzwi wejściowe, najciszej jak może. W bezludnej alei z satysfakcją wyobraża sobie, jak będzie opowiadał Lynn, że potem szedł całą godzinę i nikt go nie napadł. Zaczyna się przejaśniać. Para kłębami unosi się z szymbów, z krat. w asfalcie. Po dziesięciu minutach siedzi już w żółtej taksówce, NÒ SMOKING, tak że nie wie, co robić. Ich ostatnia noc nie była melancholijna; ale ciało go zawiodło. Próbuje gawędzić z Grekiem-taksówkarzem, nie słucha już, co ten mówi, gdy nagle przychodzi mu do głowy, że nie sprawdził, czy drzwi jej mieszkania, zatrzaśnięte od zewnątrz, rzeczywiście są zamknięte, czy też dałyby się otworzyć, gdyby się wzięło za klamkę. Włamanie, morderstwo, wszystko wydaje się możliwe. Chce zadzwonić natychmiast po przyjeździe do hotelu; w tym przerażeniu nic lepszego nie przychodzi mu do głowy. Daje banknot dwudziestodolarowy nie czekając na resztę, a potem trwa to jeszcze parę minut, zanim w końcu zjawia się człowiek z noc-



nej obsługi, zbyt śpiący, by od razu znaleźć klucze; trzeba trzy razy powtórzyć: 1112 A (właściwie 1113, ale oni unikają tu 13). Gdy w końcu staje w pokoju, nie dzwoni; Lynn musi pospać. Przez chwilę siedzi nie zdejmując marynarki i myśli o zamkach, podczas gdy za oknem robi się już jasno; na zbiorniki wody na dachach pada pierwsze słońce. Nagle spostrzega, że nie myśli o niczym; ani o wczorajszym dniu, ani o jutrzejszym, nie myśli, co będzie dzisiaj. Przy tym nie śpi; dokładnie widzi wszystko, co można zobaczyć przez otwarte okno: przeciwległą fasadę. Nie jest zmęczony albo zbyt zmęczony, by położyć się do łóżka. Nic nie czuje; gdy zamyka oczy, widzi jej uśpioną twarz tuż obok. Nie przypomina zawodu, jaki mu sprawiło jego ciało, gdy mimochodem wraca do tego myślenia. Fasada naprzeciwko: cegła, okna w żelaznych ramach, w niektórych wiszą zasłony, niebieskie albo czerwone, albo żółte, wszystkie okna mają te skrzynki od air-conditioning. W wykuszu stoi liściasta roślina; kot leży na gzymsie. Gdy się wstanie, widać nie tylko tę fasadę: w dole skrzyżowanie, żółte w świetle ulicznych lamp, i z góry widać dachy niskich domów; tu i ówdzie wznosi się ku porannemu niebu para czy dym, znak, że domy są zamieszkałe. Ludzie śpią jeszcze. Raz zahuczała syrena statku; trzy razy. Widać w dole po-

dwórza, studnie z ogrodami. Zapomina, że puścił wodą do wanny; bo trwa to długo, zanim dostaje połączenie, zanim odzywa się głos: OPERATOR, a potem sygnał na drugim końcu. Nikt nie odpowiada. Lynn nie żyje albo śpi. Przypomina sobie o wannie i zakręca kurek, wyciąga zatyczkę i wychodzi na korytarz, by zbadać rzecz od strony technicznej: drzwi od pokoju hotelowego, zatrzaśnięte od zewnątrz, tak jak zatrzasnął jej drzwi, nie dadzą się otworzyć bez klucza. To go uspokaja. Na szczęście, przez nieuwagę, klucz od pokoju trzyma w ręce, tak że może wrócić do siebie; potem w ubraniu kładzie się w poprzek na łóżku —

Imię Lynn nie będzie oznaczało winy.

Trzeba by opisać pewien kamienny stół... Dom w Berzonie, który w przejeździe oglądamy w strugach deszczu: chłopski dom, mury dosyć zniszczone, belkowanie częściowo zbutwiałe. Przyjeżdżamy z Rzymu, VIA MARGUTTA, z podnajmowanego mieszkania; całe życie byłem najemcą albo podnajemcą. Teraz chciałbym mieć dom z Tobą. Pod parasolami przedzieramy się przez dużo zarosły teren; dżungla pokrzyw i jeżyn, dużo paproci; jak zwykle w tej okolicy: terasy wsparte na podmurówkach ze zwykłych polnych kamieni. Prawie cały czas

idziesz w ^milczeniu, ja pokazuję piękne orzechy. Duży obszar. Do tego wiele kasztanowców. Wewnątrz- domu czuć stęchlizną, tu i ówdzie na ścianach pleśń. Docho- dzę do przekonania, że to się da przebu- dować i rozbudować, i biorę to na siebie, tak samo jak zajadłe pertraktacje o cenę. Jedno jest dla mnie od pierwszej chwili jasne: sam, jako kawaler, nie mógłbym mieszkać w tej dolinie. Widzę belkę, na Mórej bym zawisnął; dałoby się to łatwo zrobić z tego małego okna. Ale żyję prze- cież z Tobą, już od trzech lat; nigdy jesz- cze nie rozmawialiśmy o małżeństwie, Co mi się podoba, to ciężki dach z granitu i to, jak całość, ustawiona jest na stoku, dom i kamienna stajnia prawie jak wieża. Architektowi by się to tak łatwo nie udało, ten wzajemny stosunek przestrzenny obu brył; jest to nieprzemyślane i doskonałe. Jestem zachwycony. Mimo deszczu. Nigdy o tym nie marzyłem, żeby mieć dom; te- raz mam na to ochotę. Ale i tak będzie- my podróżowali; to nie ma być więzienie, tylko własny kąt, jeśli jesteś na to got- wa: Nasz własny kąt. Z kupnem jestem ostrożny, nie tylko dlatego, że cena jest nieoczekiwanie wysoka, i około Bożego Na- rodzenia, gdy Ty jesteś u matki, jadę tam jeszcze raz. W tych dolinach zdarza się, że w zimie w ogóle nie ma słońca albo pokazuje się tylko na godzinę. Zostaję sam

na cały dzień w okolicy; pogodny zimowy dzień bez śniegu. Naprzeciwno jest wysokie wzgórze, ale słońce wznosi się jeszcze akurat nad tym wzgórzem i dom stoi w słońcu przez sześć i pół godziny. Szczęśliwy przypadek. W środku wszystko wydaje mi się jeszcze bardziej zmurszałe; jestem zadowolony, że Cię przy tym nie ma. Ostatnio mieszkał tu stary dzierżawca, obłąkany. Pokarmu, jaki gotował podobno w domu dla swoich trzech świń, zupełnie już nie czuć. Cuchnie za to zbutwiały materac i wszelkiego rodzaju rupiecie, na które nie trzeba zwracać uwagi. Robię pomiary. Pomieszczenia są małe, ściany grube i wiele się z tych starych murów wykroić nie da; mimo to myślę, że można się tu przyjemnie urządzić. Na dworze, przy stole z granitu, jakie często Spotyka się w Ticino, robię szkice. W Rzymie pokazuję Ci je, tłumacząc ograniczone możliwości, i Ty widzisz, że miałbym ochotę. Zbyt często już zmieniałem mieszkania. Tu byłoby miejsce na bibliotekę, która się rozrasta; naszą bibliotekę. Tutaj twój pokój do pracy z wyjściem na ogród. Tutaj pokój gościnny. Naradzam się z młodym architektem, który mieszka w tej okolicy i mógłby dopilnować przebudowy, i decyduję się na kupno w 1964. Nasze życie w Rzymie: odświeżone z dnia na dzień i trochę koczownicze, na dłuższą metę zbyt przyjemne z dnia na

dzień. VALLE ONSERNONE, to nie jest na końcu świata; na przykład możesz studiować w Zurychu, jeśli chcesz. Od czasu do czasu sprawdzamy stan wolno postępującej przebudowy. W pewnym okresie wygląda to zwariowanie: jedna ruina, spróchniałe podłogi powyrywane, stoją tylko ciężkie mury dźwigające dach; dokoła stopy spróchniałych belek. Trzeba betonować, żeby się to wszystko trzymało. Człowiek potyka się o wystające wszędzie wsporniki. Przebudowa, z zapalem i starannie doglądana przez młodego architekta, trwa pełny rok. Idziemy z nim wybrać płyty, -armaturę do kuchni i łazienek; możesz wybierać. Tymczasem zapoznałaś się z zasadniczym planem i obdarzasz zaufaniem nas obu, młodego architekta i byłego architekta razem. Widzisz moją dziecinną radość z budowania, moją męską radość. To czy owo, schody na przykład, trudno Ci sobie od razu na miejscu wyobrazić; widzisz tylko dużą dziurę i stoisz trwożnie na deskach, ja trzymam Cię za rękę. Trzeba teraz wiele rzeczy wybierać na podstawie próbek. Wszystkie sprawy techniczne mniej Cię interesują: wielkość zbiornika na ropę, marka palnika, kotła do ogrzewania itd., ale tu masz zaufanie i cieszy Cię niebieskie światło jesienne w tym zakątku. Architekt chce dać trawertyn na obramowanie kominka i tu Ty się sprzeciwiasz,



ja zresztą też; nie chcemy przecież willi. Poza tym potrzebne są lampy i to jest zawsze problem. Dawniej radziłem tym czy innym właścicielom; kto płaci, ten decyduje w kwestiach smaku. Teraz my decydujemy. Ty i ja. To i owo, po wykonaniu, zupełnie nie trafia Ci do przekonania, na przykład podłoga w bawialni; mała próbka zmyliła nas. Ty jednak rozumiesz, że nie jestem Onassisem, i dajemy spokój; nie jest to znowu takie ważne. Zachwycona jesteś za to nową podłogą w małej loggii; cegłą w jodelkę jak we włoskich klasztorach; także czerwone cegły zuryskie w jadalni zaczynają Ci się podobać, gdy już zostały pokryte warstwą impregnującą i z czasem, jak obiecano, trochę ściemniają. To są Twoje nowe małe doświadczenia. Cieszysz się. Dom jest także Twoim dziełem. Godzimy się co do tego, że wszystkie ściany na biało. Jak w Sperlonga. Przed opuszczeniem Rzymu zostajemy zaproszeni do Jeruzolimy, w 1965, to także Ci, się podoba, i gdy opuszczamy Rzym, niewiele jest do wysłania: trochę naczyń, trzy rzymskie lampy, toskański stół z pięcioma krzesłami, książki (tylko książki, które nagromadziły się w Rzymie; inne nadejdą z magazynu) i parę płyt (do lepszego gramofonu), i Twój mały stół do 'pracy (kiepski antyk, wiem), i fotel na biegunach, patelnie, skrzynia (MILLE SETTE CENTO) i r»"e-

co garderoby, rzymska pościel i moja maszyna do pisania. Nie jesteśmy stadłem, tylko parą. Gdy wprowadzamy się do domu, robotnicy są jeszcze na miejscu, betoniarka także. Schody od wiejskiej drogi w dół nie są jeszcze ułożonej schodzi się po śliskich deskach. W stajni przegroda oddzielająca poprzednio świnie od kóz została właśnie wyrwana, moja pracownia jest dopiero w budowie. Pięciu robotników, Włochów, przejeżdża codziennie granicę i wieczorem wraca na noc do Novary. Mają jeszcze roboty na parę tygodni. W duchu jesteśmy zadowoleni z ich towarzystwa. Stary majster wygląda, Twoim zdaniem, jak chłopski Samuel Beckett. Przynoszą sobie jedzenie w małym plecaku, w południe siadają przy kamiennym stole albo na łące; Ty podgrzewasz im zupę, którą przynoszą w blaszance, albo sama gotujesz zupę dla nas wszystkich, To mi się podoba. Ja'staram się o piwo i wino. Nie wszystko przy takiej przebudowie zaznaczone jest w planach; jak ostatecznie będzie<sup>1</sup> wyglądał mur, podłoga z granitowych płyt, zależy od ich gustu. Wiele im zawdzięczamy. Kominiek w mojej pracowni nie wydaje mi się konieczny; co prawda już był i trzeba by go tylko poprawić, ale uważam: Dajmy temu spokój. Beckett sprzeciwia się: UN SCRITTORE, uważa, musi palić wiele papierów. Godzę się. BELLA CIAO, BELLA CIAO,

głos z płyty, którą przywieźliśmy z Rzymu, rozlega się z otwartych okien w czasie, gdy pracują. Podczas deszczu pracują w piwnicy. Malarz także jeszcze jest w domu; niekiedy znika na dwie godziny, żeby łowić ryby w strumieniach. Półki na książki na całą ścianę, wykonane według mojego szkicu, też Ci się w końcu podobają. Ty urządzasz naszą bibliotekę; ja otwieram zabite skrzynie. Często robota nie posuwa się naprzód, bo Ty siadasz i musisz coś przeczytać; przynosi to zaszczyt tym książkom. Zakładasz grządkę ziół. Poza tym sadzimy trzy winorośle, których liście teraz, po dziewięciu latach, okrywają już pergolę nad kamiennym stołem... Dlaczego o tym opowiadam? Komu to opowiadam? — kiedyś znoszą z drogi na dół dwie ciężkie skrzynie; w pierwszej, jak się domyślamy, znajduje się piec do fińskiej sauny. Druga jest pełna kamieni do tego pieca: granitu, którego w tej okolicy jest aż nadto. Z kolei zakładam piwnicę z winem. Kiedy siedzę przy maszynie do pisania, stukający robotnicy nie przeszkadzają mi, przeciwnie: pracujemy. Któregoś dnia jednak pakują wszystkie swoje narzędzia; Ty robisz rizotto i pieczeń. To był piękny rok, mówią. AUGURI. Przyjeżdżają setki gości, Twój przyjaciele, moi przyjaciele. Pełnisz obowiązki pani domu i osądzam, że robisz to dobrze, z całkowitą «wo-

bodą, utrzymując bez wysiłku (jak się wydaje) odświętny nastrój. Zdarzają się burze, aż strach ogarnia, trzydziestogodzinne, 'albo zasy śnieżne w zimie. Ja rąbię drzewo i rozniecam ogień w kominku, ale-robię w tych latach również co innego. Ty robisz co innego. Wczesnym rankiem próbuję przy pomocy kosi lub siekiery przedzielić tę dżunglę, potem pożyczam elektryczną piłę. Pozostajemy mieszczuchami. Ludzie we wsi nie mówią o Tobie: SIGNORA, bo nie jesteśmy małżeństwem; mówią: MARIANNA, ale nigdy: LA SIGNORINA. Kiedyś oświadczasz, że chciałabyś widzieć w naszym obejściu również owce, nie tylko ściągające zewsząd koty; każę więc zrobić ogrodzenie i kupuję cztery owce, w tym jedną czarną. Ile razy się na nie spojrzę, zawsze stoją zwrócone w tym samym kierunku, wszystkie cztery, robią i przestają robić zawsze to samo. Trzy z nich rozszarpuje zdziczały pies; wtedy ostatnią dajemy w prezencie. Powoli każde lato na wsi zaczyna przypominać poprzednie.... Można by opisać tę czy inną potrawę, jaką wymyśliłaś / jak pozyskujesz sobie młodych i starych, wskutek czego chętnie do nas przychodzą / jak pływamy w zimnych strumieniach, jak odkorkowujemy butelkę, którą chłodziliśmy w strumieniu: Twoją radosną obecność / stos książek (głównie niemieckich, ale także angielskich, francuskich,

włoskich) na podłodze przy Twoim łóżku / jak wielu ludzi obdarowujesz/Twoje dziecinne podniecenie przed urodzinami / jak Ty, będąc już kobietą, siedzisz na rowerze i wywołujesz przy tym obraz dziewczęcych czasów / Twój stół do pracy, zawalony bezładnie ciężkimi słownikami, zapisanymi kartkami i czystymi kartkami, czasopismami literackiej awangardy, znaczkami, magazynami mody, której nie przestrzegasz, i listami, na które odpisałaś / Twoje matczyne kłopoty z moją pracą / Twój skórzany, od deszczu wyblakły kapelusz z Teksasu, który rozpoznaję w tłumie na dworcu, i miejscowości, które bez Ciebie są inne: PRAGĘ, WARSZAWĘ, AWINION, PARYŻ, LENINGRAD, ODESSE, WENECJĘ,; LONDYN, JEROZOLIMĘ, MANHATTAN itd., i mały kamienny stół w Ticino —

OTOC, CZYTELNIKU, KSIĄŻKA PISANA  
W DOBREJ WIERZE

i co ona przemilcza i dlaczego?

FIFTH AVENUE

dama w długiej białej sukni i w białym kapeluszu, moda z przełomu stulecia; obłąkana: jej dłonie obmacują kamień albo metal, fasad, jakby się chciała upewnić, że wszystko jest fia miejscu. Dłonie jak czuł-



ki. Nie może być niewidoma, bo czeka przy czerwonym świetle. Większość przechodniów nie zwraca na nią żadnej uwagi i idzie wolniej od innych, ale nikomu nie zagradza drogi; idzie trzymając się blisko domów. Gdzie natrafia na szkło, wygląda, jakby obmacywała ostrożnie swoje odbicie; wydaje się szczęśliwa. W pewnej chwili wyprzedzam ją, by potem, odwracając się pod jakimś pretekstem, zobaczyć jej twarz. Jest szczęśliwa. Czasami nagle staje, jakby natrafiła na pustkę, i wtedy cofa się parę kroków. Jej palce ledwie dotykają powierzchni, chwilami w ogóle nie; wygląda, jakby je tylko zaklinała, by były, nawet te nieprzyjemne powierzchnie. Czy widzi ludzi? Jej strój jest komiczny, ale pomyślany jako uroczysta toaleta. Jest zresztą boso, co dostrzegam dopiero po pewnej chwili. Od czasu do czasu mówi coś do siebie. Robi przy tym gesty pełne utajonej, głębokiej czułości. Wydaje się, że jest to dla niej szczególny dzień, dzień spełnienia, właśnie t a chwila.

Helena Wolff, wydawca, rąc . zadowolona z prasy. -wazonie na jej biurku, Pozdrowienia do Europy, wspólnych przyjaciół w Guntera... Gdzie indziej słów:	jest ogólnie bio- Kwiaty, teraz w cieszą obdarowaną. pozdrowienia dla Berlinie, Uwego, żegnam się bez
--	--

#### WASHINGTON SQUARE:

ze starymi szachistami przy kamiennych stolikach pod zielonymi drzewami, teraz już w pełni lata.

#### SHERIDAN SQUARE:

z grynszpanową statuą mężczyzny, który nazywał się Sheridan i ma na kapeluszu dwa gruchające gołębie.

#### BIGOLOW:

ze zręcznymi barmanami przygotowującymi śniadania.

#### 8TH STREET:

z właścicielem trafiki, który już wie, co pałę, i zawsze, ilekroć jest ładna pogoda, przyjaźnie zwraca na to uwagę.

#### CHINESE LAUNDRY: '

z chudym jak szczapa Chińczykiem, który mimo wszystko wyprał jeszcze i wyprasował moją przeпоconą po ping-pongu koszulę.

#### BALDUCCI:

z tym przybytkiem pięknych owoców.

## TRATTORIA DA ALFREDO:

z jej przyjacielem, który się dziwi, że po raz pierwszy jestem w tej małej trattorii. ; Swego czasu proszono mnie, bym nigdy do "" tej trattorii nie zachodził, i trzymałem się tego. Szczerość, teraz już możliwą między nami, nadal cechuje powściągliwość. Mamy inne tematy. To prawda: jedzenie w tej trattorii jest niedrogie i smaczne; atmosfera włoska bez wrzawy i rozgardiaszu, kulturalna publiczność, a patron, Alfredo, umie to docenić, gdy ktoś mówi z nim po włosku. 'Ponieważ nie podają tu alkoholu, idziemy potem do niego: niedaleko stąd. Siedem minut piechotą. Jest teraz rozwiedziony, mieszkanie nie zmienione, niedawno odmalowane; plakat INGRES'A w tym samym miejscu. Gdy jego nowa przyjaciółka przychodzi do domu, on spogląda na zegarek: gdzie była tyle czasu? Ma to być (słyszałem od ludzi) wspaniała kobieta; wita mnie z nie ukrywaną ciekawością, nie bez pewnego skrepowania, patrzy przy tym czujnie, szeroko otwartymi oczami, jakby porównywała mnie z listem gończym. Ma jasne włosy, zaczesane do góry. Nie siedzę długo; mam jeszcze kupić prezent, kapelusz kowbojski: A BROWN CAMPAIGN HAT. Gdzie można coś takiego znaleźć? Oni udają, że się przekomarzają. Trzecia godzina; wyszła z domu o jedenastej. Ja

opowiadam coś. O Berlinie, zdaje się \ że o jednym i drugim. On naprawdę chce się dowiedzieć, gdzie po kolei była od jedenastej godziny. Ona śmieje się i pokazuje; co kupiła; istotnie niewiele.. Na to cztery godziny? Jest ciekawa zachodniego Berlina i wschodniego Berlina. Rzeczywiście: dobrze zna Paryż. Chętnie. zrobi kawę. On. ciągle się jeszcze przekomarza: kiedy się dzwoni do biura, ona poszła po zakupy albo do biblioteki, gdzie nie można dzwonić, a kiedy się do biura nie dzwoni, mówi, że siedziała w biurze. Ona si śmie- 1  
ę

#### SWISS BANK CORPORATION:

z moim kontem.

#### HOTEL LOBBY:

z Markiem i Inger, którym z podziękowaniem oddaję pożyczone naczynia i sztucce, całując oboje w lewy i prawy policzek.

#### SENATOR LOUNGE:

z Tonią Zwicker, wesołą rodaczką, która raz jeszcze odwiozła mnie na lotnisko, całując ją w prawy i lewy policzek.

Czas już nie tylko myśleć o śmierci, ale i o niej mówić. Ani uroczyście, ani z humorem. Nie o śmierci w ogóle, aie o własnej śmierci. Zważywszy na wiek, jestem dosyć zdrowy. Lekarz niczego nie stwierdza. Znużenie po nadużyciu alkoholu, bóle głowy przy halnym wietrze itp. to nie choroba. Mimo nieogłędnego trybu życia nie nabawiłem się marskości wątroby. Od czasu do czasu dolegliwości sercowe. To znam od dwudziestu lat. Żadnych bólów. Gdybym musiał to opisać lekarzowi: uczucie ucisku, osłabienia; brak oddechu, co wkrótce staje się męczące. Mówię lekarzowi: jakby serce ścisnęła jakaś ręka, łapa bez pazurów, bo właściwie nie czuję klucia. Po dwóch godzinach albo już po kwadransie przechodzi, przeważnie można się opanować, tak że nikt tego nie zauważa. Gdy jestem sam, wiąże się to z lękiem; ale nie jest to lęk przed śmiercią. Leżeć zupełnie się nie da; gdy siedzę, boję się wstać z krzesła; trudno mi sobie wtedy wyobrazić, bym mógł coś zrobić, na przykład przejść przez jezdnię. Okresowe badania dają za każdym razem ten sam wynik: idealny kardiogram. Lekarstwa? Rada lekarza: Niech się pan napije koniaku. Nerki w porządku, płuca w porządku. Dobrze byłoby mniej palić. Podejście raka, które tylu ludzi trapi przy każdym kaszlu czy bólu żołądka, mnie nie trapi. Rzadko chorowałem. Często śnię o



śmierci. Nawet gdy sen mi jej nie przy-  
pomina, zdarza się, że budzę się w prze-  
strachu: Mam już 61, 62, 63 lata. Zupeł-  
nie jakbym spoglądał na zegarek konsta-  
tując: To już tak późno! Lęk przed sta-  
rością jest melancholijny, świadomość  
śmierci jest czymś innym; świadomością  
nie pozbawioną przyjemności. Jak każdy  
boję się cierpienia przed śmiercią. Gdy przed  
podróżą próbuję uporządkować swoje rze-  
czy, robię to bez wzruszenia. Jestem już  
starszy od swojego ojca i Wiem, że wkrót-  
ce osiągnę przeciętną ludzkiego życia. Nie  
chcę dożyć późnej starości. Zwykle obcu-  
ję z ludźmi młodszymi od siebie; we wszy-  
stkim widzę różnice, nawet tam, gdzie oni  
zapewne żadnej różnicy nie mogliby się  
dopatrzyć, i niejedno trudno byłoby wytłu-  
maczyć; wtedy mówię też o planowanych  
pracach. Między innymi wiem, że nie wol-  
no mi starać się wiązać młodej kobiety z  
tą moją nie istniejącą przyszłością.

Wywiad w tym żalonym piśmie tymcza-  
sem się ukazał. Niejedno się zgadza: oby-  
watelstwo, liczba dzieci, krępej postawy w  
okularach, hobby: ping-pong.

Wieczorem z samolotu, po odpięciu pasów,  
można by zobaczyć po lewej stronie szaro-

'-zielonkawo-brązowy język łądu z latarnią morską, żółte mielizny oddzielone od stałego łądu jedynie zmarszczkami przyboju morze, otwarte, widać też po prawej stronie: jak matowy filc, potem twarde jak łupek (kwarcyt)... Ostatniego dnia widziałem Lynn po raz pierwszy w jej biurze, najpierw w korytarzu, gdzie musiałem czekać. Wyszła uradowana. Biuro jest małe, widok denerwujący. Do dwunastej musieliśmy jeszcze trochę poczekać,- Lynn na parapecie okiennym: mało teraz przypomina Ondynę, wygląda bardzo po amerykańsku (co to znaczy?) i powszednio. Drzwi do pokoju pozostały otwarte; gdy zajrzała jakaś koleżanka, Lynn przedstawiła mnie. Poprosiła jeszcze, bym podpisał książkę, i potem mogliśmy już wyjść, LUNCHTIME, winda była zatłoczona i ktoś gawędził z Lynn, która jest mniej opalona ode mnie; odpowiedziała widocznie dowcipnie, za mało rozumiałem. Przez wahadłowe drzwi przeszedłem sam i czekałem na zewnątrz. Gdy Lynn nie nadchodziła, uznałem, że jesteśmy w każdym razie umówieni; poszedłem sam do restauracji, czekałem przy barze. Widocznie wymagało to jakiegoś manewru, żeby się pozbyć tej osoby; Lynn przysłała po dwudziestu minutach. Francuska restauracja, dwuosobowe stoliki jeden obok drugiego; nie było to miejsce do intymnej rozmowy i to nam raczej dogadza

lo. Gdyśmy już zamówili, dała mi prezent; rozpakowałem. Kapciuch na tytoń dokładnie w tym samym rodzaju co mój poprzedni kapciuch, który Lynn wzięła kiedyś do ręki i który w czasie weekendu gdzieś się zapodział; opatrzony inicjałami. VERY NICE, powiedziałem, BUT UNFAIR, ponieważ Lynn nie pozwoliła sobie niczego podarować z wyjątkiem mojej OLIVETTI LETTERA 32, która mogła się jej przydać. TODAY I HAVE GOT MY PERIOD, mówi. Musiałem jeszcze w hotelu spakować rzeczy, ale niedużo tego było; miałem więc sporo czasu. Lynn miała mało czasu, dokładnie godzinę. Zaproponowała, żebyśmy poszli jeszcze do parku, było niedaleko, UNITED NATIONS. Szliśmy dosyć szybko. I AM GOING TO MISS YOU, powiedziała unosząc brwi, jak ktoś, kto musi się przyznać do pomyłki, i pod światłami, gdzie prawie jednym tchem mogła jeszcze powiedzieć: COME ON, COME ON. Byłem zresztą po raz pierwszy w tym parku. Jaskrawe południe, bez okularów słonecznych niemal nie do wytrzymania. Woda lśniła. W parku dużo ludzi, udających, że korzystają z letniego słońca. Słońce świeciło jednak tak jaskrawo, że właściwie nie można było o niczym myśleć, niczego odczuwać. Woda nie była niebieska, tylko czarna; powierzchnia lśniła jak rtęć. Oparliśmy się o balustradę. Nawet mewy oslepiały. Wypiliśmy ma-

lb, to nie było to. Zdarza się to w wysokich górach: biały śnieg, skały naprzeciwko prawie czarne, i kiedy się spojrzy w górę: bezgwiezdna noc w południe. Nie było gorąco: ostry wiatr od wody. Czarne łódki i przed tymi łódkami lśniąca piana. Po drugiej stronie biały dym z wysokiego komina. Światło jak przy halnym; lśniła nie tylko woda, lśniły nawet liście. Gdy ludzie wchodzili w cień, znikali. Szklane fasady odbijały czarne cienie przeciwnych fasad: odbite formy architektoniczne, trochę zniekształcone. Nie milczeliśmy, tylko nie wiem, o czym mówiliśmy. Cynkowa blacha balustrady, na której oparliśmy łokcie, lśniła jak mika. Na niebie błysnął samolot, Potem Lynn spojrziała na zegarek; mieliśmy jeszcze trochę czasu, ale nie wiadomo było, co począć z tym czasem. Usiedliśmy na kamiennym podeście, gdzie siedziały pary; nad nami błyszczący metal tysięcy okiennych ram. Gdzie spojrzeć — to światło, lśnienia i błyski. Cieszyło ją, że ja się ucieszyłem kapciuchem; akurat taki, jak trzeba, ciemna skóra, delikatna w dotyku. Nie żalowaliśmy, że musimy dzisiaj odlecieć. Patrzyliśmy tylko: mewy, czarne łódki w pianie, którą przed sobą wzniecały. Lynn spojrziała na zegarek, cofnąłem rękę z jej ramienia. Wstaliśmy, żeby się pocałować. Lżej niż teraz, gdy szliśmy po jaskrawo oświetlonych schodkach, iść już nie moż-

na. Teraz musieliśmy tylko jeszcze znaleźć miejsce, w którym się rozstaniemy, i uważać na jezdni; przed przejściem na drugą stronę alei wzięliśmy się za rękę i przebiegliśmy. FIRST AVE/46TH STREET, to był wyraźnie ten punkt, powiedzieliśmy sobie: BYE, nie całując się, potem drugi raz z podniesioną dłonią: HI. Po paru krokach wróciłem do rogu, widziałem ją, jej postać w ruchu; nie odwróciła się, stanęła, i trwało dobrą chwilę, zanim mogła przejść na drugą stronę ulicy.



TLUMACZENIE'  
WYRAŻEŃ OBCOJĘZYCZNYCH

a. 7

OVERLOOK — punkt widokowy

«. 8

YOUR PIPE — twoja fajka

«. 11

HOW DID I ENCOURAGE YOU? — Czym cię  
ośmieliłam?

WHEN DID I ENCOURAGE YOU? — Kiedy cię  
' . ośmieliłam?

HAVE YOU BEEN IN THIS COUNTRY  
BEFORE?

, — Był pan już przedtem w tym kraju?

ARE YOU MARRIED... — Czy jest pan żonaty,  
gdzie pan mieszka w Europie, czy ma pan  
dzieci?

s. 12

WHAT ARE YOU GOING TO WRITE NEXT...

—

Co pan zamierza pisać w najbliższym czasie:  
sztukę teatralną, powieść czy kolejny dziennik?

DO YOU CONSIDER YOURSELF A DOOMED  
MAN? — Czy uważa się pan za człowieka  
skazanego przez los?

s. 13

DID YOU HAVE A GOOD TIME? — U pana  
wszystko dobrze?

MAY I INTRODUCE YOU — Pozwoli pan, że go przedstawię.

» .16

SANITATION — higiena

s. 17

LONG DISTANCE — rozmowa międzymiastowa

«.

1»

><W

E|

MV GREATEST FEAR: REPETITION — moja największa obawa: powtarzanie się.

3. 21

SENSIBLE / SENSITIVE / SENSUAL — czuły / wrażliwy / zmysłowy.

» .23

A CAUSE D'UNE FEMME — przez kobietę

s. 29

GUIDED TOUR — wycieczka z przewodnikiem  
YOU ARE A RICH MAN... — Wiem, że pan jest człowiekiem bogatym, ale to lunch na koszt organizatorów, nie powinien pan płacić, to śmieszne.

a. 51

NATIONAL CAR RENTAL — wynajem samochodów

s. 52

US MILITARY AREA — teren wojskowy

I. 53

LOOK AT THIS — popatrz

I AM GETTING HUNGRY — Zaczynam być głodna.

DO YOU KNOW DONALD BARTHELME? HIS

WORK? — Znasz Donalda Barthelme? Jego  
dzieła?

HE IS A GOOD FRIEND OF OURS — To nasz  
dobry znajomy.

s. 54

MAX, YOU ARE A LIAR — Kłamiesz, Max.

» .58

DIRTY OLD MAN — stary świntuch  
HOW DO YOU CALL THOSE BIRDS? — Jak  
u was nazywają się te ptaki?

s. 57

WHAT ARE WE GOING TO DO? — Co robimy?

a. 58

ALL POWER TO THE PEOPLE — cała władza  
w ręce ludu

» .60

HOW DO YOU FEEL ABOUT RENOWN? — Co  
myślisz o sławie?

s. 61

IT IS A GREAT HONOR FOR ME — to dla  
mnie wielki zaszczyt

s. 68

I AM A SOCIALIST — jestem socjalistą

» .69

I AM A WIDOW, I AM THE MURDERER —  
jestem wdową, jestem mordercą

» .70

BECAUSE I NEED GLASSES — Bo muszę nosić  
okulary.

WHY DON'T YOU HAVE A SEAT? — Czemu  
nie siadasz?

BUT VERY SMALL — ale bardzo małe

LIKE A PRISONER OR LIKE AN ANIMAL —  
Jak więzień albo zwierzę

«. 72

WHAT CAN YOU DO — cóż można zrobić

8. 73

MONEY — pieniądze

IT IS POINTLESS — to nie ma sensu

s. 74

I GOT MARRIED AS A VIRGIN... — Wysłałam  
za mąż będąc dziewicą, to nie powinno być  
dozwolone.

SHE TOO WAS A VIRGIN... — Ona też była  
dziewicą... i też była architektem.

I GOT MARRIED TWICE — byłem dwa razy  
żonaty

YOU KNOW WHAT I MEAN — wiesz, co chcę  
powiedzieć

TO HAVE GOT THIS PLACE — że sprowadzi-  
liśmy *sią* tutaj

I WAS THIRTY ONE, EXACTLY YOUR AGE

—  
Miałem trzydzieści jeden lat, akurat tyle co

ty.

s. 75

INCURABLE — nieuleczalnie chora

«. 77

!

MY FIRST LOVE — moja pierwsza miłość

BUT SHE COULD NOT KNOW THIS — ale nie  
mogła o tym wiedzieć

«. 78

WHY NOT? — Dlaczego nie?

I JUST DON'T KNOW — właśnie nie wiem

IT'S A SHAME, I KNOW — to wstyd, wiem

YOU ARE A MONSTER — jesteś okropny  
FOR SALE — do sprzedania  
REAL ESTATE — nieruchomości

» 82  
FOR RENT — do wynajęcia  
CHURCH — kościół  
LIQUOR STORE — sklep z alkoholami  
ANTIQUÉ SHOP — antykwariat

» 83  
MUCH TOO EXPENSIVE — to o wiele za drogie  
HAVE A NICE DAY — życzę powodzenia

« 87  
INCONNUE DE LA SEINE — Nieznajoma z  
Sek-  
wany

« 89  
I AM HUNGRY — jestem głodna

« 80  
I'LL TAKE IT LATER — później ją wezmę  
I LIKE YOUR SENSE OF HUMOR — lubię  
twoje  
poczucie humoru  
HOW FUNNY — jakie to zabawne  
YOU HAVE AN OPEN FACE — masz szczerą  
twarz  
I LOVE YOU — kocham cię

3. 91  
WOMAN'S LIBERATION — wyzwolenie  
kobiety

s. 93  
YOU HAVE TO NAVIGATE — musisz piloto-  
wać  
DO YOU SNORE? — Czy ty chrapiesz?



a. 94

I DO NOT KNOW YOU AT ALL — Zupełnie  
cię nie znam.

ARE YOU A SADIST? — Czy jesteś sadystą?

a. 96

MALE CHAUVINISM — męski szowinizm

>. 97

DO YOU WANT TO GET BURIED OR CRE-  
MATED? — Chciałbyś, żeby cię pogrzebali  
w ziemi czy spalili w krematorium?

a. 98

WHAT ARE YOU THINKING ABOUT? — O  
czym myślisz?

a. 100

I AM SLEEPY — jestem śpiąca

a. 101

THEY ARE VERY SMALL — są bardzo małe  
WE CAN'T MAKE LOVE, NOT TONIGHT —  
Dzisiaj nie możemy się kochać.

a. 102

YOUR ENGLISH IS EXCELLENT — twój  
angielski jest doskonały

JUST RELAX — odpręż się

a. 104

DEJA VU — coś wiedzianego już, znanego

a. 109

DO YOU BELIEVE — czy sądzisz

WHAT DO YOU THINK — co myślisz

a. 112

HOW DO YOU KNOW? — Skąd wiesz?

s. 115

1

HAPPY — szczęśliwy

a. *US*

FUN — uciecha

3. 118

TOO EXPENSIVE — za drogo

s. 123

DID YOU LOVE YOUR MOTHER? — Kochałeś swoją matkę?

YOU DIDN'T LIKE YOUR FATHER? — Nie lubiłeś ojca?

WHY NOT? — Dlaczego?

YOU ARE VERY FOND OF YOUR CHILDREN?

— Bardzo lubisz swoje dzieci?

DID YOU GET A WEDDING LIKE THAT? —

Mia-

leś takie wesele?

s. 124

CASA COMUNALE — budynek gminy

IL SINDACO — burmistrz

AUGURI — gratulacje

ARE YOU JEALOUS? — Jesteś zazdrosny?

ARE YOU JEALOUS? AND IN CASE YOU

ARE...

— Jesteś zazdrosny? Jeżeli jesteś, to czy mógłbyś zabić z zazdrości? A jeśli tak, to ją czy jego? A jeśli nie...

«■ '29

SORRY, I AM DRUNK — przepraszam, jestem pijany

s. 131

IT WAS A BEAUTIFUL DAY! — To był cudowny

dzień!

3. 132

I AM FINE, IT IS NOT COLD AT ALL — Czuję się świetnie, wcale nie jest zimno.

a. 133

YOU ARE WATCHING ME — Obserwujesz mnie.

YOU ARE THINKING — Myślisz

a. 143

DAMNI — Niech to diabli!

a. 144

SHIT! — Gówno!

a. 15

ROMA NON RISPONDE — Rzym nie odpowiada

s. 152

DOTTORE... SENTA... SIAMO SCRITTORI —  
Do-  
ktorze, niechże pan słucha, jesteśmy pisarzami.

a. 155

MELON, PAN CAKE WITH BACON AND JAM,  
COFFEE — melon, naleśnik z bekonem i dze-  
mem, kawa

s. 157

CHECK OUT — zapłacić rachunek i wyprowa-  
dzić się z hotelu

b. 160

WHAT IS YOUR STATE OF MIND? — W jakim  
jesteś nastroju?

a. 151

NO, I AM FINE — Nie, czuję się. świetnie,

■ a. 162

BON VOYAGE — szczęśliwej podróży

LA DOUCE FRANCE — słodka Francja

a. 164

YOU ARE WRONG — źle jedziesz

SORRY — przepraszam

I THINK YOU ARE WRONG — chyba się mylisz

ARE YOU SURE? — Jesteś pewny?

s. 166

ARE YOU CRAZY? — Oszalałeś?

DID YOU HAVE A GOOD TIME? — U ciebie wszystko dobrze?

a. 168

BUT WHERE ARE YOU TODAY?... — Ale gdzie

jesteś dzisiaj? Pewnie z mężem na spacerze...

Myślisz, że się zorientował? Co za głupota!

To proste jak drut, jasne jak słońce... Dzwoniłem

wiele razy chcąc usłyszeć twój głos, ale

zawsze odzywał się Frederick. Ach, Frederick,

pytam serdecznie, jakież to wspaniałe sukcesy

dzisiaj odniosłeś?

s. 169

NO LEFT TURN — zakaz skrętu w lewo

YOU ARE A FORTUNATE MAN — szczęściarz z ciebie

s. 173

SILENT MAJORITY — milcząca większość

MAY I HELP YOU? — Mogę panu pomóc?

a. 181

ONE DIME — dziesięć centów

s. 188

WALK / DON'T WALK — Przechodź / Czekaj

*a. m*

SUBWAY — kolej

podziemna

COUNT DOWN —

odliczanie

TELL ME — powiedz mi

a. 190

LYNN IS NO LONGER WITH US — Lynn ode-  
szła od nas  
I LIKED HER VERY MUCH INDEED —  
Napraw-  
dę bardzo ją lubiłam.

a. 191

YOUR WIFE? — Twoja żona?

a. 192

YOU LOVE HER — kochasz ją  
YOUR DIRTY JACKET! — Twoja brudną ma-  
rynarka!  
NO SMOKING — Proszę nie palić

s. *m*

MILLE SETTE CENTO — wiek osiemnasty

s. 209

LUNCHTIME — przerwa obiadowa

s. 220

VERY NICE, BUT UNFAIR — Bardzo to miłe,  
ale niełojalne.  
TODAY I HAVE GOT MY PERIOD — dzisiaj  
mam okres  
I AM GOING TO MISS YOU — będę tęskniła  
za tobą  
COME ON — chodźmy